● Dzieje łódzkiej prasy we wspomnieniach Adama Ochockiego i w felietonie Jerzego Wilmańskiego ● Albania jakiej nie znamy ● Reportaż Waldemara Uchmana z plaży naturystów ● „Skok" i „Czterech we mgle" — historie z sądowym epilogiem ● O człowieku, który odwiedził królową ● W kręgu fantastyki

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 22 (1275) ROK XXV 3 WRZEŚNIA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Edward Pałczyński

Z tamtych dni

Wibruje przęsłami powietrza
zagłada czarnokrzyżowa
nad moim miastem.
Dopadają czerepy stalowe
wież graniastych
domy pękają jak orzech.

Niebo jest przeklęcie błękitne.
O strzęp chmur
o cień naszego samolotu
żebrzemy
smakując nieodwracalność odwrotów
— jedynych wariantów bitwy
z pogruchotanym frontem.

— Czy to koniec, bracie kanonierze?
Nie, bracie poeto — początek!

Po meczu Polska — Peru Andrzej Makowiecki rozmawia z MARIO VARGASEM LLOSĄ

Pisarz dotrzymał słowa...

Pędzę przez zatłoczone miasto na spotkanie z Mario Vargasem Llosą, który podpisuje już swoje liczne dzieła w centralnej księgarni. Kolejka przed nim jak w Łodzi po czystą. Więc czekam, a czekając przypominam sobie to, co powiedział po meczu o Bońku brytyjski dziennikarz:

— Boniek zawsze powinien grać w przodzie, albowiem zawsze bardziej fascynuje go bramka przeciwnika, niż obrona własnej bramki.

Jakże trafne stwierdzenie! A przed Llosą wciąż dziki tłum. Niektóre señority i señory przyprowadziły ze sobą domowników z aparatami fotograficznymi, tak, aby w momencie otrzymywania autografu mieć z mistrzem zdjęcie. Już myślę, że pisarz jest wolny, a tu ruszają do boju panie bibliotekarki, podsuwając mu do podpisu całe naręcza książek. Niepokoi mnie także reporterka radiowa, dwóch dziennikarzy peruwiańskich i galicyjski korespondent El Pais. Ta pierwsza zwraca się do mnie:

— Pan też w sprawie wywiadu?

— Też.

— To może mnie pan przepuści? Mam tylko sprawę na pięć minut.

Burzy się we mnie zła krew. Jak tak dalej pójdzie, wrócę do domu o drugiej nad ranem, na dodatek z pustym notatnikiem. Zapisuję sobie dla ukojenia nerwów hiszpańskie tytuły niektórych książek pisarza. Ostatnia, nieznana jeszcze polskiemu czytelnikowi, nazywa się La Guerra Del Fin Del Mundo (Wojna końca świata). Inne, przełożone w większości przez Państwowy Instytut Wydawniczy i zasłużone dla prozy hiszpanoamerykańskiej Wydawnictwo Literackie, to: Los Jefes, La Ciudad y los Perros, La Casa verde, Pantaleón y Las Visitadoras, La Tia Julia y el Escribidor, La Señorita de Tacna, Los Cachorros oraz, oczywiście, Rozmowa w Katedrze, gdzie Llosa określił się jako wojujący sartrowiec, a motto zaczerpnął z Balzaka:

„Aby być prawdziwym powieściopisarzem, trzeba zgłębić i ogarnąć całe społeczeństwo, gdyż powieść jest historią życia prywatnego narodów".

Myślę, że Llosa zrealizował ten ambitny literacki postulat i zgłębił życie aż do trzewi, czego najlepszym dowodem może być nie tylko uznanie, jakim jego twórczość cieszy się u czytelników i światowej krytyki, ale również rozmodlone twarze galicyjskich, cnotliwych podobno nad wyraz piękności. Każda z nich ma taką minę, jakby, cytując z pamięci Otella, „gotowa była umrzeć za jeden dotyk jego dolnej wargi".

Oj, ten Szekspir... Ale uważaj! Llosa wstaje już od stołu. Reporterka radiowa oraz peruwiańscy dziennikarze momentalnie przystępują do szturmu, ale ku mojemu zaskoczeniu Mario zbywa ich delikatnie.

— Państwo wybaczą — mówi — ale ten Polak czeka już na mnie ponad dwie godziny. Poza tym, jest to pisarz, więc mam wobec niego koleżeńskie zobowiązania.

— Ja mam tylko parę pytań.

— Przykro mi. Niech pani próbuje innym razem, najlepiej w hotelu przed południem.

— Nam też pan odmawia?

— Skąd! Nigdy nie odmawiam rodakom, ale zrozumcie, ja też czasami bywam zmęczony.

— Kiedy moglibyśmy się zobaczyć?

— Jutro w recepcji. Powiedzmy.. o dziesiątej rano.

Czuję jak w kieszeni otwiera mi się sprężynowy nóż, bo jeden z tych namolnych drani atakuje w dalszym ciągu:

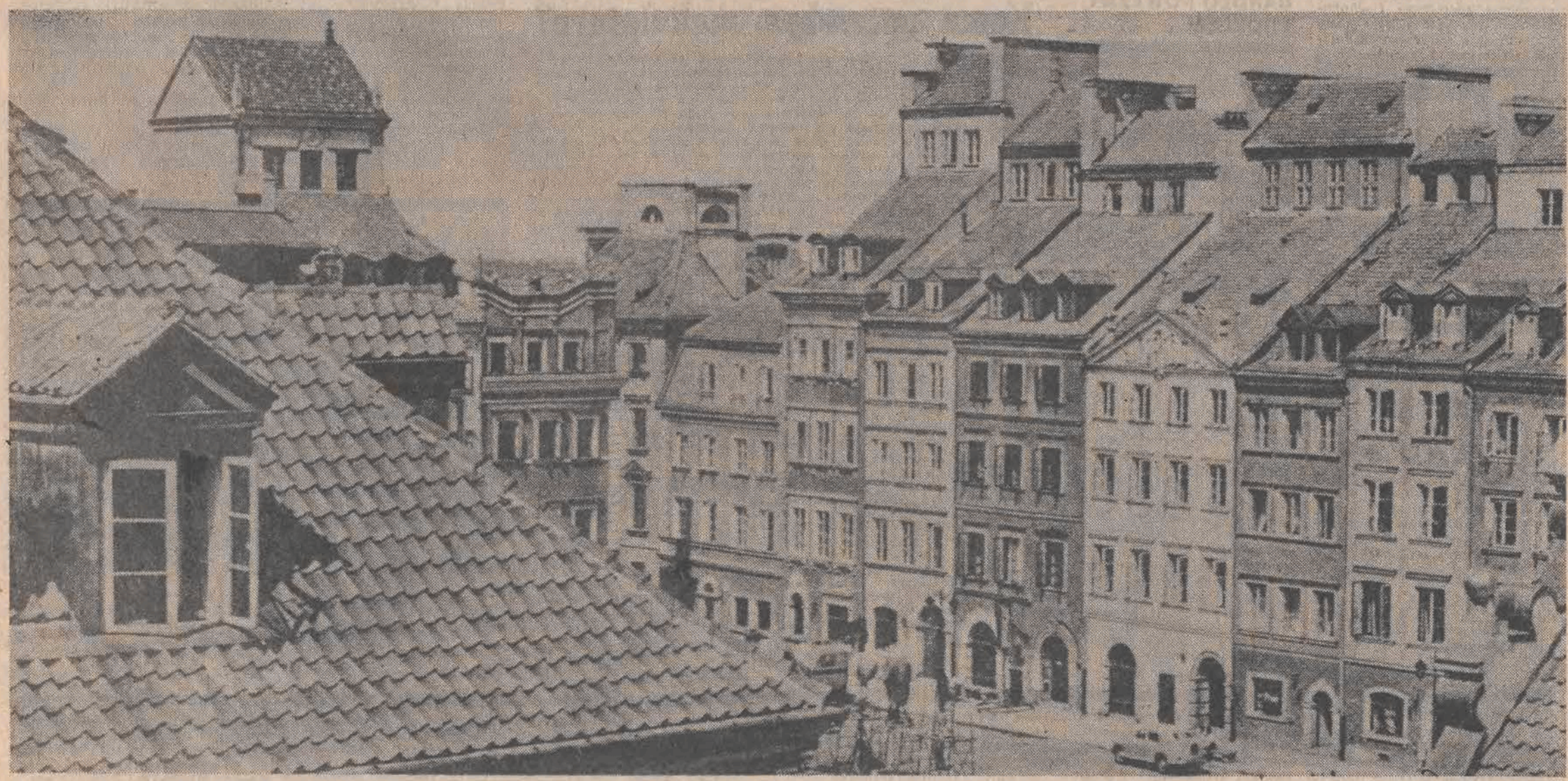

Foto: Archiwum

Przegląd prasy

SZANSE PLANU TRZYLETNIEGO

Jerzy Kleer w „Polityce" pisze o trzyletnim planie społeczno-gospodarczym w artykule pt. „Węzeł gordyjski" Przedstawia swoje wątpliwości i obawy dotyczące m.in. barier w handlu zagranicznym, konieczności ograniczania samorządności producentów dla realizacji wybranego wariantu planu, nikłych szans ograniczenia materiałochłonności i energochłonności naszej gospodarki. Kleer przypomina: *„Po raz pierwszy w naszej historii poddano publicznej dyskusji program, w którym zawarte są różne warianty rozwoju. Nie przesądzając o charakterze i kształcie dyskusji nad projektem planu, należy stwierdzić, iż jest to ważny krok w tworzeniu warunków dla społecznej artykulacji celów, a co za tym idzie krok w kierunku usprawnienia planowania (...)*

W dokumencie zawarte zostały warianty planu, jednakże rząd wyraźnie opowiada się za jednym z trzech możliwych, u podstaw którego legły główne cele społeczno-ekonomiczne już wcześniej sformułowane. Są one następujące:

- *zapewnienie wyżywienia narodu przy maksymalnie możliwym zmniejszeniu zależności od importu zbóż i żywności;*
- *maksymalnie możliwe w przewidywanej sytuacji gospodarczej zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych i związany z tym rozwój infrastruktury miejskiej i osiedlowej;*
- *ochrona przed skutkami kryzysu warstw i grup ludności znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji materialnej, przy aktywnym działaniu państwa, zmierzającym do ograniczenia lub likwidacji sfer ubóstwa;*
- *dążenie od odczuwalnego wzrostu zadowolenia społeczeństwa z usprawnienia organizacji i funkcjonowania życia społecznego.*

Jedną z najtrudniejszych przeszkód w realizacji planu widzi Kleer w sferze motywacji: *„...musimy odpowiedzieć na podstawowe — moim zdaniem — pytanie. czy istnieje dostatecznie silny system motywacyjny zdolny do pobudzania energii społecznej wystarczającej do realizacji wybranego wariantu planu. Na tak postawione pytanie nie mamy jak dotąd jednoznacznej odpowiedzi. Sam fakt, że chcemy żyć lepiej, że całe społeczeństwo, a co najmniej jego przytłaczająca większość, ma dosyć procesów degradacyjnych w sferze społecznej i ekonomicznej, nie jest jeszcze równoznaczny z istnieniem sprawnie działającego systemu motywacyjnego. Wiele zaś istnieje na to dowodów, że dzisiaj brak takiego systemu. Ten, który się tworzy, stale podlega rozregulowaniu. Przejawia się to wyraźnie w praktyce działania przedsiębiorstw, w nasilaniu opiekuńczych funkcji państwa, w istnieniu wciąż jeszcze silnych grup nacisku, w pozycji monopolistycznej licznych przedsiębiorstw i organizacji ekonomicznych."*

WYRAZY WDZIĘCZNOŚCI

Trener Kazimierz Górski w wywiadzie dla „Przeglądu Tygodniowego" relacjonuje katowicką konferencję PZPN poświęconą podsumowaniu udziału drużyny narodowej w Mistrzostwach Świata w Hiszpanii. Ostro atakuje lekarzy — opiekunów naszej „srebrnej" ekipy: *„...Nie dokonano oceny medycznej i sędziowskiej. Lekarz ekipy dr Janusz Garlicki i sędzia obserwator PZPN Stefan Paszkowski nie przyjechali do Katowic. Podobno wypoczywają na urlopach. Fakt nieobecności lekarza i sędziego obserwatora jest lekceważeniem ludzi. Konferencja nie została zwołana z dnia na dzień i sądzę, że zwykła przyzwoitość nakazywałaby przyjechać na nią nawet z najbardziej atrakcyjnie spędzanego urlopu, mówię to zakładając, że sport traktuje się serio i z należytym zaangażowaniem."*

O moralności lekarzy także Andrzej A. Dobrzyński w „Szpilkach": *„Wcale nie twierdzę, że wszyscy lekarze „biorą", zdarzają się w tym zawodzie także postawy judymowe i podobno nierzadko Pewien znajomy nie przyjmuje niczego, nawet „Klubowych", ale źle na tym wychodzi. Pacjenci powiadają wprawdzie, że dr Z. to przyzwoity człowiek, jednak od razu dodają: — wie, że nic nie potrafi, więc uczciwość nakazuje mu odmawiać. Nie „biorąc" lekarz naraża na szwank swój autorytet zawodowy w odczuciu chorych i moralny w odczuciu kolegów."*

O zupełnie innej grupie zawodowej Jerzy Urban w „Tu i Teraz". *„Ostatnio toczy się u nas*

ŚMIESZNA DYSKUSJA

o literatach i ich związku" — pisze Urban i proponuje rozwiązanie radykalne — likwidację Związku Literatów Polskich! Uzasadnia, że byłoby to z korzyścią dla czytelników, dla poziomu produkcji literackiej i dla samych literatów. Polityka wydawnicza uwolniłaby się od nacisku koterii, uwarunkowań i układów, literaci mierni zajęliby się czym innym, a wybitni opływali w dostatki. *„Gdyby u nas istniał współczesny Sienkiewicz i Żeromski, czyli pisarze o tej skali społecznych wpływów, jakie mieli tamci w swoim czasie — gra o takich dwóch panów byłaby rzeczą politycznie doniosłą. U nas jednak nie warto zabiegać o pozyskanie czy neutralizację kogokolwiek, gdyż żaden pisarz nie ma istotnego wpływu na społeczeństwo, na jego sposób myślenia, na emocje publiczne, na ideowe orientacje. Przeświadczenie, że wpływ taki ma i może wywierać zbiór osób indywidualnie nic nie znaczących, czyli środowisko literackie — to przedziwne złudzenie wynikające z irracjonalnej sakralizacji pisarskiego zawodu."*

Tekst Urbana wykazuje zadziwiające współbrzmienie z felietonem sprzed kilku tygodni zamieszczonym w „Szpilkach" pióra niejakiego Klaksona. Klakson przeprowadzał tam wywód, iż artyści są głupi i ograniczeni, natomiast politycy niebotycznie mądrzy, wnikliwi i rozważni. Klakson, artysta poniekąd, pisujący takie samokrytyczne teksty w „Szpilkach" nikogo nie dziwi i nie szokuje. Jerzy Urban w odróżnieniu od Klaksona jest ministrem, a nie tylko felietonistą. Nie podejmując polemiki z Urbanem (n.b. jest dość przekonywający!) chciałbym jednak wiedzieć, czy w tym konkretnym przypadku głos w „śmiesznej dyskusji" jest głosem publicysty czy ministra?

BARDZO POWAŻNY PROBLEM

od tygodni wałkuje „Panorama". Zainspirowana przez Janusza Przymanowskiego snuje rozważania na temat reprezentacyjnego Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego. Jak przystało na czas kryzysu przytacza nawet argumenty ekonomiczne (porównanie z kawalerią „Mosfilmu", jedyną chyba na świecie dochodową jednostką wojskową!). Ostatnio, jakby traktując los Reprezentacyjnego Szwadronu jako przesądzony, tygodnik wchodzi w szczegóły. Szymon Kobyliński zaprojektował już nowe mundury, szczegóły wyposażenia i uprzęży. W ostatnim numerze grupa miłośników Dawnej Broni i Barwy ustosunkowała się do propozycji Kobylińskiego, która jest kompilacją różnych elementów na bazie munduru szwoleżera Księstwa Warszawskiego: *„Wersja historyczna jest niezwykle kusząca, ale dziś wyglądałaby... operetkowo. Gala owszem, ale Szwadron to żołnierze! a nie przebierańcy..."*

Propozycja znawców Dawnej Broni i Barwy jest rzeczowa: Szwadron ma być jednostką współczesnego wojska. niech więc będzie umundurowany tak, jak całe wojsko, oczywiście z koniecznymi kawaleryjskimi dodatkami.

Takie to zmartwienia i problemy ma redakcja tygodnika „Panorama" w połowie roku 1982...

Dużo poważniejszą sprawą zajął się „Przegląd Tygodniowy". Z wywiadu udzielonego tygodnikowi przez prezesa Komitetu d.s. Radia i Telewizji dowiedzieć się możemy nawet

ILE WYNOSI HONORARIUM PREZESA

za program pt. „Proste pytania". Wynosi ono mianowicie 2 tysiące. Prezes odsłania kulisy swego warsztatu, opisuje, jak korzysta z listów czytelników, czyich opinii i rad wysłuchuje. Przyznaje się także do swoich sporów z cenzurą.

Pytanie Jerzego S. Maca: — *Czy sądzi pan, że w aktualnej sytuacji istnieje zapotrzebowanie społeczne właśnie na monolog — monolog przedstawiciela władzy, członka rządu, szefa najbardziej wpływowej instytucji masowego przekazu? Ludzie mają już dość monologów wygłaszanych z mównicy.*

Odpowiedź prezesa Loranca: — *Jeśli chodzi o samą formę przekazu — jest to monolog. Ale jeśli chodzi o treść moich niedzielnych felietonów — jest to specyficzny rodzaj dialogu z telewidzami. Na część listów staram się odpowiadać. Nie na wszystkie: na te, które mogą stanowić kanwę do dziennikarskiej refleksji.*

Prezes ocenia tzw. „oglądalność" swoich „Prostych pytań" na 10 do 14 proc. Sądzić można, że zapoczątkowany w ostatnią sobotę program „Pytania i odpowiedzi" z udziałem wicepremierów i ministrów będzie miał oglądalność dużo wyższą i że będą w tym programie padać nie tylko proste pytania... Pierwszy program z tego cyklu wyraźnie to zapowiada.

TERLECKI ZAPOWIADA KLĘSKĘ PORĘBY

na łamach „Życia literackiego". Reżyser Poręba mianowicie zamierza robić film historyczny o generale Władysławie Sikorskim i uzyskał telefonicznie zgodę Olgierda Terleckiego na udział w tym przedsięwzięciu. Terlecki wycofuje publicznie tę zgodę, ponieważ dowiedział się, że obok niego konsultantem filmu ma być Jerzy Klimkowski, o czym w telefonicznej rozmowie Poręba nie wspomniał.

„Z pewnością Jerzy Klimkowski, były rotmistrz i były animator błażeńskiej rebelii przeciw Sikorskiemu, jaką bez żadnego powodzenia usiłował zdetonować wśród wojsk polskich w Iraku w roku 1943, jest obecnie obywatelem nieposzlakowanym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Lecz równocześnie tenże Klimkowski znany jest historykom jako autor dwu książek wydanych rączo w okresie tego rodzaju przedsięwzięciom dość sprzyjającym, w okresie kiedy o Sikorskim pewni nabieracze i mitomani paplać mogli, co im się tylko podobało, bo to się władzy podobało, książek pod frapującymi tytułami „Byłem adiutantem gen. Andersa" (1959) i „Katastrofa w Gibraltarze" (1964) I otóż dla historyka Klimkowski jako autor jest dziś jedynie prymitywnym bajarzem..."

Przestrzegam: film o generale Sikorskim, którego to dzieła konsultantem, to jest w istocie doradcą będzie Klimkowski, stać się musi reżyserską katastrofą.

Jeżeli wszakże p. Poręba gustuje w katastrofach osobistych, co nie jest wykluczone, jako że ludzie miewają różne charaktery i upodobania, to doradzałbym zaproszenie w charakterze drugiego konsultanta p. Stanisława Strumpha Wojtkiewicza, w charakterze zaś trzeciego konsultanta p. Rolfa Hochhutha. Byłby to już komplet, zapewniający totalne zmarnowanie pieniędzy polskich podatników, a także zatarcie wszelkich śladów prawdy historycznej."

POWRÓT PIECHNICZKA

zelektryzował prasę i opinię publiczną. Wprawdzie pan trener opuścił fotel (?) selekcjonera na krótko, jak w piosence „wyszłam za mąż, zaraz wracam", tym niejmniej szumu się narobiło. Ryszar Niemiec w stałym felietonie na łamach „Życia Literackiego" pisze o pewnych prawidłowościach w naszym życiu sportowym: *Od wieków na całym świecie odchodzą zwykle przegrani. W dziwnym kraju nad Wisłą, na sportowym gruncie coraz bardziej utrwala się moda posyłania w diabły wodzów zwycięskich. W czasach, kiedy polscy lekkoatleci nie mieli równych w Europie, pałacowe przewroty spowodowały exodus rzeczywistych twórców „cudownego zespołu" — Jana Mulaka, Zygmunta Szelesta... Trenerem skoczków narciarskich na Olimpiadzie w Sapporo, dla nas pamiętnej z racji złotego medalu Fortuny, był Janusz Fortecki. Wkrótce po powrocie z Igrzysk zrzekł się funkcji opiekuna kadry, poddany niczym nie uzasadnionej presji środowiska narciarskiego.*

Największego Machiavellego polskiego wyczynu, bezwzględnego Huberta Wagnera zmogły zwiewne dziewczęta z kadry siatkarek, największego liberała wśród szkoleniowców — Kazimierza Górskiego — zdemobilizowali pazerni piłkarze, z których zrobił gwiazdy...

Na szczęście Piechniczek wrócił — i bardzo dobrze!

ANDRZEJ KAROLCZAK ■

Komu potrzebna makulatura?

Ponieważ wiele mówiło się i mówi nadal o potrzebie zbierania makulatury, tak indywidualnie jak ogólnospołecznie — redakcja „Odgłosów" postanowiła wykazać się obywatelską postawą i nie tyle samemu zająć się zbieractwem zbędnych papierzysk (za co mogłaby uzbierać np. na welurowe zasłony do pomieszczeń redakcyjnych czy inne luksusy), ale postanowiła pomóc innym.

Pomyśleliśmy o uczniach, jako że z kręgów zbliżonych do szkolnictwa wiemy, że w szkołach zbiórki makulatury są obowiązkowe i rzutujące znacznie na oceny ze sprawowania.

Pierwsze kroki poczyniono pod koniec roku szkolnego nawiązując kontakt z dyrekcją jednego z łódzkich liceów. I tu spotkało nas przykre rozczarowanie. Otóż po wyrażonym przez ob. Dyrektora ogólnym zachwycie, ze słuchawki padło wiele słów znamionujących ogólną niemożność (czy też brak chęci?). Po krótkiej konsultacji doszliśmy do porozumienia, że redakcja poczeka, a Dyrektor popyta wśród młodzieży, czy jest ktoś chętny. W tym miejscu wypada zaznaczyć, iż zdawaliśmy sobie sprawę ze zbliżającego się zakończenia roku szkolnego i w związku z powyższym wystąpiliśmy z następującą propozycją: iżby ktokolwiek z podopiecznych Pana Dyrektora — spędzający wakacje w mieście — zechciał przyjść do redakcji raz na dwa tygodnie czy nawet raz w miesiącu i odbierać odkładane przez nas te kilka kilogramów makulatury.

Niestety — i tu tkwi przyczyna naszego rozczarowania — ob. Dyrektor stwierdził podczas kolejnej rozmowy, że owszem bardzo chętnie, ale... po wakacjach.

To jeszcze nie koniec naszej przygody z makulaturą.

W międzyczasie obiła nam się o uszy pogłoska, jakoby młodzież jednej z popularniejszych łódzkich szkół zbierała wszystko co tylko zebrać można (a później spieniężyć) — w tym również makulaturę — na pomnik swego Patrona.

Kując żelazo póki gorące, nawiązaliśmy kontakt, a Pani Dyrektor obiecała: „...dziękujemy, przyjedziemy (samochodem szkolnym, a jakże!) pod koniec lipca". Dobre i to. Tak więc pełni nadziei czekaliśmy... Aż w końcu w połowie sierpnia postanowiłam monitować i co usłyszałam? — „Wie pani teraz akurat nie ma... uczniów. Ale dziękujemy, przyjedziemy w najbliższy poniedziałek, najdalej we wtorek".

Czekaliśmy, czekamy nadal, a tu „ani widu ani słychu". Ale my nie rezygnujemy tak łatwo. Więc ogłaszamy wszem i wobec (bo jednak wierzymy w młodzież), że redakcja „Odgłosów" (tel. 652-44) ma do odstąpienia co jakiś czas pewną ilość makulatury i najchętniej nawiązalibyśmy kontakt stały z jedną z łódzkich szkół.

Kto na ochotnika?...

M. B. ■

Jest tylko jedna socjalistyczna Polska

25 sierpnia po głównym wydaniu dziennika, przed kamerami TvP wystąpił zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, członek WRON, minister Spraw Wewnętrznych gen. dyw. CZESŁAW KISZCZAK. Powiedział m.in.:

„W końcu sierpnia podziemie chce ponowić próbę prowokacji politycznej. Znamy jej scenariusze. Mamy niemało informacji o ludziach, którzy się angażują w tę niebezpieczną inicjatywę. Lękają się oni procesu normalizacji, uspokojenia umysłów, gdyż wiedzą, że wytrąca im to grunt spod nóg. Dlatego zmniejszenie napięcia oraz łagodzenie rygorów stanu wojennego powoduje nasilenie ataków z ich strony.

W Warszawie konspirujący ekstremiści chcą zorganizować różnorodne akcje, w tym zwłaszcza zgromadzenia ludności w znanych nam 4—5 centralnych punktach miasta, by stąd udać się na wiec. Nawołuje się — w ulotkach oraz w szeptanej propagandzie — aby w miejscach tych zebrali się mieszkańcy miasta, a zwłaszcza młodzież. Stwierdza się obłudnie, że mają to być rzekomo „manifestacje pokojowe", tak zwane „marsze porozumienia". Ale dlaczego w takim razie przygotowuje się łomy, pałki, butelki z benzyną, zaostrzone pręty do przebijania opon oraz inne niebezpieczne narzędzia i środki. Planuje się także organizowanie punktów medycznych, które udzielałyby pomocy niechybnym ofiarom zajść.

Ulotki podziemia informują o specjalnych instrukcjach, jakie poszczególne grupy mają otrzymać dopiero na miejscu zbiórki. Znamy również te instrukcje. Wprost nie chce się wierzyć, że opracowali je ludzie mieniący się nadal działaczami związkowymi lub zatrudnieni w przeszłości jako pracownicy nauki. Nie mają one nic wspólnego z działalnością związkową, natomiast jakże wiele z tak rozpowszechnionym na Zachodzie terroryzmem. Wiemy, że plany podziemia nie dotyczą jedynie stolicy. Podobne prowokacje, a także inne formy wrogich wystąpień, przygotowywane są również w innych regionach kraju.

(...)Interesów państwa i narodu nikomu deptać nie pozwolimy. Jeśli za mało było dotychczasowych lekcji, prowokatorzy odbiorą następne. Władze i organa porządku dysponują wystarczającymi i skutecznymi siłami oraz środkami dla gwarantowania spokoju i bezpieczeństwa. Ład publiczny będzie zapewniony.

(...)Szczególnie oburzające jest to, że wciąga się młodzież do przestępczych, konspiracyjnych akcji. Doświadczeni gracze żerują na młodzieńczej żarliwości, na stosunkowo niewielkim wyrobieniu politycznym. Młodzi ludzie, często nawet uczniowie, popychani są z ukrycia do działań, które muszą się spotkać z surową reakcją prawa. Inspiratorzy kryją się w cieniu, pod cierpiętniczym płaszczem konspiracji. Wiodą przy tym najczęściej wygodne życie, obłowieni milionami związkowych złotówek, a nierzadko wspomagani suto przez zagranicę dolarami. Te sumy są nam również znane Będziemy je ujawniać.

(...)Siewcy niepokoju i nienawiści doznają porażki. Nie pomogą im żadne nielegalne kroki, żadne prowokacje. Klęskę poniesie ich zamiar skłócenia tzw. podziemnego społeczeństwa w niepodległej, suwerennej Polsce. **(...) Biegu historii odwrócić się nie da. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie odstąpią od swojej zasadniczej linii politycznej pod czyimkolwiek naciskiem. Nie zrezygnujemy z reform, demokratyzacji, dialogu i porozumienia, ale władzy nie zabraknie determinacji, aby pokrzyżować każdy kontrrewolucyjny zamach na socjalistyczne państwo.**

(...)Nie ma Polski „reżimowej" i Polski „podziemnej". Jest tylko jedna socjalistyczna Polska — nasza wspólna, bezpieczna i niepodległa".

Nieudana próba wzniecenia niepokojów ulicznych

Podczas gdy ogromna większość społeczeństwa przemówienie ministra spraw wewnętrznych potraktowała z właściwą powagą i troską, grupka politycznych awanturników w Łodzi zlekceważyła głos rozsądku i wszelkie ostrzeżenia. W dniu 26 sierpnia — w rocznicę wybuchu strajku załogi MPK — pod zajezdnią autobusową przy ul. Kraszewskiego, gdzie znajduje się tablica pamiątkowa zebrało się ok. 400 osób w celu odbycia „pokojowej" demonstracji. Zbiegowisko wywołano celowo w godzinach szczytu komunikacyjnego (ok. 17.00) i przyciągnęło ono grupę przechodniów. Organizatorzy akcji zachowywali się coraz bardziej agresywnie i prowokująco, co zmusiło do zareagowania funkcjonariuszy MO. Zbiegowisko rozproszyło się szybko, ale nieliczne grupki „demonstrantów" zachowywały się nadal agresywnie w stosunku do MO. Wybito szyby i uszkodzono karoserię dwóch radiowozów, siedmiu milicjantów odniosło rany. ZOMO użyło środków chemicznych.

Zatrzymano ok. 100 osób, które stanęły przed Kolegium ds. Wykroczeń.

Łódzka prasa codzienna przypomina, że w przypadku powtórzenia się podobnych incydentów, Wojewódzki Komitet Obrony zastosuje wobec ich sprawców wszystkie rygory i konsekwencje wynikające ze stanu wojennego.

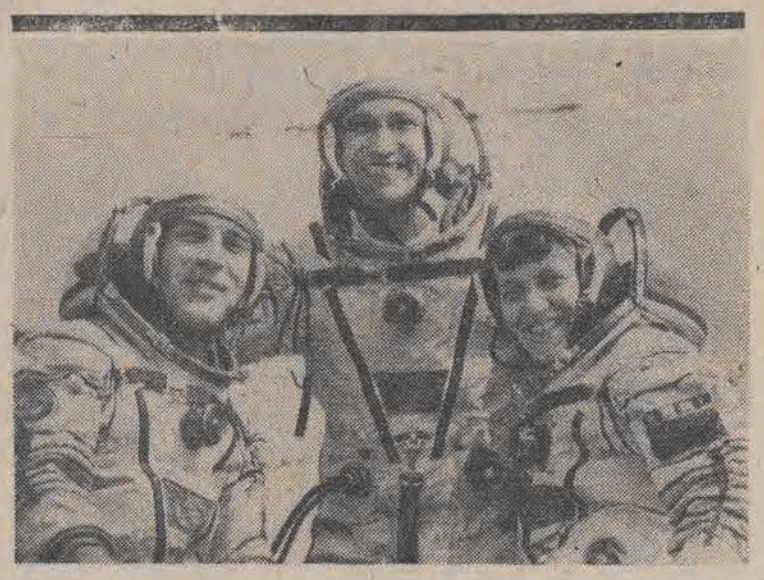

Załoga statku kosmicznego „Sojuza T-7" — od prawej: Swietłana Sawicka, Leonid Popow i Aleksander Sieriebrow.

CAF — TASS ■

Redaguje zespół **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny) **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego) **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter)

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1603. F-2.

Pisarz dotrzymał słowa...

Dokończenie ze strony 1

— A nie mógłby pan przynajmniej powiedzieć, co pan myśli o tej haniebnej klęsce?

— Już tyle razy o tym mówiłem... Wszystkiemu zawinił pierwszy gol

— Z reguły przecież pada jakiś gol, ale nie oznacza to jeszcze porażki?

— Tak. Ale nasi za szybko i za nerwowo chcieli odrobić straty. W powszechnej opinii uchodzili za faworytów, rzucili się na oślep do ataku zapominając, że każde boisko składa się niestety. z dwóch bramek.

— Mnie tam — wybucha zapalczywy reporter — od początku nie podobał się Cubillas.

— Wam, dziennikarzom, Cubillas nie podoba się już od dobrych paru lat.

— A tak! Żeby pan wiedział. Publiczności też się nie podoba. Jest emerytem (jubilado), najwyższy czas, aby ustąpił miejsca młodszym.

Rozmowa, wypisz wymaluj, jak w czasie polskiej konferencji prasowej, kiedy sfora pana Orczyka zaczyna pastwić się nad trenerem. Bo to, wiecie, fachowcy rozmawiają z niefachowcem, a że ten ostatni jest możny i sławny, próbują podeprzeć się jego opinią.

Siadam wreszcie z Llosą na wygodnej pluszowej kanapie. Ktoś robi nam zdjęcie, ale nikt nam nie przeszkadza. Wzdycha, głośno wypuszczając ustami powietrze. Mam wrażenie, że wysiłek fizyczny, jaki włożył w podpisywanie swych książek, uspokoił go trochę, aczkolwiek patrząc na mnie z lekka przymrużonymi oczami, które są błyszczące i czarne, jak nagrzana słońcem smoła, powtarza raz jeszcze:

— Tak. Ten pierwszy gol zaważył na .wszystkim.

— Widzę, że strasznie pan to przeżywa.

— No, bez przesady.

— Ja też to przeżywałem strasznie. Gdyby Polacy odpadli, jutro przyleciałby po nas czarterowy samolot i wieczorem byłbym już w kraju.

— A nie chce pan wracać?

— Chcę, tylko jeszcze nie teraz. Mam napisać o Mundialu książkę, a do tego potrzebne są nam dalsze zwycięstwa.

— Życzę wam ich gorąco.

— Dziękuję. Pan bardzo dużo pisze dla galicyjskiej prasy.

— Tak. W najbliższych dniach przeniosę się do Barcelony i będę drukował komentarze z Mistrzostw w dzienniku La Vanguardia.

— Czy to prawda, że oprócz doraźnych publikacji, nosi się pan z zamiarem ujęcia swych przeżyć hiszpańskich w jakimś większym utworze?

— Nie.

— Bo twierdziła tak jedna z gazet.

— Widocznie wiedzą więcej ode mnie.

— Ale nie wyklucza pan, że kiedyś Mundial odbije się w jakiejś z pana powieści?

— Tego nigdy nie można wykluczyć.

— Pan systematycznie zajmuje się sportem?

— Tylko od czasu do czasu. Napisałem powieść: El Cuarto de hora de la Reina Dormida (Kwadrans śpiącej królewny), której bohaterem jest piłkarz, a tłem problemy tego sportu. Kiedy wydałem ją, przyrzekłem sobie, że już nigdy do tych spraw nie wrócę.

— No i wrócił pan?

— Tak. Otrzymałem po prostu takie zamówienie.

— A dlaczego nie chciał pan wracać?

— Jakoś było mi wstyd. Tyle jest ważniejszych tematów.

— To prawda. Ale niech pan weźmie pod uwagę, że Hemingway do końca życia nie wstydził się wracać do swoich ukochanych byków, torreadorów, bokserów, zapaśników, cyklistów... O klasycznej piłce nigdy wprawdzie nie pisał, ale jeśli pan przeczyta początki „Starego człowieka i morze", znajdzie pan tam ślady autentycznej fascynacji amerykańskim futbolem.

— Ceni pan północnoamerykańską literaturę?

— Taaak. Ale niech pan nie zapomina, że w ostatnim czasie więcej wniosła do światowej kultury literatura latynoska.

— Którego z pisarzy tego obszaru ceni pan najbardziej?

— Borgesa.

— A potem?

— O, jest wielu wspaniałych.

— Marquez?

— Tak.

— Cortazar?

— Tak.

— Carpantier?

— Taaak.

— Czytałem pana entuzjastyczną recenzję o powieści José Lazama Limy „Paradiso" (Raj). Napisał pan, że to jedna z najodważniejszych, najzuchwalszych i najbardziej mistrzowskich przygód (aventuras) literackich, jakie ukazały się w naszym wieku.

— Bo tak jest.

— Wspomnieliśmy już dwóch Argentyńczyków: Borgesa i Cortazara. Swego czasu miałem również okazję zapoznać się z twórczością trzeciego. Nazywa się Dalmiro Seanz. Wydano mu w Polsce niewielki zbiór opowiadań pod tytułem Setenta veces siete, który, niestety, całkowicie umknął uwadze naszych krytyków, a na mnie wywarł ogromne wrażenie. Co za wspaniała proza! Ile w tym niekłamanego głębokiego artyzmu! Cierpiałem, kiedy jeden z wenezuelskich dziennikarzy powiedział mi, że Seanz żyje w nędzy na przedmieściach Buenos Aires.

— No... może lekka przesada, że w nędzy.

— Jest popularny?

— Nawet bardzo.

— Ale, jak widzę, nie darzy go pan nadmierną estymą.

— Przeciwnie. Uważam, że to dobry pisarz. Jak to będzie po polsku Setenta veces siete?

— Siedemdziesiąt razy siedem.

— Trudno wymówić.

— Mnie nietrudno. Co chciałem powiedzieć... Wydaje mi się, że jest pewien rozdźwięk między literaturą hispanoamerykańską i brazylijską.

— Może chodzi tu raczej o sprawę dwóch różnych języków.

— Różnych, ale podobnych.

— Pozornie.

— Tym niemniej. Brazylijczycy również mają znaczące osiągnięcia literackie. Weźmy taką „Karierę".

— To już raczej klasyka.

— A niektóre powieści Jorge Amado?

— Ten człowiek, jakby to określić, jest od wielu lat na pozycjach wstecznych.

— Wydaje mi się jednak, że ten człowiek, zdradzając w pewnym sensie swoje wcześniejsze, lewicowe przekonania i odchodząc od ważkiego nurtu powieści społeczno-politycznej, zrobił jednocześnie skłon w stronę magicznego realizmu i wzbogacił go nawet na swój brazylijski sposób. Weźmy te wszystkie, czarowne historie z zatoki bahijskiej, gdzie religia katolicka splata się z wierzeniami murzyńskimi, a życie ludzkie, pełne barwnych przygód i dziwacznych niespodzianek, płynie jakimś metafizycznym, baśniowym łożyskiem...

— Nie odbieram tego w ten sposób. Niech mi pan powie: czy są w Polsce pisarze, którzy uprawiają magiczny realizm?

— Sądzę, że mógłbym wymienić dwa nazwiska. W latach czterdziestych, nim jeszcze magiczny realizm pojawił się w leksykonie krytyki literackiej, Wojciech Żukrowski wydał zbiór opowiadań pod tytułem „Piórkiem flaminga". Była to znakomita, na poły baśniowa proza mieszcząca się dziś w jednej szufladzie z utworami Marqueza, Cortazara i Limy. Także Bernard Sztajnert, być może: wcale o tym nie wiedząc, uprawia twórczość, która ma wiele wspólnego z owym literackim, typowo latynowskim trendem.

— To ciekawe. Czy mają hiszpańskie przekłady?

— Chyba nie (Panie Wojciechu, Drogi Bernardzie! W razie czego, dziesięć procent dla mnie!).

— Widzę, że jest pan wielkim przyjacielem Ameryki Łacińskiej — mówi Mario Vargas Llosa, z którego twarzy znika naraz wszelkie rozgoryczenie i wszelakie zmęczenie. — Skąd to się bierze?

— Byłem tam.

— Kiedy?

— W siedemdziesiątym siódmym roku.

— W jakich krajach?

— W Argentynie i Brazylii. Pan wybaczy... Pisze pan z ogromną miłością o wszystkim, co dotyczy Ameryki Łacińskiej. Jeśli chodzi o futbol, sławi pan graczy honduraskich, argentyńskich i peruwiańskich, nigdy natomiast nie wspomina pan znakomitych Brazylijczyków, takich chociażby, jak Socrates, Zico czy Falcao. Czyżby tego przyczyną były znowu dwa różne, choć jakże podobne, języki?

— Pan jest chyba przewrażliwiony — śmieje się Llosa.

— Być może. Nasuwa mi się jeszcze jedno spostrzeżenie. Jakkolwiek oręduje pan gorąco autorom magicznego realizmu, sam jest pan od tego stylu daleki. Świadczy o tym, chociażby, Rozmowa w Katedrze, niesłychanie ambitna formalnie, chwilami antypowieściowa, a przecież... trzymająca się obydwiema nogami ziemskiego padołu: polityki, ekonomii, obyczaju. Pan chce załatwić wiele zwykłych, ludzkich spraw. Zgoda?

— Tak.

— A więc jest pan pisarzem — realistą?

— Zazwyczaj.

— Pozwoli pan, że zapalę?

— Proszę.

— A pan?

— Dziękuję.

Na stadionie, o ile pamiętam, również nie palił. Rozprawił się widocznie z tym nałogiem. Ale... trawestując myśl Gabriela Garcii Marqueza (Los funerales de la Mama Grande), zadaję sobie dręczące pytanie, jak można nie palić papierosów w chwili, kiedy ukochana drużyna przegrywa 5 : 1.

Wydmuchując pod sufit kłąb dymu, ciągnę:

— Zna pan jakichś polskich pisarzy?

— Tak. W Argentynie spotkałem kilkakrotnie Gombrowicza, w Paryżu zaprzyjaźniłem się z Mrożkiem. Jakże się ta jego sztuka nazywa?

— Tango?

— Nie. Los Policias. Wspaniały szyderca.

— A Gombrowicz?

— Przeczytałem większość jego książek. Wielki umysł i genialny pisarz. Zmarł.

— Niestety.

— Bywał w Polsce?

— Nie. Ale bywał blisko Polski. Pewna moja znajoma opiekowała się nim w Berlinie Zachodnim. Do kawiarni wchodził zawsze ze starą, podartą mapą naszego kraju. Jak tylko znalazł się w pobliżu jakiś rodak, rozkładał ją na stoliku i wodził po niej palcem, mówiąc:

— O! Tu byłem, tu byłem, tu także byłem.

— Jak panu na imię?

— Andrés.

— Jest pan smutny?

— Dlaczego miałbym być smutny? Wie pan? W tym hotelu, gdzie mieszkam, jest kilku Peruwiańczyków, z którymi zdążyłem się zaprzyjaźnić. Mam tremę przed powrotem i spojrzeniem im w twarz. Oni dopiero muszą być smutni!

— Ano, ktoś musiał odpaść.

— To prawda.

— Niech mi pan powie: są w Polsce znani pisarze, którzy podejmują czasami tematykę sportową?

— Było kilku. Z tego, co pamiętam: Wierzyński, Parandowski, Konwicki, Dygat.

— Wszyscy nie żyją?

— Konwicki żyje, ale pracuje teraz na innych frontach. Kiedy wraca pan do Limy?

— Tuż po meczu finałowym w Madrycie.

— Kto zostanie mistrzem świata?

— Nie wiem. Chciałbym, żeby była to Argentyna lub Polska.

— Jest pan naprawdę niezwykle uprzejmy.

— Nieprawda. W pierwszym wypadku przemawia przeze mnie sympatia, czy jak ktoś woli: latynowski nacjonalizm, w drugim interes.

— Na czym ten interes polega?

— Na tym, że gdyby Polska sięgnęła po złoto, nasza porażka nabrałaby innych znaczeń.

— Bo nie wstyd przegrać z mistrzem?

— Nie wstyd.

— Ale tak czy owak, żal zostaje?

— Zostaje.

Wstaję:

— Dziękuję panu za rozmowę. Jest pan naprawdę wspaniałym człowiekiem i wielkim pisarzem. Jeśli zdobędzie pan kiedyś nagrodę Nobla, zobaczymy się w Sztokholmie.

•

Wracam noga za nogą do hotelu Wenecja. Wszystko przemawia za tym, aby wykonać w powietrzu radosne salto mortale, a ja, jak na złość, jestem smutny. Pewien mądry gość powiedział, że każdemu prawdziwemu pożegnaniu towarzyszy uczucie przemijania.

Może i racja. Ale co to obchodzi piłkarskiego kibica? Weźże no się pan w garść, panie Andrzeju! Na razie jesteś na Mistrzostwach Świata, gdzie zdrowi żywi ludzie grają przeciwko zdrowym żywym ludziom. Śmierci nie ma, skreślamy tę kurwę.

Póki więc co, na zakończenie powiem tylko, że wielki peruwiański pisarz dotrzymał słowa. Do końca, jak Pelé zresztą, dopingował Polskę, w związku z czym przyśniło mi się pewnej nocy, że odwiedził mnie któregoś dnia Władysław Żmuda i pozwolił mi potrzymać w ręce złoty puchar.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

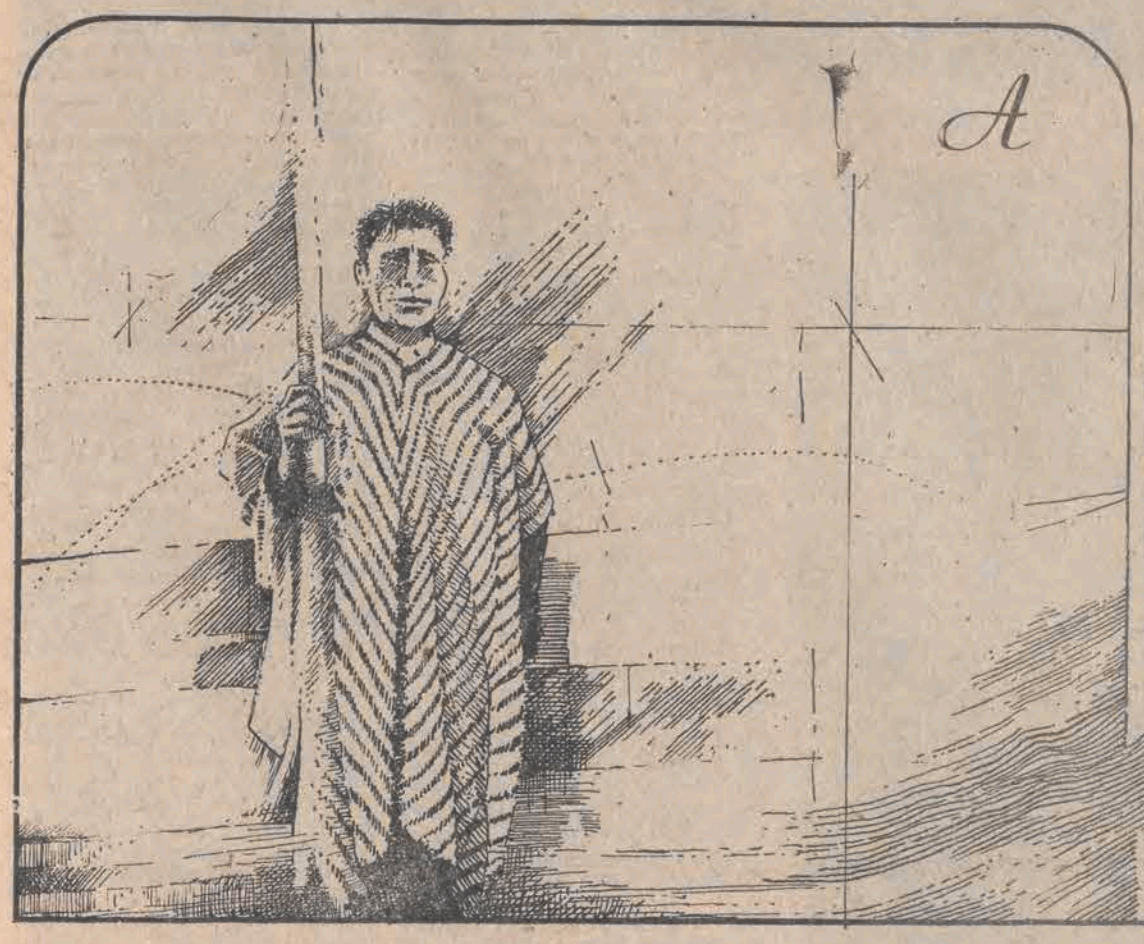

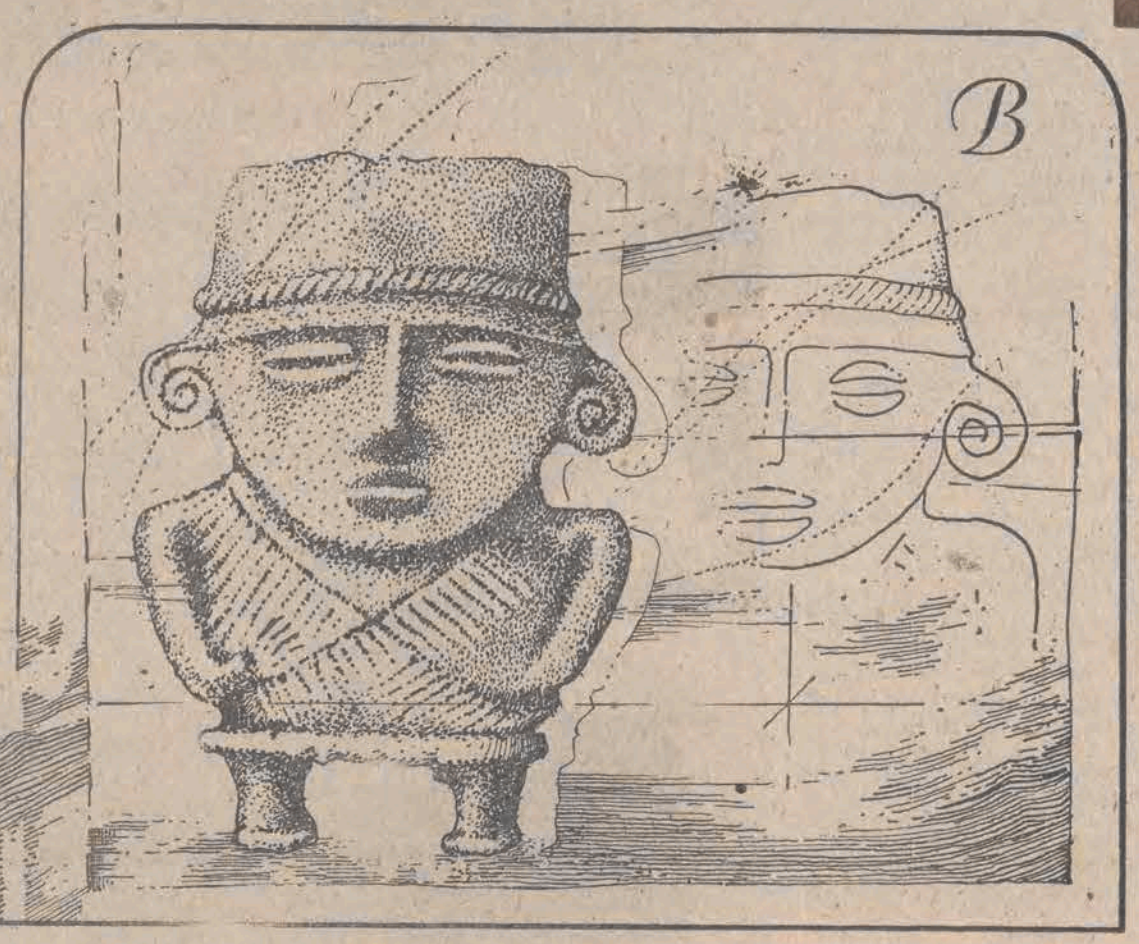

Rys.: Janusz Szymański-Glanc

Pięciu młodych łodzian — żołnierzy Powstania Warszawskiego w obozie łambinowickim

DAMIAN TOMCZYK

W Powstaniu Warszawskim uczestniczyły również dzieci i młodzież, które przeważnie znajdowały się w kręgu oddziaływania Szarych Szeregów. Małoletni powstańcy stanęli do nierównej walki z Niemcami, pełniąc służbę żołnierską na pierwszej linii lub na zapleczu w charakterze łączników, zwiadowców, obsługi poczty polowej. Pokazali, iż potrafią walczyć nie gorzej od dorosłych, celnie strzelać, atakować granatami i butelkami zapalającymi czołgi. Najdłużej bronili się żołnierze AK na Żoliborzu i w Śródmieściu.

Na Żoliborzu walczył m. in. 21 Pułk Piechoty AK im. „Dzieci Warszawy" pod dowództwem kpt. Mariana Kamińskiego — „Jura" (8 Dywizja Piechoty AK im. Romualda Traugutta), a w Śródmieściu największą sławą okrył się 15 pułk piechoty AK ppłka Franciszka Rataja — „Pawła" (28 Dywizja Piechoty AK im. Stefana Okrzei). W szeregach nieletnich powstańców walczyło pięciu żołnierzy AK rodem z Łodzi; dwóch w składzie 21 pp AK: strz. Henryk Piwowarski (ur. 16. IV. 1929 r., syn Stanisława, nazwisko panieńskie matki: Wieczorkowska), strz. Ludwik Fiszer (ur. 13. XI. 1927 r., syn Stanisława, nazwisko panieńskie matki: Piędzicka) oraz trzech w 15 pp AK — strz. Tadeusz Kerpest (ur. 28. III. 1928, syn Alfonsa, nazwisko panieńskie matki: Nowosielska), strz. Zbigniew Kraterski (ur. 19. X. 1927 r., syn Antoniego, nazwisko panieńskie matki: Binasiewicz), kpr. Wiesław Kosiński (ur. 2. XII. 1926 r., syn Jana, nazwisko panieńskie matki: Skonieczna).

W końcu września i na początku października działania bojowe w Śródmieściu miały już tylko lokalny charakter; prowadziły je przede wszystkim zdekompletowane oddziały powstańcze Śródmieście-Północ. 2 października 1944 r. upełnomocnieni przedstawiciele Komendy Głównej AK (płk. Kazimierz Iranek-Osmecki i ppłk Zygmunt Dobrowolski) podpisali w Ożarowie pod Warszawą, w kwaterze pełnomocnika Himmlera ds. walki z partyzantami i dowódcy specjalnego korpusu do zwalczania powstania — obergruppenführera SS i gen. leutnanta policji Ericha von dem Bacha, akt kapitulacji. Układ kapitulacyjny gwarantował powstańcom prawa kombatanckie, a więc status jeńców wojennych (w myśl Konwencji Genewskiej z 27. VII. 1929 r.).

Po kapitulacji ostatniej broniącej się dzielnicy Warszawy — Śródmieścia — okupant sformował kolumny jenieckie, złożone przede wszystkim z resztek 15 i 21 pp AK. Powstańcy opuścili stolicę 4 października 1944 r. i w kolumnach udali się pod eskortą Wehrmachtu do pierwszego w ich życiu jenieckiego punktu etapowego — Ożarowa pod Warszawą, gdzie w miejscowej fabryce kabli przetrzymywano ich przez okres jednego — dwóch dni. Stąd okupant rozesłał ich do różnych obozów jenieckich w Niemczech.

Do Stalagu 344 Lamsdorf (Łambinowice) w rejencji opolskiej Niemcy skierowali liczebnie dużą grupę 5789 żołnierzy AK: oficerów, podoficerów i szeregowych, w tym około 600 chłopców w wieku od 11 do 18 lat. Wśród tych chłopców, którzy byli bezspornie najmłodszymi jeńcami Wehrmachtu, znajdowało się wspomnianych wyżej pięciu nieletnich rodem z Łodzi. Jako harcerze, działający w konspiracyjnej organizacji Szare Szeregi, pozostali wierni hasłu: „Służyć Polsce ze wszystkich sił!".

Pobyt małoletnich powstańców warszawskich w stalagu łambinowickim — to mało znana karta ponurych dziejów tego jednego z największych w latach 1939—1945 obozów dla szeregowych w Trzeciej Rzeszy. W dotychczasowej historii wojen nie zanotowano faktu więzienia dzieci w obozach jenieckich i to w takiej liczbie; casus łambinowicki był więc zdarzeniem bez precedensu.

Podróż do Łambinowic powstańcy odbywali w zakratowanych wagonach towarowych — w każdym od 80 do 100 osób lub nawet więcej. Podczas transportu otrzymywali oni racje żywności i wody poniżej niezbędnego minimum. Rozgrzane słońcem wagony w znacznym stopniu potęgowały pragnienie oraz utrudniały oddychanie. Potrzeby fizjologiczne załatwiali przez wycięte ostrymi narzędziami dziury w podłogach. Do Łambinowic transporty dotarły w dniach 6 i 7 października.

Po przybyciu transportów na stację, w czasie „wyładunku", jeńców wyrzucano z wagonów, kłuto bagnetami, używano wobec nich ordynarnych epitetów („polnische Banditen aus Warschau"), zrywano białoczerwone opaski na rękawach i orzełki polskie z czapek. Przemarsz do oddalonego o ok. 6 km obozu odbywał się w szybkim tempie, wśród złowrogich okrzyków i ekscesów ze strony miejscowej młodzieży z „Hitlerjugend", która ciskała kamieniami w maszerujących. Powstańcy szli pod eksortą żołnierzy Wehrmachtu jadących na rowerach i mających przy sobie psy. Pozostających w tyle szczuto psami. Młodociani jeńcy (wielu z nich było rannych i chorych), wobec których niemieccy konwojenci w mundurach Wehrmachtu zachowywali się brutalnie, masowo mdleli z pragnienia i wycieńczenia fizycznego. Ci, którzy mogli maszerować o własnych siłach, śpiewali „Szturmówkę". Po dotarciu do obozu, jeńców poddano przeszukaniu osobistemu, w czasie którego odebrano im posiadane pieniądze, kosztowne rzeczy oraz dokumenty wojskowe (legitymacje AK). 8 października 1944 r. dokonano ewidencji jeńców i wydano im numery jenieckie (metalowe znaczki rozpoznawcze). Od tego dnia nieletni powstańcy warszawscy stali się numerami.

Najmłodsi powstańcy

Foto: Archiwum

W zachowanej dokumentacji poniemieckiej (listy transportowe Wehrmachtu) znajdujemy również informacje na temat danych osobowych pięciu „łodzian". Strz. Henryk Piwowarski otrzymał w obozie łambinowickim numer jeniecki 103300. Podał on adres M. Radłowskiego, zam. Łódź ul. Fryderyka Wielkiego (dziś Aleja Mickiewicza) 16/15, jako osoby, którą niemiecka komendantura stalagu miała powiadomić o fakcie wzięcia go do niewoli i miejscu przetrzymywania. Z kolei strz. Ludwik Fiszer nosił w stalagu łambinowickim numer jeniecki 103298. Wymienił on J. Fiszera, zam. Warszawa, ul. Skorupki 12, którego władze obozu powinny były zawiadomić o miejscu przebywania tegoż jeńca w niewoli. Strz. Tadeusz Kerpest legitymował się w Stalagu 344 Lamsdorf numerem jenieckim 105389. O wzięciu go do niewoli miał być powiadomiony J. Nowosielski, zam. Radom, ul. Lubońskiego 18. Strz. Zbigniewowi Kraterskiemu nadano w stalagu łambinowicikm numer jeniecki 105200. O wzięciu go do niewoli miał być powiadomiony L. Bucholz, zam Łódź, ul. A. Hitlera 109 (ul. Piotrkowska). Ostatni ze wspomnianej piątki — kpr. Wiesław Kosiński otrzymał w obozie jenieckim w Łambinowicach numer jeniecki 103818. Podał, iż o jego obecnym losie komendantura obozu powinna powiadomić Jana Kowalskiego, zam. Warszawa ul. Solna 55. Należy nadmienić, iż w zachowanych źródłach nie ma pseudonimów, którymi posługiwali się zarówno w czasie walk w Powstaniu Warszawskim, jak również w codziennym życiu obzowo-jenieckim.

Warunki bytowe w stalagu łambinowickim były niezwykle ciężkie. Nieletnich powstańców warszawskich umieszczono w sektorze dla jeńców radzieckich, w najbardziej prymitywnej części obozu łambinowickiego. Dzieci i młodzież, żyjąc w fatalnych warunkach higienicznych, szczególnie dotkliwie odczuwali głód, zimno i plagę insektów. Niskokaloryczne i jednorodne wyżywienie (ok. 600 kalorii dziennie), składające się zazwyczaj z 3 ziemniaków w łupinach i 1/2 litra zupy z palonej brukwi, ok. 300 g chleba, i 1 dkg margaryny oraz namiastki herbaty w objętości 1/2 litra na głowę, powodowało u młodocianych gwałtowny rozwój chorób, zwłaszcza biegunki głodowej, a także szybki spadek wagi. Chcąc wymusić na władzach stalagu poprawę sytuacji żywnościowej, najmłodsi żołnierze Powstania Warszawskiego urządzili na początku listopada 1944 r. trzydniową głodówkę, podczas której nie przyjmowali podstawowego posiłku (obiadu) — zupy z palonej brukwi.

Małoletni jeńcy nie otrzymywali bielizny pościelowej, myli się w kamiennych korytach z zimną studzienną wodą (brak było umywalni), a dopiero z nastaniem pierwszych chłodów wydano po 1 miednicy na 1 izbę; skąpy przydział „gliniastego" mydła nie mógł zaspokić najbardziej elementarnych potrzeb higieniczno-sanitarnych.

W częściowo zdewastowanych barakach było dotkliwie zimno, skąpe zaś — od początku chłodów — przydziały brykietów i drewna — nie zapewniały znośnych warunków mieszkalnych Młodociani jeńcy, chroniąc się przed nieznośnym zimnem, spali więc na pryczach (trzypiętrowych) w ubraniach, płaszczach itp.

Do szczególnie uciążliwych i wyczerpujących siły należały wielogodzinne apele, organizowane przez komendę obozu bez względu na pogodę, w czasie których nierzadko bito, kopano, a niekiedy szczuto psami nieletnich jeńców. Swoistą formę szykan stanowiły także częste przeszukania baraków oraz rewizje osobiste. Po jakimś czasie młodocianych umieszczono pod opieką oficerów AK. Prawdopodobnie nastąpiło to na skutek interwencji Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża i kategorycznego żądania polskiej komendy obozu.

Niepowodzeniem zakończyły się naciski niemieckiej komendantury stalagu lambinowickiego, zmierzające do werbunku nieletnich jeńców do pracy w gospodarstwach okolicznych gospodarzy; wszyscy małoletni odmówili podjęcia takowej pracy.

18 października 1944 r. przeprowadzono w Stalagu 344 Lamsdorf niecodzienny i niespodziewany apel, podczas którego niemieckie władze obozowe chciały wyselekcjonować młodocianych żołnierzy, dotąd rozproszonych jeszcze częściowo wśród dorosłych kolegów. Polski komendant bloku małoletnich, kpt. Wacław Zagórski — „Lech Grzybowski", wydawał komendy, po których szeregi opuszczali kolejno jeńcy do lat 18. Asysta niemiecka w składzie władz obozowych, kilku oficerów Wehrmachtu i Waffen-SS oraz grupki cywilów, filmowała ten apel, chcąc wykorzystać obecność polskich dzieci-żołnierzy do propagowania idei Volkssturmu (hitlerowskiego pospolitego ruszenia) wśrod młodocianych Niemców. Gdy na komendy kpt. W. Zagórskiego zaczęło występować coraz więcej 11, 12, 13, 14, 15, 16-latków, w tym kawalerowie Krzyża Walecznych — hitlerowców ogarnęła wściekłość i przerwali filmowanie; mieli zamiar propagować walkę nieletnich, bo palił im się już pod nogami grunt, lecz nie zamierzali rozsławiać bohaterstwa młodocianych żołnierzy Powstania Warszawskiego.

Na placu apelowym obozu łambinowickiego — wśród ok. 600 najmłodszych żołnierzy świata — stanęło wówczas także 5 chłopców rodem z Łodzi. Po przeprowadzonym apelu władze stalagu wyselekcjonowały najmłodszych jeńców Wehrmachtu i podzieliły ich na dwie grupy: do lat 15 i starszych. Dla większości z nich pobyt w Łambinowicach stanowił tylko etap przejściowy w drodze do innych obozów jenieckich położonych w głębi Niemiec i Austrii. I tak 21 października 1944 r. wywieziono do Stalagu XVIII C w Markt Pongau (Austria) 74 nieletnich powstańców, w tym również strzelców Tadeusza Kerpesta i Zbigniewa Kraterskiego. Z kolei 7 listopada 1944 r. skierowano transportem kolejowym do Stalagu VII A w *Moosburg (obecnie terytorium* RFN) grupę 20 nieletnich jeńców-żołnierzy AK; wśród nich znajdował się kpr. Wiesław Kosiński. W grupie 249 najmłodszych jeńców, wywiezionych 18 listopada 1944 r. do Stalagu IV B w Mühlberg am Elbe (obecnie terytorium NRD), znaleźli się strzelcy Ludwik Fiszer i Henryk Piwowarski.

Przybyłych do tego obozu młodocianych pozbawiono statusu jenieckiego i zobowiązano do pracy w okolicznych zakładach przemysłowych, tworząc z nich tzw. oddziały (komanda) robocze. Wiadomo np., że poprzez Stalag IV B Mühlberg am Elbe wywieziono do kmanda roboczego w Meissen (Miśnia) grupę 24 chłopców, a wśród nich m. in. strz. Ludwika Fiszera.

Skąpe informacje źródłowe nic więcej nie mówią o losach owych pięciu „łodzian" — żołnierzy AK i uczestników Powstania Warszawskiego, a po jego upadku jeńców Wehrmachtu. Wszystkie okrucieństwa życia obozowego stały się także ich udziałem. Młodociany wiek nie dawał im bowiem żadnych przywilejów w traktowaniu ich przez niemieckich strażników. Wszystkich miała chronić konwencja jeniecka. W praktyce wyglądało to zupełnie inaczej.

Być może, w woj. łódzkim, zwłaszcza zaś w Łodzi, mieszkają rodziny lub znajomi Henryka Piwowarskiego, Ludwika Fiszera, Tadeusza Kerpesta, Zbigniewa Kraterskiego i Wiesława Kosińskiego, którzy mogą uzupełnić ich dalsze biografie wojenne, a jeśli przeżyli gehennę życia jenieckiego i obozów pracy przymusowej — również powojenne losy. Jako najmłodsi żołnierze Polski Walczącej zasłużyli sobie bowiem na pamięć obecnych i przyszłych pokoleń tego regionu.

OD REDAKCJI: Kto chciałby uzupełnić historię pięciu młodych łodzian — żołnierzy Powstania Warszawskiego i jeńców Wehrmachtu, może napisać do „Odgłosów" lub do autora, dr Damiana Tomczyka, Instytut Śląski, ul. Luboszycka 3, 45-036 Opole.

Albania — taka sama czy inna

HENRYK SROCZYŃSKI

Patrzenie na Albanię z perspektywy Europy daje uproszczone interpretacje zachodzących tam zjawisk. Obydwie strony — Wschód i Zachód — dostrzegają w tym kraju wiele faktów zasługujących na ironię. Albania oglądana jednak spoza tego regionu przypomina, że niemożność zapewnienia „prawdziwej wolności" nie jest tylko udziałem władz w Tiranie i że w sytuacji ogromnego zacofania najważniejszym problemem jest sprawiedliwość i postęp.

Dyskredytuje się Albanię na Zachodzie i Wschodzie za jej politykę izolacji. Rzadko jednak podkreśla się, że pięćsetletnia walka narodu albańskiego o niezawisłość niemal sejsmicznie uwrażliwiła go na kwestie samostanowienia we wszystkich jej aspektach.

Natura — surowy, górski krajobraz, kształtowała tu ludzi surowych obyczajów, ludzi walecznych, o których narodowy poeta Skanderbeg pisał: jedną dłonią dzierżą pług, a drugą broń. Samodzielnie, przez wieki prowadzona walka, wykształciła też u Albańczyków dużą nieufność i podejrzliwość w stosunku do obcych, a przy tym nadwrażliwość na punkcie własnego honoru i godności. Trudno orzec w jakiej mierze wpływają te cechy narodowe na politykę, a tym bardziej — w jakim stopniu władze wykorzystują znamiona społeczne dla własnej polityki.

Na historii współczesnej narodu albańskiego piętno wywarły również serie zmian kadrowych i pospolitych czystek związanych z kolejnym zrywaniem sojuszów z Jugosławią, ZSRR i Chinami, a także z ujawnianiem różnych grup o różnych orientacjach politycznych. Fakt jednak, że kierunek nadawany przez Envera Hodżę (74 lata), a naszkicowany w 30 tomach jego prac, utrzymuje się od czasu odzyskania wolności, świadczy iż Albania — choć krytykuje się jej drogę — uparcie pozostaje przy własnym socjaliźmie. Przedstawiając więc współczesność tego kraju odłóżmy dzielące nas różnice ideologiczne i spójrzmy na Tiranę tak, jak na stolice innych krajów.

ŻYĆ W TIRANIE

Odwiedziny Albanii stały się modne wśród dziennikarzy zagranicznych (niestety autor, jako że jest obywatelem kraju „rewizjonistycznego" może sobie tylko pomarzyć o takiej podróży).

Moda ta nie wynika tylko z pozycji politycznej jaką zajmuje Albania, ale i z zainteresowania wspaniałym krajobrazem (zwłaszcza piękną jest albańska Riviera) i zabytkami historycznymi. Sprzyja też takim wizytom swoboda dziennikarzy zachodnich w poruszaniu się po stolicy i innych miastach oraz w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi.

Na ulicach w Tiranie — na głównej arterii, Bulwarze Męczenników Narodu i na centralnym placu Skanderberga nie widzi się jednak wielu obcokrajowców. Ich wizyty są „ograniczane „bazą turystyczną". Na przeszkodzie w rozkwicie turystyki stoi też brak odpowiedniej infrastruktury dla motoryzacji (nie ma tu samochodów prywatnych); wycieczki turystyczne obwozi się autokorami, zaś na wjazd własnym samochodem zezwoleń udziela się w wyjątkowych przypadkach. Obcokrajowcy korzystając z dokonywanego otwarcia Albanii zapoznają się z krajobrazem i życiem mieszkańców, z wykopaliskami, mozaikami w Butrinti i Apollonii, z bizantyjskimi kościołami w Sarandzie i Pojani, ze wspaniałym meczetem Ethem-Bega w Tiranie.

Tirana i inne miasta wydają się w ciągu dnia puste. Jednakże po godzinach pracy ulice się ożywiają i widać tłumy przyzwoicie ubranych ludzi (choć nie spotyka się tu dżinsów, nie dostrzega się młodych mężczyzn z długimi włosami i kobiet w zbyt krótkich spódnicach). Duże ożywienie panuje w kawiarniach i restauracjach, w kinach i innych placówkach rozrywkowych. Stać na to każdego — kieszenie w Albanii są mniej więcej zrównane.

Przed kilkoma laty w celu „zmniejszenia różnic w stopie życiowej różnych kategorii ludzi, zagrodzenia drogi karierowiczostwu i ograniczenia nadmiernych upodobań do pracy przy biurku", obniżono w granicach 4—25 proc. płace przekraczające 900 leków miesięcznie. Dziś najwyższa płaca może być tylko 2,5 raza większa od płacy najniższej. Biorąc pod uwagę ceny artykułów spożywczych i odzieżowych oraz fakt, że opłaty za komorne, gaz, elektryczność i komunikację, są bardzo niskie, dziennikarze zachodni oceniają iż wszyscy Albańczycy mają zapewnione dostateczne minimum życiowe. Rozwiązano też szereg innych kwestii jak na przykład problem mieszkaniowy, opiekę zdrowotną, upowszechnienie oświaty itp. Ważną sprawą jest przede wszystkim to, że Albania może dziś mówić o samowystarczalności w dziedzinie produkcji rolnej i produkcji tekstylnej.

Życie w Albani, według relacji dziennikarzy jest bardziej złożone, trudniejsze i bogatsze, a przy tym mniej prostolinijne niż to się przedstawia. Wiele też aspektów tego życia wydaje się nam niezrozumiałe. Oto na przykład rząd albański wydał dekret nakazujący zmianę nazwisk i imion nie licujących z polityką, ideologią i moralnością socjalistyczną lub mających znaczenie upokarzające. Albańczyk nie może nosić imienia reakcyjnego króla Zoga lub nazwisk oznaczających wstydliwe części ciała.

Parlament albański przyjął też ustawę umożliwiającą państwu ingerencję w sprawy rodziny. Kładzie ona kres burżuazyjnym koncepcjom, według których małżeństwo i rodzina to sprawa prywatna i ani państwo, ani społeczeństwo nie może w nie ingerować. Ustawa domaga się od rodziców, aby wychowywali dzieci na dobrych komunistów i odrzuca zasadę, że wystarczy wzajemna zgoda małżonków na rozwód. Paradoksem też może nam się wydawać, że przy pełnej emancypacji kobiet w Albanii istnieje zakaz przerywania ciąży. Być może też z tego względu liczba ludności tego kraju w ciągu ostatnich 14 lat niemal się potroiła (wzrosła z 1 miliona do 2,7 miliona).

W GOSPODARCE

Albania — królestwo Zogu I — była najbardziej zacofanym krajem Europy, i to nie tylko pod względem gospodarczym. Miarą jej postępu może być choćby fakt, że już w 1970 roku produkcja uzyskiwana w ciągu jednego tylko tygodnia równoważyła roczną produkcję z 1938 roku.

Ten niewielki kraj mógł szybko się rozwijać dzięki hojnemu wyposażeniu go przez naturę. Przede wszystkim Albania nie ma kłopotów energetycznych. Rwące rzeki górskie umożliwiły jej budowę tanich elektrowni. Znajdują się tu również znaczne pokłady węgla, gazu i ropy naftowej. Ocenia się, że roczne wydobycie ropy wynosi około 3 milionów, co przy braku motoryzacji pozwala na pełne zaspokojenie własnych potrzeb i częściowo na eksport.

Z wielu bogactw mineralnych, które odkryto w okresie powojennym, eksploatuje się głównie rudy chromu. Albania jest trzecim w świecie dostawcą chromu (w ciągu ostatnich kilku lat wydobycie rud tego metalu wzrosło tu dziesięciokrotnie).

Rozwijając eksport, Albańczycy co pewien okres dokonują bilansu wpływów i w zależności od ich wysokości, zatwierdzają transakcje importowe. Nie jest bowiem dopuszczalne w albańskiej praktyce gospodarczej zaciąganie u obcych państw jakichkolwiek kredytów. W tej kwestii istnieje nawet odpowiedni zapis w konstytucji. W artykule 26 zawarta jest przeszkoda na drodze do giętkiej polityki gospodarczej: zabrania się przyjmowania jakichkolwiek pożyczek — przyjęcie kredytów kwalifikowane jest jako zdrada stanu. Albania odrzuca też wszelką pomoc zagraniczną, nawet czysto humanitarną. Tak na przykład odmówiła przyjęcia pomocy po straszliwym trzęsieniu ziemi w kwietniu 1979 r. Wysiłkiem całego narodu szkody te zlikwidowano, jak podały czynniki oficjalne w ciągu 5 miesięcy.

Plan pięcioletni 1981—1985 po raz pierwszy realizuje Albania własnymi siłami (bez chińskiej pomocy). Choć wiaże się z tym wiele trudności, to jednak, jak podkreślają agencje zagraniczne, postęp w tym kraju wciąż jest dostrzegalny. Przejawem zaś stabilności gospodarstw może być fakt, że nie jest tu znane zjawisko inflacji, a ceny nie były zmieniane od 1972 r.

STOSUNKI Z ZSRR

Enver Hodża pięciokrotnie spotkał się z Józefem Stalinem: w 1947 r., dwa razy w 1949 oraz w latach 1950 i 1951. Wspomnienia z tych spotkań przedstawił w książce wydanej z okazji 100-lecia urodzin Stalina. Polemizując z niektórymi opiniami o generalissimusie, pisze: „Nie, Stalin nie był „tyranem", „mordercą" i „krwiopijcą". Był on człowiekiem pryncypialnym, sprawiedliwym, skromnym, wrażliwym i bardzo przychylnym ludziom, kadrowcom, swoim współpracownikom. Nie, Stalin nie był tyranem ani despotą".

W połowie lat 50, gdy w ZSRR rozpoczął się okres destalinizacji, Tirana zerwała swe związki z Krajem Rad; oficjalne zerwanie stosunków dyplomatycznych miało miejsce w 1961 r. Długo jeszcze Albania należała do Układu Warszawskiego — opuściła go w 1968 r. Stosunki dyplomatyczne z pozostałymi krajami socjalistycznymi nie zostały zerwane. W gmachu, w którym znajdowała się ambasada radziecka w Tiranie urządzono muzeum.

Kult Stalina widoczny jest w Albanii niemal na każdym kroku. Wszędzie spotyka się jego pomniki, popiersia i portrety. Główna ulica w Tiranie, przy której znajdują się gmachy władz centralnych partii i administracji państwowej, nosi imię Józefa Stalina.

Wielokrotne inicjatywy radzieckie, zmierzające do przywrócenia przyjaznych stosunków między obydwoma krajami, były odrzucane przez Envera Hodżę. W jednym z oświadczeń publicznych przywódca albański nazwał USA i ZSRR „mocarstwami ciemności, które szerzą i podniecają psychozę wojny i dążą do zdominowania wolnych narodów Te wilki przebrane w owczą skórę chciałyby nas wziąć w objęcia, by udusić".

STOSUNKI Z CHINAMI

Po śmierci J. Stalina, E. Hodża nawiązał bliskie stosunki z Chinami, które pod przewodnictwem Mao Tse-tunga również pozostawały w opozycji do polityki N. Chruszczowa. Prawie przez dwa dziesięciolecia Mao uważany był za „najdroższego przyjaciela Albanii" i Tirana najbardziej opłakiwała jego śmierć.

Pierwsze oznaki albańsko-chińskich nieporozumień wystąpiły w 1972 r., kiedy Chiny podjęły decyzję o nawiązaniu kontaktów ze Stanami Zjednoczonymi: Tirana szczególnie źle patrzyła na wizytę Nixona w Pekinie. Oficjalnie Albania podjęła polemikę z Chinami po ogłoszeniu w „Zenmin Żypao" teorii „trzech światów". Według tej teorii do pierwszego świata należy ZSRR, który znajduje się w fazie ekspansji, do „drugiego świata" — państwa kapitalistyczne, na czele z USA, które znajdują się w fazie schyłku, a reszta — „świat trzeci", któremu zagraża socimperializm powinna zjednoczyć się z państwami kapitalistycznymi. Zdaniem Albańczyków, teoria ta praktycznie wzywa proletariat do jednoczenia się z burżuazją monopolistyczną, do łączenia się narodów uciskanych z imperializmem mocarstw II świata, w walce przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Oskarżając też Chiny, że upatrzyły sobie na sojusznika USA, Albania posądzała je o chęć objęcia przywództwa nad „trzecim światem".

Po długotrwałej zawoalowanej krytyce, Tirana wystąpiła z listem do Pekinu (w listopadzie 1978 r.), w którym oskarżyła kierownictwo KPCh o odchylenie od marksizmu-leninizmu, o zbliżenie i zmowę z imperializmem amerykańskim, kapitałem międzynarodowym i reakcją, o ambicje stania się imperialistycznym supermocarstwem.

W lecie 1978 r. ukazała się książka Envera Hodży pt. „Refleksje o Chinach", w której zawarta jest nowa intepretacja stosunków albańsko-chińskich. To co przedtem było uważane za przykład solidarności między tymi dwoma krajami, w książce Hodży zostało przedstawione jako fałszywa i perfidna gra Pekinu. Z niektórych fragmentów książki pisanej w oparciu o pamiętnik, wynika, że przywódca albański zaczął wątpić w autentyczność zaangażowania Chin i ideologię socjalistyczną już w 1962 r. Jednakże dopiero w 1966 roku był przekonany, że Czou En-laj zaczął prowadzić politykę dostosowania Chin do USA. Według Envera Hodży, nawet przewodniczący Mao sprzeniewierzył się w sprawie rewolucji „dosiadając rewizjonistycznego, oportunistycznego konia". Reszty w oskarżeniach pod adresem Chin dopełniła prasa albańska. Dziennik „Zeri i Populli" określił Czou En-laja takim samym zdajcą jak Chruszczow, a tzw. Myśli Mao Tse-tunga nazwał nowym wariantem współczesnego rewizjonizmu.

Proces „bandy czworga" i przetasowania we władzy w Chinach, które mają ugruntować kurs Teng Siao-pinga, spowodował, że tak ogromny dystans dzielący Tiranę i Pekin jeszcze bardziej się wydłużył. Chińska ambasada z masztami anten radiowych położona w sosnowym otoczeniu w pobliżu małej willi Envera Hodży w Tiranie nie budzi już dziś, tak jak przed laty, ogromnego zainteresowania Albańczyków. Raczej się ją omija.

CZY IZOLACJA?

Albańczycy stanowczo sprzeciwiają się twierdzeniu, że ich kraj jest wyizolowany w Europie. Powołują się na fakt, że utrzymują stosunki dyplomatyczne z 84 krajami, że prowadzą handel zagraniczny z państwami o różnych odcieniach politycznych i że wiele przedsięwzięć realizują równolegle do tego, co dzieje się w świecie zewnętrznym.

Tirana rozwija swe stosunki zwłaszcza z Jugosławią, Włochami, Austrią, Francją i krajami skandynawskimi. Nie posiada stosunków dyplomatycznych z Wielką Brytanią i RFN. W pierwszym przypadku na przeszkodzie stoi kwestia zwrotu złota albańskiego, które dotarło w ręce niemieckie, a następnie brytyjskie, zaś w drugim przypadku — w grę wchodzą roszczenia do odszkodowania wojennego w wysokości kilku miliardów marek.

Nie uczestniczyła Albania w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej, jak i jej przedstawiciele nie biorą udziału w konferencjach międzynarodowych służących wzajemnemu porozumieniu Wschodu i Zachodu. Zdaniem Tirany konferencje te są „zdominowane przez supermocarstwa i ich wasali". Enver Hodża wielekroć też podkreślał, że Albania nigdy nie sprzymierzy się z żadnym blokiem.

* ☆ ☆

Gorset Albanii, jak często określa się na Zachodzie odrębność tego kraju, jest powodem fatalnego jej dyskredytowania. Jest to — jak napisał jeden z niemieckich dziennikarzy — najbardziej poniewierany kraj naszego kontynentu. Tymczasem Albania, broniąc swych racji politycznych i gospodarczych, szuka u innych państw zrozumienia — zrozumienia, że obraz tego kraju, jaki chcieliby inni szkicować nie pasuje do ram Albanii, do jej historii i tradycji.

Z dokonanego postępu w Albanii trudno odczytać zapowiedź schyłku jej polityki. Tak jak i nie sposób twierdzić, że ta polityka jest związana li tylko z pierwszym i dotychczas jedynym przywódcą tego kraju — Enverem Hodżą. Nasuwa się więc sugestia o charakterze praktycznym: ironizowanie z Albanii szkodzi jej, natomiast nie szkodzą jej ci, którzy to piszą.

Foto: Archiwum

Ród Witkiewiczów, który tak chwalebnie zapisał się w dziejach polskiej kultury, wywodził się ze Żmudzi. Osiadły w powiecie szawelskim, w pojezuickim dworku Poszawsz, na dzierżawie wieczystej. Gospodarował tam Wiktoryn Witkiewicz, wicemarszałek powiatowy. Miał dwóch synów: Jana i Ignacego. Starszy z nich, Jan, dał początek wspaniałości nazwiska, poświęcono mu szereg publikacji i dociekań naukowych, stał się bohaterem powieści historycznych i mitu, także bohaterem filmu. JAN WITKIEWICZ, urodzony 24 czerwca 1808 roku w rodzinnym dworku Poszawsz, wzrastał w domu o starych tradycjach szlacheckich. Wychowany w duchu patriotycznym, w atmosferze zgody rodzinnej, ofiarności społecznej i szacunku do pracy. Na naukę poszedł do niedalekiego gimnazjum klasycznego, tak zwanej Szkoły Gimnazjalnej, w miasteczku Kroże, w powiecie rosieńskim, podległego Uniwersytetowi Wileńskiemu.

Zesłaniec, żołnierz, dyplomata 1

SPISEK I KARA

Kiedy Jan był już w klasie piątej, w październiku 1823 roku został aresztowany w wyniku szerokiego procesu młodzieży wileńskiej prowadzonego przez senatora Mikołaja Nowosilcowa i osadzony w wileńskim więzieniu u Bazylianów, gdzie już zastał swoich kolegów filaretów i filomatów na czele z Adamem Mickiewiczem.

Fakt ten stał się powodem do zawiązania w Gimnazjum kroskim w klasie Jana stowarzyszenia „Czarnych Braci", którzy przez wywołanie zamieszek w mieście chcieli polepszyć dolę uwięzionych filaretów i filomatów wileńskich. Zanim jednak czegoś dokonali, spisek w ciągu paru miesięcy został wykryty, sześciu uczniów uznanych za przywódców aresztowano i wywieziono do Wilna. Za najbardziej winnych uznano Cypriana Janczewskiego i Jana Witkiewicza, których sąd wojenny 18 lutego 1824 roku skazał na karę śmierci. Pozostali oskarżeni zostali skazani na dożywocie, ciężkie roboty i zesłanie. Wielki Książę Konstanty złagodził kary: Janczewski i Zielenowicz otrzymali po dziesięć lat robót fortecznych w kajdanach w twierdzy bobrujskiej, po czym mieli iść w sołdaty na linię orenburską. Witkiewiczowi z powodu młodego wieku (miał 15 lat) darowano życie i wraz z Pieślakiem, Iwaszkiewiczem i Suchockim skazano na dożywotnią służbę bez wysługi lat w szeregach garnizonów na linii orenburskiej, bez prawa do awansu i z pozbawieniem praw szlacheckich. Wszystkich skazanych z odesłaniem do miejsca przeznaczenia w kajdanach.

Po przybyciu do Orenburga w kajdanach każdego z czwórki uczniów przydzielono do innego garnizonu na linii granicznej orenburskiej z chanatami Azji Środkowej. Jan Witkiewicz trafił do twierdzy Orskiej.

Twierdze wojskowe, w których odbywali służbę polscy zesłańcy, były zbudowane na samej granicy stepów kazachskich i życie skazańców politycznych było podobne do katorgi. Prócz samych uciążliwości służby garnizonowej Polacy byli ustawicznie narażeni na obraźliwy stosunek ze strony władz, które traktowały ich jako przestępców politycznych podlegających także karom moralnym.

Jan Witkiewicz, obdarzony dużą energią życiową i przedsiębiorczością, powziął nawet zamiar ucieczki poprzez stepy Azji Środkowej i wschodnie kolonie angielskie. Poznał już dostatecznie język i zwyczaje narodów oraz plemion zamieszkujących stepy kazachskie i kirgiskie, mógł więc liczyć, mimo wielu niebezpieczeństw, na powodzenie ucieczki. Były to już lata 1826—1829, Jan Witkiewicz skończył 21 lat, zmężniał, nabrał doświadczenia życiowego.

Nie wiadomo jak potoczyłyby się jego dalsze losy, gdyż z coraz większym trudem znosił upokorzenia i zadawane mu rany na honorze, gdyby na linii orenburskiej nie pojawili się we wrześniu 1829 roku profesorowie niemieccy. Od momentu ich przybycia w losie byłych uczniów kroskich zaszły wreszcie istotne zmiany na lepsze.

NIEMIECCY UCZENI W STEPACH AZJI

Oto, na zaproszenie ministra finansów rządu petersburskiego, hrabiego Jegora Kankrina, przyjechał do Rosji znakomity podróżnik, badacz-geolog, profesor Aleksander von Humboldt, w towarzystwie dwóch innych profesorów berlińskich: Gustava Rosego — mineraloga i Chrystiana Gotfryda Ehrenberga — botanika i zoologa, celem zwiedzenia i zbadania Zachodniej Syberii i Gór Uralskich od strony zasobów w kopaliny mineralne. Posiadali oni list żelazny hrabiego Karla Nesselordego, wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych, który polecał władzom okazywanie podróżnikom wszelkiej pomocy, gościnności i udostępniania im możliwości obejrzenia charakterystycznej przyrody także na terenach ludów koczujących na obszarach stepowych. Miejscowe władze wykonywały polecenie stolicy jak najgorliwiej.

Po zwiedzeniu Syberii Zachodniej uczeni niemieccy ruszyli wzdłuż linii orenburskiej na południe i 19 września przybyli do Orska, gdzie w tamtejszym garnizonie, jak wiemy, służył Jan Witkiewicz.

„Ażeby bliżej poznać położenie pokładów (..) jaspisu zatrzymaliśmy się czas jakiś w Orsku i zwiedziliśmy jedną z łomni oddaloną o 7 wiorst od fortecy" — zanotował Gustav Rose.

Aleksander von Humboldt, po powrocie z łomni jaspisu, udał się natychmiast, jeszcze przed nastaniem nocy, w dalszą drogą do Orenburga. Rose pozostał na noc w Orsku, aby rankiem następnego dnia obejrzeć bieg rzeki Uralu.

„W dniu 20 września, wczesnym rankiem — pisał dalej — *wyruszyliśmy z Orska do najbliższej, o 26 wiorst odległej, stacji Chabarnoj. Wozy wysłaliśmy drogą, która prowadzi w dalszej odległości od rzeki Ural, my zaś pojechaliśmy konno dróżką prowadzącą wzdłuż prawego brzegu rzeki pod opieką kilku kozaków dla obrony w razie napaści Kirgizów"* (tak nazywano wówczas Kazachów — przyp. W.J.)

W przypisie do ostatniego zdania Rose dodał dłuższe uzupełnienie:

„Między nimi znajdował się młody Polak o nazwisku Jan Witkiewicz. Dlatego wspominam to nazwisko, gdyż ostatnio wzbudziło ono powszechną uwagę. Był on kiedyś wychowankiem gimnazjum w Krożach, w guberni wileńskiej i został w wieku 14 lat, z kilkoma innymi kolegami, z powodu politycznych wykroczeń jeszcze za cara Aleksandra, zesłany do Orska i skazany na dożywotnią służbę jako szeregowy kozak.

Witkiewicz wykorzystał swój wolny czas w Orsku na naukę języków wschodnich, a w szczególności narzecza turkmeńsko-kirgiskiego, jak też perskiego i arabskiego.

Po wstąpieniu na tron cara Mikołaja, nie mając nadziei na poprawę swego losu, nosił się z zamiarem przy najbliższej sposobności umknąć przez kirgiskie stepy, i w ten sposób przedostać się do Europy. Pan Humboldt, który w Orsku słyszał o tym Polaku i jego ubolewania godnym losie, po powrocie do Petersburga wstawił się za nim u cara Mikołaja. To wstawienie się miało szczęśliwy przebieg".

W następnym przypisie do tego samego zdania Rose wyjaśnił: *„Taką samą eskortę otrzymał wczoraj również pan Humboldt, jaką zresztą otrzymują wszyscy podróżujący po środkowo-uralskiej linii. Granica od Orska do Orenburga należy bowiem do najbardziej niebezpiecznych w Rosji (...)"*

W relacjach tych brak jest wiadomości, czy Jan Witkiewicz towarzyszył tylko profesorowi Rosemu, czy również, dnia poprzedniego, Humboldtowi w jego dalszej podróży z Orska do Orenburga. Jeśli przyjąć, że eskorta przydzielona Humboldtowi konwojowała go tylko do najbliższej stacji warownej, odległej tak jak Chabarnaja o 26 wiorst, to mógł w niej uczestniczyć również Witkiewicz, jako znający języki europejskie i turko-tatarskie. Choć gdyby uczony niemiecki zetknął się z Polakiem osobiście, byłaby o tym wyraźna wzmianka w cytowanym tekście. Poznał prawdopodobnie los Jana Witkiewicza i jego zamiary z opowiadania późniejszego profesora Gustava Rosego. Wzruszony, interweniował później u cara Mikołaja I.

Interesująca jest relacja drugiego „Czarnego Brata", ucznia gimnazjum kroskiego, Alojzego Pieślaka, który został przydzielony do garnizonu twierdzy Wierchnie-Uralsk, położonej na północ od Orska, na początku drogi po linii orenburskiej profesorów niemieckich.

„Znakomity badacz, Aleksander von Humboldt, podróżujący w tym czasie po Rosji w celu naukowym, powziął zamiar zobaczyć przełom Gór Guberlińskich przez rzekę Ural. Wiadomo mi było, że będzie on przejeżdżał przez Wierchnie-Uralsk i kierował się po linii ku twierdzy orskiej. Dlatego postarałem się z nim zobaczyć. Posłużyło to mojemu szczęściu. Zjawiłem się u niego, gdy przybył do twierdzy orskiej. Rozpytał mnie szczegółowo o moje zainteresowanie naukami przyrodniczymi oraz o kolekcje botaniczne, entomologiczne i mineralogiczne. Bardzo się zdziwił spostrzegłszy w bibliotece mojego towarzysza Witkiewicza osiemnaście tomów swych prac i wiadomością, że zajmuje się on nauką języków wschodnich, których znajomość posiadł — razem z europejskimi — już dziewiętnastu.

Odprowadzając Humboldta na Góry Guberlińskie Witkiewicz wykorzystał tę sposobność, by mu się zwierzyć ze swego zamiaru przedostania się razem ze mną przez Azję Środkową i kolonie angielskie do Europy".

Według opisu podróży Gustava Rosego można poznać dość dokładnie trasę przebytą przez uczonych niemieckich. 29 sierpnia 1829 roku wyjechali z Omską w Zachodniej Syberii, przez Pietropawłowsk, przebyli most w Iszymiu, w tym mieście spotkali się z polskimi zesłańcami: Sewerynem Krzyżanowskim i Anzelmem Iwaszkiewiczem, zaś dnia następnego wieczorem dotarli do Ałaburska na granicy guberni tobolskiej. Obok w Zwierinogołowsku, twierdzy leżącej na rzece Toboł, przebywał na zesłaniu na służbie garnizonowej w miejscowej twierdzy następny z „Czarnych Braci" kroskich, Mikołaj Suchocki. Prawdopodobnie wówczas już nie żył, brak jest dokładnej daty i przyczyny śmierci.

Tomasz Zan zanotował w liście do Pietraszkiewicza w dniu 29 grudnia 1829 roku:

„Suchocki się zastrzelił; różni różnie o przyczynach i okolicznościach temu towarzyszących powiadają... jedni, że z intrygi miłosnej z córką komendanta, która jakoby od niego porodziła dziecię, drudzy, że przypadkowo".

Radziecki autor, Wadim Safonow, pisze, że *„Suchocki w warunkach nie do zniesienia skończył ze sobą".*

Do Troicka, kolejnej twierdzy na linii orenburskiej, gdzie służył następny z „Czarnych Braci" kroskich, Wiktor Iwaszkiewicz, podróżni przybyli w noc z 1 na 2 września 1829 r. W Miasku — jeszcze jednej stacji etapowej — dołączyli do nich dwaj młodzi badacze z uniwersytetu dorpackiego, Hans Hoffmann i Georg von Helmersen, którzy otrzymali polecenie z Petersburga towarzyszyć Humboldtowi w jego podróży geognostycznej do Orenburga. 17 września cała ekipa opuściła leżącą w dolinie Uralu wieś Rysajewo, zamieszkaną przez Tieptiaków, jedno z plemion Baszkirów, i o drugiej po południu wjechała do powiatowego miasta i twierdzy Wierchnie-Uralska. W miejscowym garnizonie służył inny z „Czarnych Braci" — Alojzy Pieślak. Tutaj badacze niemieccy weszli już na właściwą linię orenburską, która wzdłuż Uralu ciągnęła się aż do Morza Kaspijskiego.

Po krótkim pobycie w Wierchnie-Uralsku profesorowie niemieccy następnego dnia, 18 września przed południem, dotarli do warowni Kizylskaja, a 19 września stanęli w Orsku, gdzie służył Jan Witkiewicz, a stąd, jak już była mowa, tego samego dnia Aleksander von Humboldt, eskortowany przez kozaków wyruszył dalej do Orenburga.

CZY DOSZŁO DO SPOTKANIA?

Alojzy Pieślak, według własnej jego relacji, nie zdążył uzyskać rozmowy z Humboldtem w Wierchnie-Udińsku. Pośpieszył więc śladem podróżnych do Orska, gdzie rzeczywiście mógł zainteresować znakomitego niemieckiego badacza osobą własną i towarzyszy swoich, a szczególnie losem Jana Witkiewicza, który był przecież najmłodszym z całej grupy skazanych uczniów z gimnazjum w Krożach.

Słowa Pieślaka pokrywają się ze świadectwem profesora Gustava Rosego: *„Pan Humboldt, który w Orsku słyszał o tym Polaku i jego ubolewania godnym losie".* (Chodzi oczywiście o Jana Witkiewicza — przyp. W.J.)

Jako fantazję, nie opartą na dokumentach, należy potraktować piękne opowiadanie o rozmowie Humboldta z młodym Witkiewiczem, w której zwierzał się on uczonemu z zamiaru ucieczki przez stepy kazachskie i Azję Środkową. Znajdujemy je w książkach Julija Siemionowa i Michaiła Gusa, poświęconych Witkiewiczowi.

W pracach Aleksandra von Humboldta nie udało się w ogóle natrafić na opis jego osobistej rozmowy z Janem Witkiewiczem. Cytowany Wadim Safonow, opisując podróże Humboldta po Rosji, nie wspomina o jego spotkaniu z Witkiewiczem, mówi jedynie o spotkaniu Witkiewicza z profesorem Gustavem Rosem. Wzmiankuje jednak o rozmowie Humboldta na temat Witkiewicza z komendantem twierdzy w Orsku, pułkownikiem D. N. Isajewem.

Na świadectwo tegoż Isajewa powołuje się generał Iwan Błaramberg w swoich relacjach o Witkiewiczu. Będąc jeszcze w randze kapitana spotkał go w Petersburgu w 1837 roku, a później na terenie Persji i Afganistanu. Prowadził z nim wiele rozmów. Spisał swoje wspomnienia u schyłku życia. W marcu 1840 roku kapitan Iwan Błaramberg awansował na podpułkownika i został przydzielony do Korpusu Orenburskiego. Odwiedził wówczas komendanta twierdzy Orsk, pułkownika D. N. Isajewa, który opowiedział mu wiele szczegółów z życia Jana Witkiewicza, swego podkomendnego, szeregowca miejscowego garnizonu. Polski zesłaniec uczył także dzieci komendanta języka francuskiego, geografii i innych przedmiotów, toteż był w jego domu stałym gościem.

Według relacji Isajewa, którą spisał Błaramberg, Humboldt przejeżdżając przez Orsk, zatrzymał się w domu komendanta twierdzy. Tam ze zdziwieniem zobaczył na stole swoją książkę „Tableau de la nature" (polski przekład „Obrazy natury" — 1860) — opis podróży po Ameryce Środkowej i Południowej. Okazało się, że należała ona do młodego Polaka, żołnierza orskiego garnizonu, Jana Witkiewicza. Humboldt zapragnął go poznać. Witkiewicz do tego stopnia wywarł korzystne wrażenie swoim zachowaniem, zainteresowaniami i wykształceniem, że uczony niemiecki postanowił mu pomóc.

Na temat rzekomego spotkania Humboldta z Janem Witkiewiczem wypowiedział się też porucznik Konstantin Buch, towarzysz jego z czasów wspólnej służby w Komisji Granicznej w Orenburgu. Wspomnienia swoje spisał pod koniec życia, już w latach osiemdziesiątych.

Buch, twierdząc, że przyjaźnił się z Janem Witkiewiczem, opisał jego życie w tamtych latach i dał dość szczegółową charakterystykę. Poznali się w marcu 1833 roku, kiedy Konstantin Buch przyjechał z Petersburga przydzielony do służby granicznej w Orenburgu. A więc było to zaledwie w kilka lat po pobycie Humboldta.

„Dobrze zaopatrzony — notował — *i przy tym bardzo przystojny podobał się młodej żonie komendanta batalionu* (podpułkownika Janowskiego, poprzednika Isajewa — przyp. W.J.), *dlatego był tam stałym gościem. Krewni Witkiewicza, zesłanego do na pół dzikiego kraju, nie ograniczali się w przysyłaniu mu pieniędzy. Trzeba mu było dać możność ukończenia swojego wykształcenia, posyłali mu więc książki.*

Żyjąc na samej granicy stepów kirgiskich (kazachskich), bogatych we wszelką zwierzynę, Witkiewicz nabrał zamiłowania do myślistwa. Napady na naszą linię pograniczną przez słabo wówczas ujarzmionych Kirgizów (Kazachów) rozbudzały w gorącym i ulegającym wzruszeniom młodzieńcu, z natury skłonnym do czynów bohaterskich — pasje do niebezpiecznych wycieczek z niemiłego dlań Orska. Doskonale uzbrojony, na dziarskim koniu wypadał w stepy, zawierał znajomości i przyjaźnie z sułtanami kirgiskimi; nocował w aułach, poznawał ich język i obyczaje. Nieraz uprzedzał o ich zamiarach względem ziem leżących w granicach rosyjskich, przez co stał się pożytecznym wywiadowcą dla naszego rządu, o tym co działo się w stepach i co ma się dziać.

W 1829 roku Aleksander Humboldt, badając góry uralskie, zatrzymał się w drodze do Orenburga w twierdzy orskiej. Przypadkowo przygotowano mu kwaterę w mieszkaniu Witkiewicza dlatego — że ona wydawała się najbardziej wygodna dla wypoczynku uczonego podróżnika. Sam Witkiewicz był w stepach. Ku własnemu zdumieniu Humboldt ujrzał w skromnej bibliotece w jednym z przydzielonych mu pokoi swoją książkę pt. „Essai sur la Nouvelle Espagne" (Essai politique sur le Royaume de la Nouvelle Espagne) — 1811 oraz inne książki ujawniające zainteresowania właściciela. Zapytał więc, czyje to jest mieszkanie i zdumiał się, gdy mu wyjaśniono, że mieszkanie i książki należą do żołnierza liniowego batalionu. Po przybyciu do Orenburga wstawił się za Witkiewiczem u gubernatora wojskowego hrabiego Suchtelena". (W tym czasie gubernatorem wojskowym i generałem-gubernatorem orenburskim był jeszcze Piotr Essen, pamiętnikarz niezbyt dobrze orientował się w zmianach na tym stanowisku — przyp. W.J.).

Porucznik Buch, jako towarzysz służby Witkiewicza, mógł mieć te wiadomości od niego samego lub powtórzył zasłyszaną. „Czarny Brat" w latach 1833—1836 był osobistością już popularną wśród sfer towarzyskich niedużego przecież Orenburga, a także zasłużonym w pracach Komisji Granicznej. Dlatego relacja Bucha jest interesująca i godna uwagi, podważa inne, które chcą narzucić wersję osobistego spotkania Humboldta z Witkiewiczem.

Według Konstantina Bucha zabiegi Humboldta u cara Mikołaja I odniosły pożądany skutek. Wielki Książę Konstanty, który konfirmował wyrok skazujący na zesłanie w sołdaty „Czarnych Braci" — nie zgłosił sprzeciwu.

Historycy radzieccy: Władimir Djakow i Gajrat Sapargalijew, powołując się na przekład rosyjski z francuskiego oryginału pierwszego tomu pracy Humboldta pt. „Centralnaja Azija" dochodzą do wniosku przeciwnego i piszą:

„Wiadomo jedynie, że miała miejsce rozmowa, w wyniku której Witkiewicz, jako człowiek znający język i obyczaje kazachskie, towarzyszył Humboldtowi w stepy. Witkiewicz wiele opowiadał Humboldtowi o warunkach życia Kazachów, ich wewnętrznych wzajemnych stosunkach i stosunkach z (rosyjską) administracją graniczną. Wybrawszy odpowiednią chwilę podzielił się z A. Humboldtem swoją utajoną chęcią ucieczki poprzez Azję Środkową. Prawdopodobnie podróżnik nie pochwalił zamiaru skazańca. Później Humboldt, wydając piękną opinię o Witkiewiczu, pisał o jego pomyśle jako o „awanturze godnej ubolewania".

Tę powszechną, obiegową wersję spotkania Humboldta z Witkiewiczem podał również w swych pamiętnikach poseł rosyjski w Persji, Aleksander Duhamel, który poznał bliżej Polaka po odwołaniu go w 1839 roku z misji dyplomatycznej z Afganistanu. Witkiewicz wówczas w Teheranie przygotował dla rządu rosyjskiego sprawozdanie ze swej misji, miał szereg rozmów z Duhamelem, po których poseł rosyjski wystawił mu do Petersburga wysoką i pochlebną notę.

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI

Fragmenty monografii o Janie Witkiewiczu, złożonej w PIW. Tytuł całości i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Jak się to robi?

ADAM OCHOCKI

Przetłumaczyłem kiedyś zabawne opowiadanie, napisane przed siedemdziesięciu laty przez satyryka rosyjskiego Arkadiusza Awerczenkę. Pewnemu dziennikarzowi żal się zrobiło mieszkańców dżungli afrykańskiej, odciętych od świata i kultury, postanowił zatem odwiedzić ich i namówić do wydawania własnej gazety. W tropikalnym buszu otoczyła go gromada dzikich wojowników i powiodła przed oblicze kacyka. Dziennikarz przedstawił swój projekt, sławiąc pod niebiosa dobrodziejstwa płynące z drukowanego słowa.

— I ty możesz nas tego nauczyć? — spytał kacyk.

— Oczywiście! To nic trudnego, u nas każde dziecko zna technikę drukowania gazety.

— Jak się to robi?

— Całkiem prosto. Przychodzi mi do głowy jakiś pomysł. Siadam sobie przy biurku i przelewam go na papier. Potem wzywam chłopca i posyłam do drukarni. Tam składają mój artykuł, drukują i w tysiącach egzemplarzy rozchodzi się on po całym kraju.

— Co jest potrzebne do urządzenia takiej drukarni? — spytał kacyk z błyskiem w oczach. — Z czego ona jest zrobiona?

— Z... żelaza.

— Żelaza mamy mnóstwo za wiele. Ej, wy tam! Przynieście temu białemu tyle żelaza, ile zechce.

Po chwili u stóp dziennikarza wyrosła kupa najrozmaitszego żelastwa, a wojownicy spoglądali na przybysza z niewolniczą gotowością, oczekując sygnału do rozpoczęcia pracy. Dziennikarz wziął do ręki jakiś fragment złomu. Często miał okazję oglądać maszyny drukarskie, ale każda miała tyle trybów, walców, przekładni, dźwigni, śrub i śrubek...

— Najpierw — wyjąkał — należy rzucić retrospektywne spojrzenie na daleką przeszłość i prześledzić proces drukowania od samego początku...

— Ty nam powiedz jak się robi taką maszynę drukarską! — przerwał mu kacyk.

— Widzisz, władco, maszyny drukarskie bywają rozmaite. Najbardziej skomplikowana to maszyna rotacyjna. Są i prostsze, na początek wystarczyłaby wam bostonka...

— Nie mów do nas w ten sposób! — zawołał zniecierpliwiony kacyk. — Powiedz po prostu jak się robi taką maszynę!!!

— ...Bostonkę, zwaną również pedałówką, uruchamia się za pomocą...

— On nam tu bajki opowiada! O niczym nie ma zielonego pojęcia. Zjedzmy go i już! — rozległ się czyjś głos, a wszystkowiedzący dziennikarz stał ze spuszczoną głową, spoglądając bezradnie na piętrzącą się przed nim kupę żelastwa, nie wiedząc co z nią zrobić.

Nie miała takiego problemu grupa zapaleńców, łódzkich drukarzy, którzy wiosną 1946 r. ze stosu żelastwa zwiezionego z całego kraju zmontowali w rekordowo szybkim czasie maszynę rotacyjną do drukowania gazet i „po drodze" kilka linotypów!

Zostawmy na chwilę naszych bohaterów przy ich żmudnej pracy, niech dalej montują, a my przenieśmy się myślą kilka miesięcy wstecz i popatrzmy, jak to było na samym początku z wydawaniem łódzkich gazet.

Już w pięć dni po wyzwoleniu miasta, 24 stycznia 1945 r., wypuszczono pierwszą łódzką gazetę „Wolna Łódź". Jednym z jej redaktorów był niezapomniany Henryk Rudnicki. Współpracowali z nią także moi przedwojenni koledzy z „Republiki": Mieczysław Jagoszewski i Wacław Drozdowski.

„Wolną Łódź" wydrukowano w „domu pod Gutenbergiem", na Piotrkowskiej 86. Budynek ten, którego fronton zdobi figura wynalazcy ruchomej czcionki, to kawał historii w życiu kulturalnym Łodzi. Wzniósł go w 1895 r. kosztem pół miliona rubli syn złotnika drezdeńskiego Jan Petersilge i przeniósł tam wydawaną przez siebie „Lodzer Zeitung" pierwszą w ogóle łódzką gazetę w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Wychodziła w języku niemieckim (1865—1915), jedynie ogłoszenia i obwieszczenia urzędowe zamieszczano w języku polskim. W „domu pod Gutenbergiem" drukowano w czasie pierwszej okupacji miasta przez Niemców, od 1915 do 1918 r., „Deutsche Lodzer Zeitung" oraz proniemiecki dziennik w języku polskim „Godzinę Polski" szybko przezwaną przez społeczeństwo „Gadziną Polski". Od 1918 do 1929 r. wychodził tu redagowany przez Marcelego Sachsa „Głos Polski". Z tych samych maszyn schodziły egzemplarze hakatystycznej, później prohitlerowskiej „Freie Presse", zaś w latach okupacji hitlerowskiej — już urzędowej „Litzmannstädter Zeitung".

W pierwszych dniach wolności powędrowały stąd na ziemie wyzwolone: część nakładu „Manifestu lipcowego" oraz różne druki dla powstającej administracji władzy ludowej. Składano tu i drukowano w tym okresie kolejne po „Wolnej Łodzi" dzienniki lokalne: „Głos Robotniczy" oraz „Express Ilustrowany" („Express" przeniósł się niebawem na Żwirki 2), a także pierwszy numer „Kuriera Popularnego", który później przejęły maszyny niewielkiej drukarni „Czytelnika" przy ul. Piotrkowskiej 96. „Dziennik Łódzki" drukowano na Żwirki 2, w pomieszczeniach przedwojennego „Kuriera Łódzkiego". Drukarnia ta stanowiła podstawową bazę spółdzielni wydawniczej „Czytelnik".

Nakłady rosły, maszyny robiły bokami. Zaszła potrzeba uruchomienia uniwersalnych zakładów, umieszczenia pod jednym dachem wszystkiego, co potrzebne do składania całej prasy łódzkiej. Na ten cel upatrzono posesje przy ul. Żwirki 17. Nie był to najszczęśliwszy wybór. Na typowo łódzkim, kiszkowatym podwórzu, wznosiły się po obu stronach wiekowe, parterowe, piętrowe i dwupiętrowe budynki z czynnymi warsztatami tkackimi, wytwórniami strzykawek i bibuły do okładania doniczek kwiatowych. Zrujnowana hala, przewidziana na siedzibę maszyny rotacyjnej, zagracona była starym żelastwem. Poniewierały się tu produkowane w czasie wojny heimy hitlerowskie. Trzy pomieszczenia zajmowali lokatorzy. Przed przystąpieniem do właściwych prac należało uporządkować teren. Trwało to dosłownie kilka dni. Pracowano dniem i nocą. Przez wybite szyby do nie ogrzewanej hali wciskał się wiatr. Nic jednak nie odstraszyło cieśli, murarzy, malarzy, przybyłych tu z podłódzkich okolic, z Kraszewa, Wiśniowej Góry.

I właśnie wtedy, gdy już doprowadzono pomieszczenia do stanu używalności i przekwaterowano lokatorów, ekipa łódzkich entuzjastów zgłosiła się do I sekretarza łódzkiego komitetu PPR, Logi-Sowińskiego. Musimy zbudować drukarnię dla łódzkiej prasy, ale potrzebny nam jest wasz giejt. Sekretarz udzielił partyjnego błogosławieństwa na drogę i wręczył pisma polecające. Samochodami z demobilu drukarze wyruszyli w Polskę na poszukiwanie maszyn i urządzeń poligraficznych. Szabrowano wszystko co popadło pod rękę. Tu znaleziono kikuty popalonych linotypów, tam walec do maszyny rotacyjnej. Niezmordowany Józef Pander wyszperał spod gruzów pokaźny zestaw czcionek tytułowych, ale bez polskich akcentów. Dorobił je później własnoręcznie w Łodzi. Matryce do linotypów też miały niemiecką klawiaturę, cóż to jednak znaczy dla takich fachowców? Z ruin powyciągano wierszowniki, regały, nie pogardzono i stopem drukarskim. Cały ten ramsz załadowano na samochody, które ruszyły w powrotną drogę do Łodzi, by zaraz ruszyć w ponowny rejs.

Po paru dniach przy pomocy zwerbowanych po drodze fachowców z Bytomia, Gliwic, Wrocławia, przystąpiono do montowania maszyn. Najpierw uporano się z najpotrzebniejszą rotacją. Już 27 kwietnia owego pamiętnego roku 1946 kręcące się walce wyrzuciły pierwsze egzemplarze „Głosu Robotniczego" w nowej, okazalej szacie.

Ci ludzie wiedzieli jak się to robi!

Po maszynie rotacyjnej przyszła kolej na linotypy. I choć jedna część była od Sasa, druga od lasa, szybko zmontowano pełnosprawne warsztaty pracy. Maszyny płaskie, pedałówki, kalander — niemal co dzień przybywało coś nowego.

Nie byłem naocznym świadkiem tych heroicznych zmagań. Gdy w połowie maja 1946 r. osiadłem na stałe w Łodzi, „Głos" już trzeci tydzień drukował się na Żwirki 17. Rychło trafił tu i nasz „Express", później „Dziennik". Relacje o wyczynach budowniczych drukarni znam z opowiadań. Złotymi zgłoskami zapisały się ich nazwiska: inż. Leon Gotlib, późniejszy dyrektor działu poligraficznego Zarządu Głównego RSW „Prasa", Józef Pander, kierownik działu linotypów, Władysław Błaszczyk, pierwszy gospodarz zakładu, potem maszynista rotacyjny, Franciszek Stefanowski, założyciel działu offsetowego, Albin Reszke, pierwszy maszynista rotacyjny, Józef Irzyniec, monter wszystkich maszyn poligraficznych, wybitny racjonalizator Franciszek Stoszek, Franciszek Sztajer, Bolesław Tamborski, Zygmunt Agolcer, Sylwester Jakubczak, Lucjan Ignaczak, Stefan Kisiel, Władysław Kocan, Jan Hoffman, Feliks Pogonowicz... Niepełna to lista zasłużonych pracowników, którzy wszystkie siły i umiejętności, często nie dojadając i nie dosypiając, oddali tak pięknemu dziełu.

Nadchodziły nowe, zakupione maszyny. Na starej, która się odrodziła, jak Feniks z popiołów, drukowano trzy tygodniki i trzy dwutygodniki. Czytelnik żądał nie tylko aktualnych wiadomości, ale i atrakcyjnej szaty graficznej. Do dwóch maszyn produkcji radzieckiej, ludzie o złotych rękach — Józef Irzyniec i Mikołaj Grodzki — dorobili urządzenia na kolor, zaś Władysław Kocan takie samo urządzenie zmajstrował na rotacji „holenderskiej", wyszperanej przez Leona Gotliba.

Mijały lata. Zmieniały się czasy i dyrektorzy naczelni. Funkcje te niemal z reguły obejmowali kolejno dyrektorzy techniczni. Pierwszym dyrektorem był Jan Bogusz, po nim pałeczkę przejął Leon Gotlib, następnie: Franciszek Hudeczek, Lucjan Jagielski, Czesław Krajewski, Eugeniusz Dzundza.

Wiosną 1966 r. drukarnia na Żwirki uroczyście obchodziła dwudziestą rocznicę swego powstania. Rozrosła się przez ten czas, wzbogaciła o nowe działy produkcyjne i urządzenia socjalne. O jej dorobku mówi wierszyk okolicznościowy, napisany z okazji jubileuszu przez Waleriana Zuchowskiego, wieloletniego kierownika korekty przy zakładach.

Moja pani, co za czasy, co za czasy!
Wczoraj gruzy, dziś gmach „Prasy".
Czy to dawniej było w modzie
Tyle maszyn mieć na chodzie?
Ot, bostonką się ruszało
I też ładnie drukowało,
A dziś maszyn całe masy,
Co za czasy, co za czasy!
Linotypów tam bez liku,
Aż zatyka mnie w przełyku
Wciąż offsetów rosną sale,
A zecerni aż dwie hale,
I rotacja pierwszej klasy,
Co za czasy, co za czasy!
Rzeczywistość to nie sny,
Introligatornie trzy,
Maszyn płaskich coś z trzydzieści,
Ledwo w maglu tym się mieści,
Sterotypie, monotypy,
Fachowców liczne ekipy,
Wszystko, pani, pierwszej klasy,
Co za czasy, co za czasy!
Dział rysowni, chemigrafii,
Człek wyliczyć nie potrafi,
I stolarski, mechaniczny,
W urządzenia taki liczny,
Nawet warsztat jest krawiecki,
Więc nie chodzi nikt bez kiecki.
Oddział koleżeńskiej kasy,
Co za czasy, co za czasy!
Zakład też o zdrowie dba,
Ma ambulatoria dwa,
Gabinety takie śliczne,
Wewnętrzne i dentystyczne,
Nawet łaźnia pierwszej klasy,
Co za czasy, co za czasy!

Jednakże ten rozbudowany, unowocześniony zakład też z biegiem lat zaczął trzeszczeć w szwach. Zaadaptowane pomieszczenia nie mogły podołać zadaniom. Przeciętny dzienny nakład „Głosu Robotniczego" wzrósł do 203.000 egzemplarzy, „Dziennika" do 90.000, „Expressu" do 100.000. Do tego tygodniki, dwutygodniki. Aktywistów środowiska dziennikarskiego i braci drukarskiej zaprzątała uparta myśl: zbudować od podstaw nowoczesny kombinat prasowy, na terenie którego znajdą się nie tylko wszystkie urządzenia drukarskie do produkcji całej prasy łódzkiej, ale i wieżowiec dla redakcji łódzkich. Dużo inicjatyw w tym kierunku przejawiał Stanisław Mojkowski.

Projekt zyskał aprobatę lokalnych władz partyjnych i Warszawy. Postanowiono ulokować kombinat przy ul. Armii Czerwonej, na posesji oznaczonej numerem 28. Specjaliści opracowali makiety mającego powstać kolosa, jednakże rozpoczęta w 1967 r. budowa postępowała w ślimacznym tempie.

Aż nadeszła owa brzemienna w skutki noc z 20 na 21 listopada 1968 r. Z głębokiego snu wyrwał mnie dzwonek telefonu.

— Adam? Tu Mundek... Skocz do Sergiusza, jego telefon nie odpowiada. Drukarnia się pali!

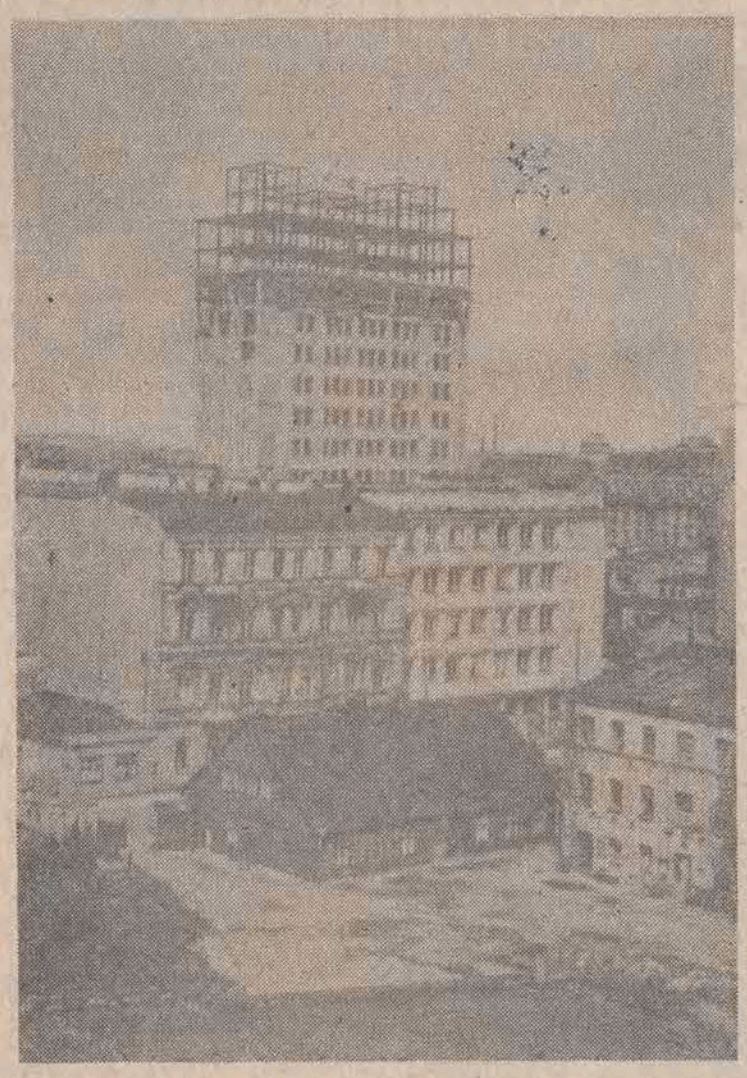

Foto: Archiwum

Myślałem, że to głupi żart, różnie bywało z nocnymi telefonami, ale na taki wyczyn nikt chyba by się nie zdobył. Po paru chwilach, zapinając po drodze guziki, zakołotałem do mieszkania Sergiusza Kłaczkowa, ówczesnego naczelnego „Głosu". Mieszkał na Spornej 81, ja pod numerem 83, dzieliło nas podwórze.

— Ubieraj się! Pożar w drukarni. Tulko dzwonił.

Gdy wciągał spodnie, zatelefonowałem do Wojtka Drygasa, mego szefa z „Karuzeli" i zakomunikowałem mu hiobową wieść.

— Stary, nie możesz spać i kawały robisz? — wymamrotał.

— Jedziemy tam zaraz z Sergiuszem, pośpiesz się.

Redakcyjna „Wołga", będąca do dyspozycji Kłaczkowa, stała na naszym podwórzu. Pomknęliśmy uśpionymi ulicami. Nie mogłem wydobyć z siebie słowa. „Karuzela" złamana, za trzy dni druk. Co będzie jak tam wszystko spłonie? Sergiusz też milczał, ćmiąc nieodłączną fajkę. Co on zrobi? „Głos" musi wyjść zaraz, wczesnym rankiem. To straszne, ale odczułem jakby ulgę. Jednak co dwutygodnik, to nie codzienna gazeta...

Skręciliśmy z Piotrkowskiej w Żwirki. Olbrzymia łuna rozlewała się na bezchmurnym niebie. Jeszcze kilkaset metrów. Wbiegliśmy na zatłoczone wozami strażackimi i ludźmi podwórze. Jeden rzut oka w lewo i już wiedziałem wszystko. Płonęło pierwsze piętro nad halą maszyn rotacyjnych, gdzie znajdowały się linotypy, ręczna zecernia i pomieszczenia nocnych redakcji. W górę strzelały płomienie, w powietrze wylatywały ze świstem kawałki drewna, płaty papy. Strażakom w walce z żywiołem pomagali zecerzy, których pożar zaskoczył w pracy oraz obsługa mającej już niedługo ruszyć rotacji.

— Maszyny! Zabezpieczyć maszyny!

Nie zważając na piekielny żar przecisnąłem się bliżej. Spojrzałem na schody. Ileż to razy w ciągu tych dwudziestu paru lat wspinałem się po nich na pierwsze piętro, na kolegialne dyżury! Schodami spływał potok roztopionego metalu. Felietony, wiersze, fraszki, złożone do mającej wyjść za kilka dni „Karuzeli", Depesze, artykuły „Głosu" i „Dziennika", które już za kilka godzin powinny dotrzeć do kiosków.

Staliśmy jak skamieniali. Ciżba na podwórzu rosła. Hiobowe wieści szybko się rozchodzą. Przybiegli koledzy ze wszystkich redakcji. Drukarze, którzy dopiero za kilka godzin mieli przyjść na zmianę. A piętro dogorywało. Nawet laik zdawał sobie sprawę, że tu już nic nie da się uratować. Przeoliwione podłogi i stropy, na które dziesiątkami lat sączyły się smary, płonęły jak pochodnie. Żeby tylko uratować halę, zabezpieczyć przed dewastacją maszyny rotacyjne!

Powlekliśmy się do budynku dyrekcji, do najbliższego telefonu. Ktoś zredagował dla Warszawy komunikat o pożarze. Gdy kończył dyktować, Ten-sam z Wydziału Propagandy nachylił się do niego.

— Dodajcie, że ja też przybyłem na miejsce.

— Tak, to było niewątpliwie w tym momencie najważniejsze...

Nie poszedłem już spać. Pojechaliśmy z Wojtkiem do redakcji. Z zapasów w tece zmontowaliśmy nowy numer Karuzeli. Czytelnicy nigdy nie dowiedzieli się, że to co było dla nich przeznaczone zabrał ogień, do rąk dostali zupełnie inną „Karuzelę".

Dzienniki nie ukazały się rano. Wieczorem do kiosków trafił tylko „Express" z wiadomością o pożarze. Wydrukowano go na małej offsetowej maszynie rotacyjnej, stojącej w budynku przylegającym do ul. Gdańskiej, dokąd płomienie nie dotarły. „Express" wyszedł na czarno, żałobnie, jakby dla podkreślenia tragicznego wypadku. Ale to tylko dlatego, że brakło czasu na dorobienie koloru.

Jak zapewnić mieszkańcom Łodzi codzienną lokalną prasę? Rozważano różne koncepcje. Nie ulegało wątpliwości: lokalne drukarnie nie dadzą rady. Ponad 400 tysięcy egzemplarzy dziennej produkcji. A tygodniki? Dwutygodniki? Wyjście pozostawało tylko jedno: Warszawa.

Rozdzwoniły się telefony, zaterkotały telexy. Ściągnięto z mieszkań interwencyjną ekipę składaczy linotypowych, metrampaży, maszynistów oraz redaktorów depeszowych, technicznych i korektorów. W stolicy czekały na nich zamówione pokoje w hotelach i stanowiska pracy w dwóch kombinatach drukarskich: na Marszałkowskiej 3—5 i w Alejach Jerozolimskich 125. Ruszył gigantyczny most drogowy. W tamtą stronę maszynopisy i makiety kolumn, z powrotem paczki z wydrukowanymi gazetami. Przez cztery miesiące, do marca 1969 r., składano i drukowano w Warszawie wszystkie łódzkie dzienniki.

W tym samym czasie na pogorzelisku trwała gorączkowa krzątanina. Z zecerni na pierwszym piętrze nic nie ocalało. Popaliły się linotypy, wśród nich i te, które z takim trudem ze szmelcu zmontowali drukarze, kaszty z czcionkami, maszyny do pisania, wszystko, wszystko. Ogień pochłonął także osobiste rzeczy pracowników. Zaskoczeni pożarem nie zdążyli ich wynieść. PZU pokrył straty na podstawie zbiorczego raportu kierownictwa łódzkiej delegatury RSW „Prasa". Ale gdy korektorka „Expressu" zażądała odszkodowania za cztery pary pantofli, w tym jedną z krokodylowej skórki, które jak oświadczyła przechowywała w drukarni z braku miejsca w domu — główny księgowy złapał się za głowę.

Pożar, jak stwierdzono, powstał od nie wyłączonej maszynki elektrycznej w pomieszczeniu nocnej redakcji „Dziennika". Winowajcy nie udało się ustalić.

I znowu, jak przed dwudziestu paru laty, rozpoczęto remont hali, zabezpieczając jednocześnie rotację przed zasypaniem gruzem. Po czterech miesiącach doprowadzono maszynę do stanu używalności. Budynek został obniżony do parteru, resztki piętra musiano usunąć.

Warszawskie drukarnie odetchnęły, nasi drukarze wrócili do Łodzi. Teksty gazetowe znowu składano na miejscu, ale... nie jednym. „Głosu" w drukarni przy ul. Rewolucji 1905 r., „Dziennika" — w zakładach typograficznych na Żeromskiego, „Expressu" — w drukarni przy ul. Gdańskiej, „Odgłosów" — na PKWN 18, „Karuzeli" — na ul. Kominiarskiej.

Taka prowizorka nie mogła trwać długo. Zachodziła konieczność znalezienia jednego obszernego lokalu dla linotypów i ręcznej zecerni, które zaraz po pożarze przysłano Łodzi. Najodpowiedniejsza okazała się hala łódzkiego oddziału Szydłowieckich Zakładów Kamienia Budowlanego przy ul. Jerzego 9-11. Przez trzy lata składano tu wszystkie teksty i przełamywano kolumny całej prasy łódzkiej, drukowano zaś na Żwirki. I kto wie jak długo trwałby ten stan, gdyby nie to, że nieszczęścia lubią chodzić parami...

W maju 1973 r. czerwony kur upodobał sobie zakłady „Domu Słowa Polskiego" w Warszawie. Część maszyn, na których drukowano „Trybunę Ludu", strawił ogień. I jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej roboty na Armii Czerwonej w Łodzi ruszyły pełną parą! Już w końcu czerwca założono na walce płyty gazetowe centralnego organu partii. Sytuacja się odwróciła: Łódź, w rewanżu za niedawną pomoc i gościnę w stolicy, wypuszczała w kraj warszawską prasę.

Po kilku tygodniach zapięto wszystko na ostatni guzik. W nowym gmachu stanęły linotypy, uruchomiono ręczne zecernie oraz działy pomocnicze — i po dziś dzień, niezależnie od „Trybuny", drukują się tu wszystkie łódzkie dzienniki, tygodniki oraz czasopisma regionalne. Gdy rodzi się ten pamiętnik, funkcję dyrektora naczelnego prasowych zakładów graficznych — po zmarłym Eugeniuszu Dzundzy — pełni Bogusław Kucab.

Tak się jakoś złożyło (w mym życiu, nie w zecerni), że równocześnie z przekazaniem do użytku kombinatu przy ul. Armii Czerwonej przeszedłem na emeryturę. Nowy budynek odwiedzam od czasu do czasu, jako gość. Chętnie rozmawiam z drukarzami, z którymi łączy mnie tyle wspomnień. Nie są zadowoleni z warunków pracy.

— W starej budzie na Żwirki było lepiej. Kto to słyszał, żeby teksty składać przy sztucznym świetle? Tam mieliśmy dzienne oświetlenie. A powietrze! Przecież tu nie ma czym oddychać. Latem można się udusić. Wentylacja do bani.

Mają rację towarzysze sztuki drukarskiej. Źle zaplanowano urządzenia wewnątrz imponującego z ulicy gmachu. Zapomniano o najważniejszym — o człowieku.

A może, może projektanci, podobnie, jak ów dziennikarz z humoreski Awerczenki, też mieli do rozgryzienia problem: jak się to robi?...

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki pt. „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę".

Henryk Szylkin urodził się 1 listopada 1928 roku w Santoce k. Wilna.

Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Poeta. Debiutował w 1954 r. na łamach „TK".

Długoletni pedagog zamieszkały stale w Zielonej Górze.

Autor licznych tomów poetyckich. Między innymi: „Kolory wzruszeń", „Krajobrazy i miłość", „Przyjście dłoni" i „Wymiary".

W roku ubiegłym ukazał się na Litwie tom wierszy Henryka Szylkina w znakomitym przekładzie Albinosa Bernotasa z pięknym wstępem Eduardasa Mieželaitisa, pt. „Santakos mozaika" (Mozajka Santocka).

Tom ten spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem zarówno krytyki jak i czytelników.

Henryk Szylkin

Deska ratunku

Dlaczego nie można kupić
deski ratunku

Podobno nikt nie utonął
mając ją przy sobie

Jest to zatem
artykuł pierwszej potrzeby

Produkujmy
deski ratunku
ze znakiem najwyższej jakości

Przestroga

Nie zbaczaj na prawo
nie zbaczaj na lewo —
wybieraj zawsze złoty środek

Nie oglądaj się też w tył —
co zostawiłeś już nie twoje
nie wybiegaj także naprzód —
tylko masy się liczą

Nie ufaj również słowom —
już starożytni dowiedli wartość milczenia
nie wierz też głowie
kręci się często
niezgodnie ze wskazówkami zegara

A w ogóle więcej uważaj na brzuch i ręce —
brzuch zdradza obżarstwo
a w rękach nie zawsze wiadomo
co trzymać wolno

Na wszelki wypadek trzymaj
zajączka i wiewiórkę do zabawy

Ars poetica

Trzeba pisać o ludzkim spojrzeniu
w którym odbiła się nędza
o satrapach co cichaczem wzniecają wojny
w hektolitrach krwi rozlanej za lichy kawał
pustyni

i o tych na cokołach
co trzymają w obroży świat

Trzeba pisać o pozornej przyjaźni
z fanfaronadą blasków
o dzieciach co nie śnią nawet
że zatruwają im wodę i tlen

Przebacz Boże że zamiast modlitwy
trzeba nam pisać
pisać
pisać
O Twoim ciemnym królestwie na ziemi

Posłanie

Jeśli ktokolwiek spotka człowieka
(może już bez oka lub bez prawej ręki)
ale takiego co z uporem pielęgnuje kwiaty
a więc nie myśli o samobójstwie
co wierzy w ofiarowaną kromkę chleba
jeśli go spotka
może na drodze przy oszalałej gąsienicy czołgu
albo przed mogiłą przyjaciela
niech powie że z tunelu ludzkiej nienawiści
wyjść można od wczorajszej strony świata

Jeżeli tylko człowiek sam
dobierze przyjaciół i wrogów

Nie napisany wiersz

Wiersz nie napisany nie jest złym wierszem
nikt go nie oskarża że autor
utracił logikę myślenia
nie wygwizduje za zdania
uschnięte jak zrąbane gałęzie

W cuchnącej farbie drukarskiej
nie umierają jego myśli
wyjęte z sejfu mózgu

Na wrzeszczącej ziemi
spotkać go można w spojrzeniu dziecka
albo na listku brzozy

Czytelnik dobiera sam
treść i pointę

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ułaskawienie świata

Nowy tom opowiadań * Wandy Karczewskiej ukazał się w chwili szczególnej. Ma on uczcić pięćdziesięciolecie pracy pisarskiej autorki, które przypadło w 1981 r., czci także jubileusz 25-lecia Wydawnictwa Łódzkiego, wypadający już w bieżącym roku. Trzeba jednak zauważyć, że jest i trzecia okazja: właśnie minęło 45 lat od debiutu książkowego Wandy Karczewskiej. Jej pierwsza powieść „Ludzie spod żagli" ukazała się w r. 1937. Jak na aż tyle okazji, tomik może wydawać się skromny. W istocie tak nie jest.

Wanda Karczewska debiutowała w r. 1931 wierszami i felietonami w czasopismach „Dekada Akademicka" i „Szkwał". Jak do tej pory, wydała sześć zbiorów wierszy, siedem powieści i cztery tomy opowiadań. Powieści Wandy Karczewskiej cieszą się dużą poczytnością — „Obejście" miało dwa wydania, „Wizerunek otwarty" — dwa, trzecie w zapowiedziach Biblioteki XXX-lecia, „Fuga z tematem miłosnym" — również dwa, „Weekend w Riverside" ma już trzy edycje, a ostatnio ukazało się na półkach księgarń drugie wydanie „Głębokich źródeł" w zaszczytnej, czytelnikowskiej serii „Głowy wawelskie", książki będącej wydarzeniem literackim w początkach lat siedemdziesiątych. Wanda Karczewska jest poza tym autorką reportażu scenicznego „Ziemia oskarża" (1945) oraz tłumaczką wielu dramatów słowackich, czeskich i francuskich, granych na scenach całego kraju. Przez wiele lat publikowała recenzje teatralne na łamach m.in. „Współczesności", „Nowej Kultury", „Odgłosów". Ich wybór ukazał się w wydaniu książkowym pod tytułem „Powszedni dzień teatru". Zasługą twórczość literacką i działalność społeczną Karczewska była wielokrotnie nagradzana i odznaczana.

Powieści „Odejście", ale szczególnie „Wizerunek otwarty" i „Głębokie źródła" uchodzą za jej najlepsze utwory. Zyskały one powszechne uznanie krytyki polskiej. Znaczenie pisarstwa Wandy Karczewskiej wypływa z jej rozumienia kondycji ludzkiej. Stara się ona poznać i pokazać człowieka w całej jego złożoności i skomplikowaniu, budzić w czytelniku niepokój poznawczy i przeświadczenie o trudnej drodze docierania do prawdy. Będąc przekonana, że prawie niemożliwe jest opisanie jakiejś historii, jakichś dziejów ludzkich do końca, że niemożliwa jest ich jednoznaczna interpretacja, stosuje sobie tylko właściwą, zawsze nieco inną narrację, wykształconą na dorobku współczesnej powieści. Chce ona zaangażować czytelnika w konstruowanie świata powieściowego. Daje mu tę możliwość poprzez przedstawienie stwarzanej rzeczywistości przez pryzmat oglądu nie jednego tylko indywiduum.

Jubileuszowy tomik „Ułaskawienie świata" zawiera cztery opowiadania. Dwa z nich, mianowicie tytułowe „Ułaskawienie świata" oraz „Historia Arcydzieła Mysikrólika" ukazują się w wydaniu książkowym po raz pierwszy, choć napisane były kilkanaście lat temu; gdyby były wydane w latach ich powstania (1968 r), miałyby o wiele większy rezonans i znaczenie. Dwa pozostałe opowiadania pomieszczone w tym tomiku — to wznowienia.

Bohaterką pierwszego opowiadania, „Ułaskawienia", jest stara, na pół zdziwaczała kobieta, wdowa po nauczycielu, pani Meres, mieszkanka zagraconego poddasza, na które się zdecydowała, oddając swoje mieszkanie komuś ustosunkowanemu, kto ongiś obiecał pomóc uwolnić jej męża z więzienia. Ale płonne są nadzieje pani Meres, że skoro nie będzie miała nic do odebrania, nawet przestrzeni życiowej, będzie mogła żyć spokojnie, niczym nie zagrożona. Jej szare życie, wypełnione w dniu opisywanym przez dwie wizyty, nagle nabiera dramatycznego napięcia. Przyczyną są zdarzenia tego dnia, m.in. spostrzeżenie, że odwiedzany właśnie przez nią były Naczelnik Habet szamoce się, opuszczony przez swego sfrustrowanego syna, studenta, tak samo jak ona kiedyś szarpała się, odrzucona przez własną córkę, choć pan Meres i były dygnitarz Habet to dwa obce sobie światy. Jak to się dzieje? — pyta siebie stara kobieta. Oszołomiona niemożliwością zrozumienia tego, wraca do siebie i przecinając jezdnię miesza się bezwiednie w jakiś tłum manifestujący — o co? przeciw komu? nie bardzo wie —. W rezultacie dostaje cięgi od obu stron: tych, którzy manifestują i od tych, przeciw którym tłum manifestuje. Sponiewieraną, z nadwerężonym kręgosłupem odciąga stojący na uboczu młody Habet i odprowadza do domu. Przy okazji robi jej wykład o niej samej. Robi to tak lotnie i sensownie, że pani Meres wydaje się, że ten młody sfrustrowany cynik rozumie ją lepiej niż ona sama siebie. I wtedy, w tę późną, deszczową noc listopadową stara kobieta zaczyna słyszeć jakieś skrzypienie; coraz powszechniejsze skrzypienie. Przenika ono mury, dachy, miasta i lądy. I w niej też coś skrzypi; teraz rozumie — skrzypi nadwerężony kościec świata. „I naraz znika w niej trwoga przed ludźmi: zaczyna wszystkich rozumieć i głęboko im współczuć". Ze wszystkimi, z całym tym biednym światem, groźnie trzeszczącym w swoich wiązaniach, czuje się zjednoczona w powszechnym, tragicznym skrzypieniu.

Wygłos tego metaforycznego opowiadania mówi o dramatyzmie ludzkiego życia i bezsensowej egzystencji w świecie staczającym się w przepaść. Przesłanie „Ułaskawienia świata" byłoby tragiczne, gdyby nie klimat współczującej ironii, jakiej autorka poddaje postaci i rysuje sytuacje. By osiągnąć większą wyrazistość tej zbitki dramatyczności i ironii, Karczewska zastosowała tzw. monolog wewnętrzny pośredni. Pani Meres obserwowana jest przez trzecią osobę, narratora, *który przekazuje myśli, spostrzeżenia i opis akcji tak,* jak on powstaje w nieco zmąconej świadomości tej starej, steranej życiem i nieco zdziwaczałej kobiety. Stąd czasami niespójność, mglistość motywacji, niedopowiedzenia, dygresje — właśnie owo „skrzypienie".

Inny rodzaj monologu wewnętrznego zastosowany został w opowiadaniu „Włos Dulcinei". Bohater opowiadania sam, bezpośrednio mówi o sobie, swoich przeżyciach; myśli o nich. Wszystko to dzieje się właściwie w kilku chwilach. Są to retrospekcje bohatera z jego wcześniejszego życia aż do momentu współczesnego — znalezienia się na szosie w drodze powrotnej do Miasta, w którym ostatnio żył i pracował. Właściwie o nim samym wiemy niewiele, nie znamy jego imienia ani nazwiska, tyle że nie ma żony, dzieci, jedynie starą matkę. I że gdziekolwiek pracuje, zewsząd odchodzi lub musi odejść. Zaczyna dociekać dlaczego tak się dzieje w sposób pełen autoironii, wahań, sarkazmu. Aktualnie pracuje w stacji, w pewnym mieście i jest, to znaczy był autorem bezwzględnie — jego zdaniem — potrzebnego, ambitnego projektu reformy działalności tej stacji, karmiącej swoich odbiorców bezmyślną łatwizną. Kierownictwo stacji odrzuca z irytacją tę reformę. On jednak, naprawiacz tego świata, nie rezygnuje, postanawia walczyć o nią; nie chce, jak wielu innych, tylko żyć wygodnie, „urządziwszy się". Chce „być sobą". Stąd biorą się jego perypetie. Powoli uświadamia sobie, że staje się śmiesznym Don Kichotem wiecznie błądzącym, z miejsca na miejsce. Tylko głos Sancho Pansy ciągle za nim włóczy się i podszeptuje: „Panie mój, naucz się grać znaczonymi kartami". W końcu to jego natrętne Alter Ego, przewrotny łajdak Sancho, namawia go na Wallenrodyzm. W pewnej chwili niemal mu się to udaje, ale w ostatnim momencie wielkiego rozgoryczenia bohater opowiadania wybiega gwałtownie ze stacji i wsiada w pierwszy lepszy pociąg, by uciec w ogóle z tego miasta. W koszmarnej, rozgorączkowanej nocy spotyka — we śnie — Mądrego Cadyka, który uświadamia mu jedną tak oczywistą, że aż śmieszną prawdę: nie można niczego dokonać, działając samemu. Wyrwany ze snu, wyskakuje z pociągu i spostrzega opodal kogoś podobnego do siebie, z kim udaje mu się złączyć kroki. I teraz obaj idą razem szukać „takiego trzeciego nieskazitelnego gieroja". Poszukiwanie i walka o nadrzędne wartości: prawdę, godność, wolność myślenia i opór przeciw upodlającej pracy więc trwa. Jest to — żeby być wiernym tonacji i przesłaniu utworu — walka odwieczna.

Wanda Karczewska

Opowiadanie „Kto z was widział Henryka" jest metaforycznym obrazem, mówiącym o wiecznym poszukiwaniu miłości. Centralna postać, Maja, raz ukazuje się nam jako młodziutka osiemnastoletnia dziewczyna szukająca swego chłopca o imieniu Paweł, za chwilę widzimy ją jako dojrzałą kobietę przemierzającą wiele miejsc w poszukiwaniu zjawy dojrzałego mężczyzny, Henryka, przez którego twarz przeświecają rysy tamtego, sprzed dwudziestu lat, Pawła. To operowanie nakładających się na siebie różnych warstw czasu i migotliwie przemiennych twarzy oraz obdarzenie bohaterki opowiadania imieniem Maja, oznaczającym w *filozofii staroindyjskiej potęgę* magiczną, później — magię, ułudę, uniwersalizuje problematykę utworu, mówiąc o ustawicznym dążeniu człowieka do miłości, i mimo starzenia się — do odradzania się w niej.

Ostatnie opowiadanie tomu „Historia Arcydzieła Mysikrólika" ubawiło mnie serdecznie. Wstęp do Historii Arcydzieła pisany przez sympatycznego kronikarza, Mysikrólika, ma w sobie coś z bufonady; z tą samą śmieszną powagą opisuje swoje dalsze doświadczenia, m.in. próbę stworzenia swego Arcydzieła, to jest kroniki życia i twórczości Wielkiego Pisarza (wielkiego w jego własnym mniemaniu), a w istocie Wielkiego Kameleona, cierpiącego „niezwykłe męki twórcze" na licznych zakrętach dziejów swego czasu. Zabawna gombrowiczowsko-groteskowa atmosfera tego jakby Arystofanowego Chmurokukułkowa dostarcza wielu ogólnych przemyśleń. Autorka nie potępia tutaj zresztą ludzi „zagubionych" w Historii, raczej dobrodusznie z nich pokpiwa.

Lektura tomu „Ułaskawienie świata" dostarcza wielu wspaniałych wrażeń, jakie daje obcowanie z bardzo dobrą prozą. Opowiadania Wandy Karczewskiej czyta się jednym tchem. Dopiero potem przychodzi refleksja nad ich głębszym sensem, nad odautorskim przesłaniem. Wszystkie opowiadania łączy myśl o stosunku człowieka do człowieka, do rzeczywistości kreowanej i — otaczającej nas. Karczewska, jak wytrawny pedagog, przedstawiając konflikty i postawy ludzkie nie uprawia taniej dydaktyki. Proponuje czytelnikowi zastanowienie się, własny osąd zdarzeń i postaw, i wyciągnięcie własnych wniosków. Nie znaczy to jednak, że jej stosunek do postaci opowiadań nie jest aktywny. Owszem autorka chwyta ich w pułapki, nalotem lekkiej ironii podważa patos i rzekomy tragizm. Trzeba uważać, aby nie dać się zwieść pozorom.

„Ułaskawienie świata" godnie czci jubileusz zasłużonej pisarki.

ZDZISŁAW KŁAPCIŃSKI

* Wanda Karczewska: „Ułaskawienie świata", WŁ. Łódź, str. 102, cena 30 zł.

Jest o czym pisać czyli czego mi nie żal

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Zgroza. Zupełnie przestano ostatnimi czasy szanować mnie w „Odgłosach". Dwa tygodnie temu kupuję w kiosku „Odgłosy" z datą 20 sierpnia, która jest równocześnie datą moich urodzin, zaglądam do środka i co widzę — do mojego felietonu zatytułowanego „Nie ma lekko czyli na co wydaję?" dołączono fotografię pięciu wesołych staruszek. Pamiętam, że parę lat wcześniej również w „Odgłosach" robiono takie numery na prima aprilis, ale wówczas przynajmniej podpisywano zdjęcie: „najnowszy skład grupy Pro Contra", a teraz... Nie dość że — z braku miejsca — nie ukazują się fotografie dołączane przeze mnie do kolejnych felietonów, to jeszcze w podpisie będącym notką od redakcji pisze się o mnie (z dużej litery), iż Autor wyliczając swoje życiowe potrzeby zapomniał o babciach niezbędnych do stania w kolejkach.

Gdybym nie miał poczucia humoru, to chyba bym się obraził za dyskredytowanie mojego materiału w oczach czytelników, ale ja raczej wszystko ważę sobie lekce (co mimo wszystko nie jest równoznaczne z lekceważeniem), toteż pozwolę sobie tylko na dwa zdania wyjaśnienia odnośnie tamtych moich urodzinowych „Odgłosów". Otóż, gwoli ścisłości, wyliczałem wówczas potrzeby nie życiowe, a zawodowe. Jeśli zaś chodzi o babcie, to z moich rodzonych tylko jedna została przy życiu i to raczej ja dla niej robię zakupy niż ona dla mnie; a kolejek, przynajmniej tych przed sklepami unikam. A swoją drogą wolałbym gdyby w numerze „Odgłosów" sprzed dwóch tygodni pojawiło się zostawione przeze mnie w redakcji zdjęcie Krzysztofa Krawczyka, o którym wspomniałem w felietonie. Ale, widać, tę fotkę „w poziomie" łatwiej było „złamać". I tyle na temat babć.

Jednakowoż przy felietonie „Nie ma lekko czyli na co wydaję?" wypadnie mi jeszcze przez jakiś czas pozostać. Bo oto na jego kanwie przed tygodniem w „Odgłosach" narodził się zupełnie nowy tekst, do którego nie mogę się nie ustosunkować. Felieton z cyklu „Spojrzenie znad szachownicy" opatrzony tytułem „Krzysiu, zostań Lope de Vegą" podpisał Jerzy P. czyli — jak powszechnie wiadomo, bo przecież on sam rozszyfrował niedawno tę samotną literkę — Jerzy Panasewicz. I w tym momencie zaczynają się moje kłopoty z piórem, które nie może być tak ostre, złośliwe czy zjadliwe, jak to się w takich razach od publicysty oczekuje. Co jest tego powodem? Nie to, że złośliwego felietonu nie puszczą na łamy, ani też to, że po złożeniu takiego materiału „Odgłosy", gdzie Jerzy bądź co bądź zastępuje szefa redakcji, wymówią mi natychmiast stałą współpracę. Rzecz w czym innym. Po prostu gdy ileś tam lat temu, jako student filologii polskiej na Uniwersytecie Łódzkim i omnibus w zakresie muzyki rozrywkowej, zaczynałem pisać cotygodniową rubrykę muzyczną „Dyskoteka" w „Expressie Ilustrowanym" właśnie Jerzy Panasewicz, podówczas sekretarz odpowiedzialny w redakcji tej popularnej łódzkiej popołudniówki, był w pewnym sensie moim pierwszym nauczycielem dziennikarskiego rzemiosła. Nie chcę tedy, żeby teraz sądził, iż na własnej piersi wyhodował żmiję. Tym bardziej nie chcę, że do tej pory pozostaje on dla mnie mistrzem — szczególnie jeśli chodzi o szachy, w które do tego czasu nie nauczyłem się grać i chyba nigdy już nie będę umiał.

Przeczytałem felieton Jerzego Panasewicza sprzed tygodnia i dziś śmiało mogę powiedzieć, czego mi nie żal. Mianowicie nie żal mi, że tak długo zwlekałem z napisaniem artykułu o swoich wydatkach. Bo przecież gdyby on ukazał się te dwa, trzy tygodnie wcześniej przebywający na urlopie gdzieś w leśnej głuszy, gdzie nie dowożą świeżych „Odgłosów", Jerzy P. mógłby go w ogóle nie przeczytać albo przeczytać zbyt późno. I kto wówczas napisałby taki zgrabny, dowcipny i poparty erudycją tekst jak „Krzysiu zostań Lope de Vegą"? Nikt — słowo daję. Gratuluję, Jureczku, choć Lope de Vegą nie zostanę i tak — o czym jeszcze dalej będzie.

Zacznijmy jednak od początku czyli od pierwszego zdania. Jerzy P. pisze tam, żem jest człowiekiem młodym i że mnie lubi. O ile z drugiego stwierdzenia mogę się jedynie cieszyć, o tyle do pierwszego mam niejakie zastrzeżenia. Rówieśnikami co prawda nie jesteśmy, ale pojęcie „młody" jest raczej względne. Pamiętam, że przed sześciu laty w listach nadsyłanych do „Szpilek", gdzie toczyłem publiczną dyskusję, moi adwersarze uczynili mój „mniej dorosły wiek" jednym z zarzutów przeciwko mnie. Wtedy sprawę wyjaśniłem na łamach warszawskiego tygodnika: może wyjaśni się ona i teraz, gdy powiem że najzdolniejszy jeśli chodzi o zakładanie rodziny kolega z mojej szkolnej ławy ma już piętnastoletniego syna, a mnie samemu siwizna przyprószyła włosy. Stąd mam prawo wnioskować, że taki znów młody to nie jestem. Lecz ta sprawa z ubiegłotygodniowego felietonu to w końcu drobiazg.

Oto bowiem rozbawiony, a jednocześnie rozeżlony Jerzy P. daje mi do zrozumienia, że ja tydzień wcześniej napisałem bzdury bo Wielka Sztuka może się rodzić wszędzie i nie ma konieczności stwarzania jej cieplarnianych warunków, gdy jest w powijakach. Przypomnę, że w swoim ostatnim felietonie z cyklu „czyli" pisałem o tych urządzeniach, zresztą dość powszechnych, które właśnie w przypadku autorów i kompozytorów stają się szczególnie przydatne ułatwiając pracę i zaoszczędzając czasu zainteresowanym. Przedstawiłem tam — zaznaczałem to specjalnie — maksymalne potrzeby wynikające z uprawiania tych specyficznych zawodów nie twierdząc wszelako, że jest to wszystko niezbędne do pracy twórczej — wszak tekst pierwszego swojego przeboju napisałem na cudzej maszynie, po pieszym spacerze, bez telefonu i magnetofonu, ze świadomością, że nie mam gdzie spać. Nie wierzę, żeby Jerzy P. fałszywie odczytał moje intencje; prawdopodobnie w przypływie wielkoduszności chciał zrobić mi swoim felietonem publicity i przyjemność. Dziękuję Ci, Jureczku.

Bardzo sprytnie Jerzy P. okrasił swój pedagogiczny wobec mnie wywód kilkoma dużymi nazwiskami (Beethoven bez magnetofonu, Bach na zlecenie, Szekspir zdrożony, a lord Bacon zabłocony i nie tylko) skutecznie oscylując w kierunku teatru, który — obok szachów — jest jego domeną. Na koniec upatrzył sobie utalentowanego Hiszpana z przełomu szesnastego i siedemnastego wieku stawiając mi go za wzór. Ja jednak Lope de Vegą nie zostanę, nie tylko zresztą dlatego, że w sztuce dramatycznej nie czuję się za mocny i nie dałbym rady napisać tych niespełna dwóch tysięcy utworów. Przyczyn jest daleko więcej. Hiszpańską bródkę i wąsy zgoliłem trzynaście lat temu, nawet na jeden ślub nikt mnie nie namówi, bo nie stać mnie na późniejszy rozwód, wreszcie cały mój związek z teologią to to, że znam osobiście rektora łódzkiego seminarium duchownego. A poza tym mogliby nas przecież z Lope de Vegą pomylić. Takie są moje obiekcje, Jureczku.

A tak nieco poważniej, występując w obronie swojego materiału sprzed dwóch tygodni, muszę przypomnieć, że mówiłem tam o współczesnym twórcy piosenek. I jakoś dziwnie się złożyło, że Jerzy P. zaczerpnął wszystkie swoje przykłady muzyczno-literackich wybitności z dość odległej historii. Tak więc w tych rozważaniach aspekt współczesności ma szczególne znaczenie. Przecież jeśli uznamy za twórczość rysunki w jaskini Cro-Magnan (jeżeli dobrze pamiętam), a mamy do tego prawo, to ich autor miał zupełnie minimalne wymagania życiowe i warsztatowe w obecnym ich rozumieniu. Czy to znaczy, że mamy się do niego przyrównywać? Kulturę masową trzeba utożsamiać z XX wiekiem, działanie mass mediów jest swego rodzaju rewolucją w zakresie pośrednictwa w rozpowszechnianiu dzieł sztuki. Tym prawom współczesności podlegamy bez wyjątku wszyscy. Ty też, Jureczku.

Dzięki istnieniu środka masowego przekazu możemy sobie podyskutować przy udziale obserwatorów: osób trzecich, ale i instytucji. Jerzy P. przywołuje tutaj Wydział Finansowy podejrzewając, że ja swym felietonem usiłuję przekonać urzędników naliczających podatki o konieczności wydawania na pewne rzeczy w związku z uprawianiem zawodu wobec czego należałoby te kwoty odjąć od sumy przychodów — a przecież obaj nie mamy złudzeń, by ktokolwiek z Wydziału Finansowego, zwłaszcza w tych ciężkich czasach, zwrócił na to uwagę. Wytyka mi też Jerzy P. (choć sam niedawno zamierzał w podobnej sytuacji będąc zostać wampirem-mścicielem), że ubiegam się o przydział paliwa do samochodu (notabene: w Urzędzie Miasta Łodzi wydano mi zezwolenie na dodatkowe tankowanie czterdziestu pięciu litrów „żółtej" miesięcznie — mało, bo mało, ale zawsze...) podczas gdy w Londynie sprzed paru wieków żadnemu twórcy nie przyszłoby to do głowy. Przyznam się, iż nie tak znów dawno byłem w Londynie (już tym skanalizowanym) i zauważyłem, że w porównaniu z centrum Łodzi ruch tam jak diabli, a na stacjach benzynowych nikt jakoś żadnych świstków nie stempluje — nie wierzę, żeby to byli sami znajomi ajenta. Po prostu nie ma tam reglamentacji. No cóż, oni nie chcieli zbudować drugiego Zjednoczonego Królestwa, jedna Anglia im wystarczyła. Nie uważasz, Jureczku?

Niezależnie od wszystkiego, nie czekając na specjalne dla nas kartki z ministerstwa, zapraszam Cię, Drogi Jerzy, na lampkę Twojego ulubionego czerwonego wina, na lampkę, którą wspólnie zgasimy... pragnienie. Co do wędzonego węgorza, to obiecuję Ci go przywieźć ze znakomitej wędzarni pana Zygfryda Łozińskiego w Budzistowie, kiedy będę w przyszłym roku wracał z kołobrzeskiego festiwalu. Oczywiście, jeśli podpiszesz mi delegację do Kołobrzegu.

Po tym wszystkim, o czym wyżej pisałem, nie wypada zaprzestać kontynuowania cyklu felietonów muzycznych. Ułożył się z nich ciąg kilkunastu odcinków — Grzegorz Gazda, doktor nauk humanistycznych, w „Odgłosach" sprzed kilku tygodni nazwał go — jako poliglota napisał to, po francusku — ni mniej, ni więcej tylko: swego rodzaju „powieść rzeka". W następnych numerach będą drukowane moje felietony muzyczne, choć nieco mniejsze objętościowo. Osobista ich forma zostanie zachowana, ale wszystko wskazuje na to, że nie zawsze skromna osoba autora występować będzie w nich w roli głównej.

Jeśli chodzi o tytuł, to i w kolejnych wydaniach — przynajmniej na razie — zachowam w tytułach felietonów owo wyróżniające „CZYLI". Jest ono już w pewnym sensie identyfikatorem. Skąd o tym wiem? Przed trzema bodaj tygodniami na łamach „Odgłosów" Dariusz Dorożyński opublikował materiał pt. „Benzynowy cyrk czyli nie bądź pan frajer". Tymczasem jeden z moich kolegów przeczytał, jak zwykle, w środowym „Głosie Robotniczym" anons dotyczący nowego numeru „Odgłosów". Spotykam go, a on mówi: „Jest twój artykuł w nowych „Odgłosach"...", ja zaś na to, że nie ma. „Jak to nie ma? — odpowiada tamten. — Poznałem cię po tym charakterystycznym CZYLI". Niech więc „CZYLI" zostanie.

I tak jakoś wyszło, że dzisiaj właściwie nie napisałem niczego o piosence, jak to zazwyczaj bywało. Felieton muzyczny był praktycznie nie o muzyce, a jednak — głównie za sprawa Jerzego P. — było o czym pisać. Ale jestem przekonany, że w przyszłości nie braknie nam także tych autentycznie muzycznych tematów, bo piosenka jest dobra na wszystko.

Zwykłe filmowe triki

W olbrzymiej dłoni King Konga siedzi piękna dziewczyna. Małpa przesuwa ramię w kierunku skał i spływającego tam wodospadu. Dziewczyna bierze ten oryginalny prysznic. Tak właśnie wyglądała jedna z sekwencji filmu Johna Guillermina o King Kongu. Oglądając tę scenę widzowie zadawali pytanie: jak oni to zrobili? Sami sobie, trafnie zresztą, odpowiadali: to triki, zwykłe filmowe triki. Oczywiście, że triki, tylko jak się je robi? Kto je robi? Skąd się wzięły?

Otóż te sztuczki filmowe są tak stare jak kino. Ba, można powiedzieć, że w pierwszych latach istnienia samo kino było jednym wielkim trikiem. Powszechnie znany jest przecież fakt paniki na sali kinowej spowodowany pojawieniem się na ekranie pociągu pędzącego prosto w publiczność. Złudzenie rzeczywistości, a takie jest m.in. zadanie triku, było zupełne. W tym wypadku wynikało to nie tyle z doskonałości warsztatu filmowego co z naiwności, nie przywykłych jeszcze do kinematografu, ludzi. Narodziny triku filmowego sensu stricto zawdzięczamy G. Meliesowi. Gdy robił on zdjęcia na Placu Opery w Paryżu zacięła się kamera. Przerwał pracę i zaczął naprawiać aparat. Po zlikwidowaniu uszkodzenia Melies ponownie kręcił. Sytuacja na planie, zdaniem reżysera, nie zmieniła się. Jednak podczas przeglądania materiału okazało się, że sfilmowany autobus nagle przemienił się w karawan pogrzebowy. Filmowiec szybko zorientował się jak doszło do zadziwiającego przeobrażenia. Po prostu poprawiając kamerę cofnął nieznacznie taśmę i gdy zaczął ponownie zdjęcia, nowy obraz nałożył się na uprzednio zarejestrowany. Melies wykorzystując nowo odkryte możliwości kamery rozwija technikę trikową. Gdy w roku 1898, podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej o Kubę, prasa doniosła o zatopieniu krążownika Maine, Melies postanawia zrobić na ten temat film, a właściwie rekonstrukcję wydarzenia w porcie Hawana. Wykorzystuje do tego celu duże akwarium z rybami, wodorostami, skałami i płótno z namalowanym okrętem. Płócienną dekorację krążownika ustawia za akwarium, a pomiędzy tymi dwoma elementami inscenizacji poruszają się nurkowie w skafandrach. Śmigło ustawione z boku, niewidoczne dla kamery, powodowało falowanie wody. Podobno złudzenie katastrofy żywiołowej było doskonałe. W tych pionierskich czasach filmu posuwano się niekiedy zbyt daleko. Jeden z hollywodzkich reżyserów, Henry Lehrman, kręcił scenę paniki. Zatrudnił statystów, zaprosił kilka osób z towarzystwa, ustawił ich na planie, uruchomił kamerę i... wpuścił lwa. Nie trzeba chyba opisywać co działo się dalej. Nakręcona przez Lehrmana scena była nadzwyczaj realistyczna. Niewiele to miało wspólnego z trikiem filmowym, choć oglądając jak ludzie wskakują na ściany narażając życie czy tratują się w panice jesteśmy przekonani, że wykorzystano tu technikę trikową.

Jedną z efektownych właściwości filmu, uwarunkowanych jego techniczną specyfiką jest deformowanie ruchu naturalnego. Elementarne triki w tym zakresie wynikają z zasady rejestrowania ruchu z szybkością 24 klatek na sekundę. Odtwarzanie następuje również w takim tempie. Gdy więc w czasie rejestrowania lub projekcji dokonamy zmiany szybkości wykonywania zdjęć filmowych otrzymamy efekt zwolnienia lub przyspieszenia zjawisk filmowanych. Można więc ukazać na ekranie jak biegnący człowiek wyprzedza samochód. Wystarczy nałożyć na siebie dwa obrazy: jadący samochód i sfilmowanego na neutralnym tle biegnącego człowieka. Przyspieszenie ruchu np. goniących się osób, wykorzystywane wielokrotnie w filmach okresu niemego, daje efekt komiczny. Tego typu zdjęcia trikowe mogą służyć celom artystycznym, metaforycznym np. w jednym z filmów biegnąca para sfilmowana z szybkością 48 klatek na sekundę (ruch zwolniony) sprawiała wrażenie jakby płynęła w powietrzu, ledwo dotykając ziemi. Chodziło o podkreślenie swobody, wyzwolenia się z obaw i trosk. Kamera w powiązaniu z techniką stwarza olbrzymie możliwości kreacyjne bynajmniej nie ograniczające się do przedstawionych przeze mnie sztuczek z szybkością przesuwu taśmy. Oprócz aparatury dużą rolę odgrywają także ludzie, specjaliści od charakteryzacji. Niedawno wyświetlano u nas film pt. „Planeta małp". Wszyscy chyba pamiętają tych małpo-ludzi występujących w Planecie. Otóż odpowiednią charakteryzację wykonał John Chambers, uznawany za mistrza makijażu. Jego zasługą jest także wstrząsający widok młodego człowieka porastającego łuskami i stopniowo przekształcającego się w kobrę, jakim uraczono widzów w filmie „Wążżżż".

Zacząłem ów artykuł od przypomnienia sceny z King Konga, należy się więc czytelnikom wyjaśnienie jak zrobiono tę potężną małpę. Było to dzieło Carla Ramboldi, Glena Robinsona i wielu anonimowych ekspertów. Makieta Konga kosztowała 1,7 mln dolarów, wykonana była z leteksu pokrytego włosiem z końskich ogonów. Szkielet miał 40 stóp wysokości i operał się o konstrukcję aluminiową ważącą 3,5 t. Małpę wprawiał w ruch specjalny system hydrauliczno-elektroniczny, kierowany przez wielu operatorów. Ręce King-Konga miały 6 stóp długości. Palce uruchamiane były hydraulicznie. Ich ruchy musiały być obliczone co do milimetra, ze względu na bezpieczeństwo Jessici Langè, grającej rolę dziewczyny. Mimo wszystko nie obyło się bez wypadku. Aktorka została w pewnym momencie zbyt silnie uderzona w głowę przez hydrauliczną łapę. Do scen akcyjnych użyto statysty, który kroczył na tle miniaturowych dekoracji. Ów statysta posiadał 5 masek odpowiadającym wyrazom twarzy Konga. Oczy aktora zmieniono posługując się soczewkami kontaktowymi. Efekt pracy całej armii operatorów, ekspertów i charakteryzatorów był znakomity. Pamiętamy jak potężny stwór uśmiecha się, gniewa, spogląda smutnie. Nie ma nic ze sztuczności czy mistyfikacji.

Filmy, czy tylko poszczególne sceny, w których użyto techniki trikowej mają to do siebie, że na długo pozostają w pamięci. Można zapomnieć treść czy przesłanie „Ojca chrzestnego", ale nie zapomni się uciętej głowy konia spoczywającej w łóżku obok przerażonego takim sąsiedztwem mężczyzny. Był to fragment naprawdę poruszający i szokujący, tym bardziej, że głowa konia była prawdziwa. Zakupiono ją w wytwórni konserw produkującej pożywienie dla psów i w pojemniku wypełnionym lodem przytransportowano na plan. Jak wyglądało kręcenie tej sceny? Al Ruddy, producent filmu opowiadał: „Widok był zgoła groteskowy. Oczywiście zanim zaczęła pracować kamera, Aktor, któremu wsuwano do łóżka zamarzniętą głowę końską z wyciągniętym językiem, był bliski omdlenia. Scenę musieliśmy kręcić pół dnia".

Pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych powstaje szereg filmów o tematyce kosmicznej (Odyseja kosmiczna 2001, Księżyc 02, Imperium kontratakuje, Gwiezdne wojny). Ich akcja toczy się częściowo lub w całości wśród gwiazd. Jest więc nowe pole do popisu dla twórców efektów specjalnych. Większość filmów o tematyce kosmicznej powstaje w USA, dlatego tam też „przemysł trikowy" rozwija się dynamicznie i stoi na bardzo wysokim poziomie. Firmy specjalizujące się w zdjęciach trikowych mają do dyspozycji olbrzymi arsenał środków technicznych. Korzystają z komputerów i graficznych technik komputerowych, laserów i supernowoczesnych kamer elektronicznych. Ludzie zajmujący się efektami specjalnymi to absolwenci szkół filmowych, ale także osoby o wysokim specjalistycznym przygotowaniu technicznym i naukowym. Jednym z pierwszych specjalistów tej dziedzinie był Doug Trumbull, twórca efektów w Odysei kosmicznej 2001. Obecnie nazwiska jego kolegów po fachu takich jak Rob Blalack, Jamie Shourt czy John Dykstra znane są w środowisku filmowym USA. Kosmiczne zdjęcia trikowe są kosztowne i skomplikowane. Przy produkcji np. Gwiezdnych wojen zatrudnionych było 18 techników na 3 zmiany i pracowali oni nad montażem efektów specjalnych przez 9 miesięcy. W filmie tym wiele scen zrobionych było tzw. techniką błękitnego ekranu. Polega ona na tym, że każdy element danej sekwencji nakręcany jest na niebieskim tle. W scenie gdzie statek kosmiczny „Sokół Milenium" zostaje wciągnięty w potężny dok Gwiazdy Śmierci osobno filmowano, a następnie połączono w jeden obraz, statek kosmiczny (w rzeczywistości model o średnicy 1,2 m), dok (75 centymetrowe malowidło na szkle), autentyczny wycinek nieba, a także występujących na planie kosmonautów. Skutek jest taki, że patrzymy na ekran urzeczeni i zafascynowani, zapominamy, że to tylko optyczne złudzenie.

Rozwój techniki trikowej umożliwia pokazywanie w filmie światów nieistniejących, sytuacji nierzeczywistych. Dzięki zastosowaniu zdjęć trikowych, nie tylko tych kosmicznych, na ekranie oglądamy świat, który wyprzedza naszą cywilizację, świat pełen problemów, które na razie nie są jeszcze naszymi problemami.

LECH KAŹMIERCZAK

Fotos z filmu „Gwiezdne wojny"

W kręgu fantastyki

KIRYŁ BUŁYCZOW

Pierwsza warstwa pamięci

STRESZCZENIE: Narrator, Giwi, zostaje obudzony w nocy i pilnie wezwany do instytutu naukowego, w którym pracuje. Po niespodziewanym trzęsieniu ziemi na szosie, czterdzieści kilometrów od miasta, znaleziono speleologa — Beso Guramiszwilego — w stanie ciężkiego szoku.

Rys. Dariusz Wąż

— No i co dalej? Kiedy my pojawimy się na scenie?

— Dziś rano było tam trzęsienie ziemi Wejście do podziemia zawaliło się, łączność przerwana, a co stało się ze speleologami nie wiadomo. Wyobraź sobie, aż do późna w nocy ratownicy starali się przedrzeć przez zawał, szukali, czy nie ma innych wejść do jaskini i nagle na szosie, o dziesięć kilometrów od wejścia zjawia się Beso Guramiszwili Podejrzewają, że gdzieś tam niedaleko jest drugie wejście, ale na razie nie mogą go odnaleźć.

— A Beso niczego nie może opowiedzieć.

— Właśnie. Niczego nie może opowiedzieć i jest duże prawdopodobieństwo, że nie uda się przywrócić mu dziś przytomności... I tu my będziemy musieli pomóc.

— W jaki sposób?

— Aparatura.

— A jak przy jej pomocy chcesz dostać się do speleologów?

— Chodź na górę. Po drodze będziesz myślał. Może spłynie na ciebie olśnienie.

Szedłem po schodach. Przede mną chwiały się szerokie, zgarbione plecy Dawida i w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, jak przy pomocy naszej aparatury można odkopać speleologów. Wszystkich osiemnastu, nie, siedemnastu ludzi. Jeden przecież sam się jakoś wykaraskał...

— Już wiem. Czyli Beso wie, jak się do nich dostać, nie przekopując zawału.

— Jesteś prawie genialny — powiedział Dawid poważnie — ta myśl przyszła Paczuli do głowy, gdy wiózł Beso do Tbilisi.

Zatrzymaliśmy się w drzwiach gabinetu Lorda. Dawid spytał:

— Przygotować aparaturę?

— Wydałem już odpowiednie polecenia — powiedział Lord.

— Kto będzie przyjmującym?

— Ja — powiedział Dawid.

Lord popatrzył na niego nie kryjąc wątpliwości.

Rozumiałem Lorda. Dawid — chłopak z dobrej rodziny, którego dobrze i starannie karmili w dzieciństwie, i nie zachęcali do zajmowania się sportem. Dawid wyrósł pulchny, zwalisty, okrągły, ale ku zdziwieniu krewnych — pracowity. Jest krótkowidzem. Wozili go do wszystkich okulistów w kraju z wyjątkiem może Władywostoku. Inny na miejscu Dawida serdecznie znienawidziłby medycynę, a on na odwrót — polubił ją. Na złość, czy co?

— Jeśli się uda, to będzie trzeba tam pójść — powiedział. Lord spojrzał na mnie.

Pod wpływem jego wzroku, zupełnie nieświadomie wyprostowałem się. Bo ja wychowałem się na wsi, dużo biegałem. Mnie tam nie wozili po lekarzach i nie uczyli muzyki.

— A ty Giwi, jak myślisz? — spytał Lord.

— Myślę, że możemy zaczynać.

Dawid zamruczał coś o swoim doświadczeniu i zaangażowaniu, ale Lord szedł już w stronę laboratorium.

— Dawid — starałem się go pocieszyć — każdy tu robi swoje.

Lubię naszą aparaturę zapewne dlatego, że za to uczucie płacą mi pensję i czasem dają premię. I jeszcze dlatego, że rozumiem z jej działania mniej od Lorda, a nawet mniej niż Dawid. Choć tak naprawdę, to nikt jej do końca nie rozumie. Ona jest całkiem jak kobieta: kapryśna i nigdy nie można przewidzieć, co zrobi za chwilę. Może obdarować cię wstrząsającymi danymi, a potem obrazi się i odmówi wszelkiej z tobą współpracy. Instalacja zajmuje połowę pierwszego piętra i piwnicę, dokąd uciekają inżynierowie, odnoszący się do nas, medyków, jak do ludzi drugiego gatunku, zdolnych co najwyżej do tego, żeby marnować ich wynalazki. Inżynierowie zbudowali aparaturę, my opracowaliśmy metodykę jej zastosowania i w końcu nikt nie był zadowolony. Może jest w tym pewna doza kokieterii, ale zwłaszcza ja wyróżniam się w tej kompanii, bo choć nikt nie wysyła mnie na kongresy do Paryża i nie mam okularów w pięknej oprawie, jak Lord, za to lepiej od nich umiem pracować rękami. Kiedy eksperymentujemy z psami, te stworzenia wolą, żebym to ja je kroił, dlatego, że wtedy mniej je boli. Jestem tego pewien: kiedyś, nie zważając na kategoryczny zakaz Lorda, przyjmowałem informacje od psa imieniem Rusłan. Przeżycie to było dziwne z powodu ubóstwa doznawanych uczuć — z całą pewnością nie byłem w stanie prawidłowo zorientować się w emocjach psa. Ale jednego byłem zupełnie pewny: do mnie Rusłan czuł sympatię, a do Dawida — żadnej. Dawida chciał ugryźć.

Przez szklane drzwi zajrzałem do operacyjnej. Rusiko szykowała instrumenty. W żółtym kitlu wyglądała bardzo efektownie. Kiedy podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie, wywołałem na twarz wyraz zachwytu, ale obawiam się, że mnie nie zrozumiała. Niestety, zamierza wyjść za mąż za Dawida, a on z kolei boi się, że jego mama będzie temu przeciwna.

Poszedłem się ogolić. Pogodziłem się już z tym, że raz w tygodniu muszę golić głowę i pociesza mnie tylko to, że jestem podobny do Majakowskiego w trudnym okresie jego życia. Moi znajomi uważają to za dziwactwo i próbę pokrycia braków intelektualnych. Natalia namawiała mnie, żebym kupił perukę. Znalazła nawet jakiegoś Sarkisa, który przywiózł perukę z Wenecji i mógł się z nią rozstać z miłości do Natalii. Nie przyjąłem ofiary zakochanego Sarkisa, tylko pożałowałem wenecjan, którzy muszą chodzić w perukach.

Goliłem się i wspominałem, jak po raz pierwszy, dwa i trochę roku temu, uruchamialiśmy aparaturę. Rusłan i rudy piesek z cyrku leżały przywiązane do stołów w tej samej sali operacyjnej Wprowadziłem elektrodę do mózgu Rusłana, a Natalia zapisywała dane ze wskaźników. Lord denerwował się i dlatego był dla nas ostry, i warczał na Rusiko. Dawid z inżynierem uwijali się przy pulpicie i choć po dziesięciu minutach główny inżynier powiedział: „Zapis poszedł" — wcale nie byliśmy przekonani. Gdy psy się obudziły, obserwowaliśmy je, jak podejrzliwi zazdrośnicy swoje żony, a psy piły mleko, jadły mięso i Rusłan patrzył na tresera pustymi oczami. A my przecież specjalnie wybraliśmy psa cyrkowego dlatego, że on dużo w życiu doświadczył i wiele umiał. Treser marudził, że traci czas na próżno, choć płaciliśmy mu po wyższej stawce. On nie wierzył, że można przekazywać pamięć: zapisać i przekazać. Że Rusłan może umieć teraz to, co umie jego rudy piesek. My sami również wątpiliśmy i to właśnie było najbardziej parszywe. Przecież dla osiągnięcia tego efektu wydano masę pieniędzy, a my poświęciliśmy kilka lat i przez te wszystkie lata najpoważniejsi i najbardziej wykształceni ludzie uważali Lorda za szarlatana. A pod wieczór tego dnia, kiedy zmęczony i sceptycznie nastawiony treser znowu poszedł do Rusłana ze swoimi akcesoriami, nasz drogocenny pies przybrał profesjonalny wyraz pyska, przespacerował się na tylnych łapach, zrobił salto i zgrabnie skoczył przez zaklejone papierem kółko. Rudy psiak patrzył na niego uważnie i podpowiadał w psim języku co robić dalej. Rusłan postępował wbrew sobie, zajmując się rzeczami niegodnymi poważnego, solidnego, dużego psa, ale robił to dlatego, że w pamięci miał już odruchy przejęte od ryżego pieska. Po dwóch dniach wszystko zapomniał i wrócił do normalnego niewymyślnego życia. Trener mimo wszystko nie uwierzył, że psa można w pięć minut nauczyć tego wszystkiego, co jego podopieczni przyswajali sobie miesiącami, zabrał swój rudy skarb z ogoloną głową, rozliczył się w kasie i niezadowolony rozstał się z nami

Wszystko to nie znaczy rzecz jasna, że do tej pory drogę do sławy mieliśmy usłaną różami. Pięliśmy się ku niej, potykaliśmy się, błądziliśmy po górskich ścieżkach i regularnie wracaliśmy do punktu wyjścia. Ogarniała nas przygnębiająca myśl, że nigdy już nie wyplączemy się z tego labiryntu! Pracowaliśmy z najmądrzejszymi psami w Gruzji, a one nie wiadomo dlaczego, przekazywały swoim odbiorcom tylko urywki głupich wspomnień albo zwyczaj, by gryźć się cichcem. Pielęgnowaliśmy makaki i koczkodany, które nijak nie potrafiły przyjąć od informatorów elementarnej nauki — by rzucać skórką od banana w nielubianego eksperymentatora. W końcu eksperymentowaliśmy też na sobie i dwa dni pod rząd dręczyły mnie stare wyrzuty sumienia Dawida, który jak się okazało, mając siedem lat, ukradł spinkę wujka Iraklia i przerażony tym, co zrobił, wyrzucił ją do rzeki Kury

— Giwi, jesteś gotowy? — spytała Natalia. — Chorego już przywieźli.

— Jestem jak pionier — odparłem — zawsze gotów. A ty byłaś kiedyś pionierką?

— Giwi — powiedziała Natalia z wyrzutem. Ona chciałaby, żebym był tak poważny i utalentowany jak Lord, żebym był altruistą większym od samego Szwajcera Z kobiecą krótkowzrocznością nie rozumiała, że gdybym spełnił te wszystkie warunki, straciłbym dla niej cały urok.

— Na pewno byłaś najmądrzejszą i najlepszą pionierką w klasie — powiedziałem z przekonaniem.

— Przygotuję cię — powiedziała Natalia.

— Nie trzeba. Będzie mnie przygotowywał Dawid. Nie pozbawiaj go tej przyjemności. Jeśli ty się tym zajmiesz, to nie dam rady nastroić się na przyjmowanie informacji. Będę myślał tylko o tobie. A propos, nie chciałabyś się stać moim informatorem? Mogę ci dostarczyć perukę.

— W żadnym wypadku. I to nie z powodu włosów.

— Boisz się, że poznam twój prawdziwy stosunek do mnie.

— Tak, boję się.

Kiedy wysterylizowany jak tampon, i pachnący jodem pojawiłem się w operacyjnej, wszystko już tam było gotowe. Podszedłem do stołu, na którym leżał Beso Guramiszwili. Nasz anestezjolog odbywał gorączkową naradę z siwowłosym i zasłużonym kolegą z instytutu chirurgii. Nie zazdrościłem mu. Nawet dla mnie było jasne, że ostatkiem sił podtrzymują w Beso życie. Beso spodobał mi się. Ogolili mu głowę i stał się podobny do mnie. Albo do Majakowskiego.

— Jesteś gotów, Giwi? — spytał Lord ojcowskim głosem, jakby zamierzał zabrać mnie na lody albo do ZOO.

Leżałem na stole i gdy obróciłem głowę, mogłem zobaczyć ostry i ciemny profil Beso. Anestezjolodzy doszli do zgody i młodziutka kardiolog z naszego instytutu została dopuszczona do ich wysokiej narady. Starałem się wyobrazić go sobie w jaskini; tam przecież bardzo ciemno i na pewno strasznie. Ja nigdy nie byłem w żadnej jaskini. Odczuwam chyba duchową więź z troglodytami i boję się jaskiniowych niedźwiedzi i tygrysów. Dawid patrzył na mnie łaskawie, jak chłopiec z dobrej rodziny patrzy na chłopca z sąsiedniego podwórka, z którym bardzo chciałby się bawić, ale mu nie wolno.

— Mam nadzieję, że Beso nigdy nie kradł spinek wujkowi Irakuli — powiedziałem do Dawida i były to moje ostatnie słowa, bo dali mi w tym momencie narkozę, czego również bardzo nie lubię.

Na pewno przez sen myślałem o tym, że anestezjolodzy nie będą mnie na długo „wyłączać", gdyż z tą właśnie myślą w głowie przyszedłem do siebie. Ale kim jestem i dlaczego nie należy mnie na długo „wyłączać", tego nie od razu się domyśliłem.

Było ciemno. Za szklanymi drzwiami paliło się światło i po matowej tafli, jak w teatrze cieni przesuwały się ludzkie sylwetki. Kraj czekał, na moje przebudzenie.

Jak zawsze bolała mnie głowa. Byłem rozczarowany na siebie i czułem się winny wobec Lorda, który tak na mnie liczył. Podniosłem rękę, żeby spojrzeć na zegarek, ale oczywiście, żadnego zegarka na ręce nie miałem. Zza drzwi dobiegały mnie głosy. Słuch miałem wyostrzony i wyłowiłem z gwaru czyjś niski głos, zapewne Lorda:

— Według naszych danych, zazwyczaj upływa kilka godzin, zanim można uzyskać od niego jakieś informacje.

Drzwi otworzyły się i na palcach weszła Natalia. Zamknąłem oczy. Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Natalia coś tam robiła na stoliku przy leżance. Brzęknęła szklanka i Natalia wyszła. Powiedziała na korytarzu:

— Jeszcze śpi.

— Zrobiłam kawę — usłyszałem głos Rusiko.

Byłem wdzięczny Rusiko, która wpadła na doskonały pomysł żeby ich wszystkich odciągnąć od drzwi. Oni widocznie też się ucieszyli z możliwości odejścia i miganie cieni na szkle ustało.

Musiałem sobie coś przypomnieć. O czymś zapomniałem, o czymś ważnym Wyobraziłem sobie Beso, leżącego na stole operacyjnym i pomyślałem, że nigdy jeszcze nie widziałem siebie z boku. To znaczy nie siebie, a jego. Czegoś nie zrobiłem. Czegoś, co koniecznie powinienem był zrobić, choć ten obowiązek odnosił się nie do mnie, a do Beso i niepokoiło mnie, czy nie zgubiłem Tego. Gdzieś w głębi duszy nadal pozostałem samym sobą i rozumiałem, że we mnie pojawiają się myśli Beso. Cieszyłem się z tego, że są one obecne, ale w tym czasie nie tylko dla Beso, ale już i dla mnie ważniejsze było przypomnieć sobie o Tym. O jaskini? Nie, nie o jaskini. Rozumiałem, że To ważniejsze jest na razie od jaskini i że ja nic o tej jaskini nie wiem. I nie mogę przypomnieć sobie o niej dlatego, że nigdy nie zbliżałem się nawet do niej. A To powinno leżeć w kieszeni dżinsów.

Tu już musiałem myśleć sam, bez pomocy Beso, którego myśli teraz tylko mi przeszkadzały, straszyły, budziły niepokój. Beso nie wiedział nic o instytucie i o tym, jak się tu znalazł. To wiedziałem tylko ja.

Kiedy Beso przywieźli do instytutu rozebrali go, a odzież odesłali na parter, do magazynu. Na pewno do magazynu Inna sprawa, że mogli go rozebrać na pogotowiu, zanim przywieźli go tutaj, ale to mało prawdopodobne.

Właśnie teraz Giwi powinien wziąć górę nad Beso i nacisnąć przycisk dzwonka. Przybiegnie Natalia, przyjdzie Lord, a ja im powiem o dżinsach i o tym, co należy z nich zabrać. Ale z jakiegoś powodu nie mogłem tego zrobić. Czułem, że muszę zająć się tym osobiście.

Wychodzić przez drzwi — niebezpiecznie. W każdej chwili może wrócić Natalia. Trzeba będzie skakać z pierwszego piętra, a to nierozsądne.

Siadłem na łóżku i około minuty starałem się opanować mdłości i zawrót głowy. Byłem zdenerwowany. Jak spadkobierca szkockiego zamku, którego upiór rodowy ciągnie w zagadkowe błota. Trzeba, Giwi, trzeba! Zauważyłem, że moje ubranie ogranicza się do slipek. Koledzy zapomnieli ubrać mnie choćby w szpitalną piżamę.

Podszedłem do okna. Otworzyłem je. Jak należało się spodziewać, okno otworzyło się ze skrzypem zdolnym obudzić cienie przodków w rodzinnych grobowcach. Na szczęście moi koledzy jeszcze popijali kawę i odpoczywali. Czarny klomb znajdował się daleko w dole. Może pomylili się i położyli mnie nie na pierwszym, a na piątym piętrze? Od okna ciągnęło przenikliwym chłodem. To na pewno od księżyca, który oświetlał wierzchołki drzew.

I nagle „zginąłem". Zginęły gdzieś moje słowa, moje uczucia i nawet moje poczucie humoru. Czułem, że muszę jak najszybciej wziąć To i jak najszybciej zrobić to, co powinien był zrobić. Na korytarzu rozległy się kroki. Wydało mi się, że Natalia spieszy do mnie, czując, że coś jest nie w porządku. Przełożyłem nogi przez parapet i stanąłem na gzymsie. Potem odepchnąłem się od ściany i skoczyłem. Ziemia trzepnęła mnie po nogach. Nie utrzymałem równowagi — upadłem, potłukłem się, umazałem się ziemią. Nie poczułem bólu, tylko rozdrażnienie. Beso skoczyłby lepiej.

Siedziałem na klombie i przysłuchiwałem się, czy to przypadkiem nie do mojego pokoju weszli. Jeśli to Natalia, zaraz wybuchnie alarm i do magazynu się nie dostanę. Ale panowała cisza. Wstałem, otrzepałem się z grudek ziemi i poszedłem wzdłuż ściany do służbowego wejścia.

Księżyc świecił mi w plecy i na tle białej ściany wyróżniałem się jak żuk na kartce papieru. Oto i okno magazynu. Było zabezpieczone kratą i magazyn, dla niewtajemniczonego, wydawał się niedostępny. Ale wczoraj słyszałem narzekania magazynierki na zepsutą kłódkę przy drzwiach i widziałem, że ślusarz Izydor obiecał zdjąć starą kłódkę i założyć nową. Znałem Izydora i mogłem być pewien, że starą zdjął, ale nową — wątpliwe, czy założył. Wszedłem wejściem służbowym, potem namacałem drzwi do magazynu i pchnąłem je. Drzwi posłusznie otworzyły się. Moja psychologiczna etiuda o instytutowym ślusarzu potwierdziła się. Zapaliłem światło, przypuszczając, że w nocy w instytucie nikt nie spodziewa się rabusiów. Odzież Beso leżała na stole. Kiedy ją przywieźli, magazynierki nie było, więc ubranie po prostu położyli tu. Nie zdziwiło mnie to, że poznałem rzeczy Beso. Dziwniejsze byłoby, gdybym ich nie pamiętał.

Wciągnąłem wilgotne dżinsy, które okazały się na mnie prawie w sam raz, włożyłem koszulę i sweter, pamiętający lepsze czasy. Wszystko było brudne, na rękawie zakrzepła krew. Z kieszeni dżinsów wyciągnąłem plastykowy pojemnik.

„Rezo podał mi pakiet. Latarka świeciła z góry i jego oczy wyglądały jak dwie czarne jamki. „Obiecujesz mi?" — spytał Rezo. „Obiecuję" — odparłem".

Ta scenka przemknęła mi przez pamięć wyraźnie, zupełnie jakbym sam widział tego nieznanego mi Rezo. Stałem niepewny, co robić dalej.

„Co dalej?" — w myślach spytałem Beso.

I w tym momencie zrozumiałem, dokąd powinienem jechać. Właśnie jechać. I to zaraz. Do wsi Mokwi. Tam można dojechać autobusem. Wziąłem ze stołu zegarek Beso. Jeszcze szedł. Było dwadzieścia po piątej. Od operacji nie minęły nawet trzy godziny. Inny na moim miejscu leżałby i męczył się, a ja wyruszałem na wycieczkę.

Dłużej czekać nie było można. Zgasiłem światło i wyszedłem z magazynu. Komunikacja miejska jeszcze śpi i przeżywa sny. Może uda mi się złapać taksówkę?

„Poznasz jego dom. On stoi na samym końcu ulicy. Cały w dzikim winie. A przed nim róże. U nikogo więcej nie ma róż".

To mówił Rezo, poznałem jego głos.

Przemaszerowałem przez gazon i minąłem na wpół otwartą bramę. W taką noc jak dzisiejsza wszystkie zasady zdawały się nie obowiązywać. Gdzie teraz jest nocny stróż?

Niedaleko szumiała Kura. Zaszczekał pies. Odpowiedziały mu psy zamknięte w piwnicy instytutu. Wydało mi się, że od strony instytutu rozległ się krzyk. Wołają mnie? Poszedłem szosą w kierunku miasta. Pobiegłbym, ale znowu poczułem mdłości i w głowie mi szumiało. Obejrzałem się. Zielone światełko taksówki wyskoczyło zza zakrętu. Wyszedłem na środek drogi i podniosłem rękę. Samochód zahamował.

— Nie widzisz, że zjeżdżam na bazę? — spytał taksówkarz wychylając się z okna. — Nigdzie cię nie zawiozę.

— Ja tylko na dworzec autobusowy.

— To mi nie po drodze.

— Mam bardzo ważną sprawę. Bardzo proszę, podwieź mnie.

Zgodziliśmy się na pięć rubli. Szofer uległ sile pieniędzy, ale nie poprawiło mu to humoru. Patrzył wprost przed siebie, na drogę, do mnie nawet się nie odezwał. Był niezadowolony z własnej ustępliwości.

„Kamień usunął się spod nóg, powietrze uderzyło mnie w twarz. Powietrze było gęste i utonął w nim grzmot obwału. Ktoś krzyknął. Upadłem na podłogę pieczary i uderzyłem kaskiem o kamień. Nie myślałem, że mogę zginąć. Chciałem tylko, żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Góra ryczała, zupełnie jakby starała się zapełnić wszystkie puste miejsca w swym wnętrzu...".

— Jesteśmy na miejscu — powiedział taksówkarz. — Teraz mam na bazę dziesięć kilometrów. No, płać.

Moje ręce nie wiedziały, w której kieszeni są pieniądze. Pieniądze zostały w marynarce Giwiego.

— Zapomniałem pieniędzy — powiedziałem spokojnie dlatego, że już byłem na dworcu autobusowym i do Mokwi miałem niecałą godzinę jazdy.

— Żartujesz — z przekonaniem powiedział kierowca. —

— Jutro proszę przyjść do mnie do instytutu — powiedziałem. — Zapłacę dziesięć rubli.

— Żartujesz — powtórzył szofer ze złością. — Drogo będą cię te żarty kosztowały. Pojedziemy na bazę, tam pogadamy.

— Proszę wziąć coś w zastaw — powiedziałem.

— Co ja od ciebie mogę wziąć? — spytał szofer taksując mnie wzrokiem.

— Zegarek — przypomniałem sobie. — Weź zegarek.

Nie czekając na jego odpowiedź odpiąłem metalową bransoletkę. Podałem mu zegarek.

— Niepotrzebny mi twój zegarek — powiedział tkasówkarz.

— To dobry zegarek, japoński, „Seiko".

Zegarek był własnością Beso i stąd wiedziałem, że to „Seiko". To nieco uspokoiło szofera.

— Dobra — powiedział. — Różnie bywa. Zapamiętaj mój numer. Powiedział numer. Jakiś wczesny autobus podjechał do budynku dworca. Pobiegłem w jego stronę. Nad przednią szybą autobusu była tablica z podaną trasą. Autobus jechał w przeciwnym kierunku. Taksówkarz jechał za mną.

— Nie zapomnij numeru — krzyknął.

Na dworcu panowała jeszcze noc. Kilku przypadkowych pasażerów zabijało czas drzemiąc na ławkach. Dostrzegłem rozkład jazdy i skierowałem się w jego stronę. Ja sam nigdy nie jeździłem do Mokwi, ale Beso bywał tam. Najbliższy autobus w stronę Telewi odjeżdżał za półtorej godziny.

Stałem przed tablicą z rozkładem. Jedyny wartościowy przedmiot, zegarek Beso, już przepadł. Trzeba będzie iść na szosę, bo kierowcy ciężarówek są bardziej uczynni niż taksówkarze, czy kierowcy autobusów.

...Do poczekalni zajrzał szofer taksówki. Na jego grubym wskazującym palcu huśtał się zegarek „Seiko".

— Gdzie ty się podziewasz? — spytał groźnie. — Już godzina jak skończyłem pracę, a muszę biegać za tobą po całym Tbilisi.

— No, o co jeszcze chodzi? — spytałem.

— Nie zapisałeś numeru — powiedział taksówkarz.

Nie był już młody. Trochę podobny do Lorda, zupełnie jakby był jego starszym bratem, który wybrał inny zawód.

— Chodźmy — powiedziałem. — Pogadamy na ulicy.

Moja bieganina po poczekalni obudziła część oczekujących. Patrzyli na mnie podejrzliwie, zupełnie jakbym zamierzał za jednym zamachem ukraść wszystkim walizki.

Na ulicy było zimno, od gór dął lodowaty wiatr. Sweter Beso prawie nie grzał. Skuliłem się z zimna.

— Dokąd ci trzeba? — spytał taksówkarz.

— Do Mokwi.

— Znam. Mój brat tam mieszkał. Jeszcze przed wojną. Potem wyjechał. A co, masz tam dziewczynę?

— Dlaczego?

— Bardzo się denerwujesz. — stwierdził szofer. Wyciągnął paczkę papierosów, poczęstował. — Nie myśl, że szukałem cię z powodu tych pięciu rubli. Nie lubię kłamczuchów. Czasem, bywa, siądzie taki, pieniędzy nie ma i tylko bajki wymyśla.

Obrzuciłem wzrokiem plac, mając nadzieję, że zdarzy się cud i pojawi się autobus z napisem „Mokwi" na tablicy.

— Masz ważną sprawę w Mokwi?

— Przecież już pan skończył pracę. I nie mam pieniędzy.

— Ty się do mojej pracy nie wtrącaj. Lepiej od ciebie wiem, co mam robić. Siadaj do gabloty.

— Co?

— Siadaj do wozu, mówię. Ile czasu mam czekać na ciebie na środku placu?

C.D.N.

Tłumaczenie:
EWA i DARIUSZ MILERSCY

Spod lady, czyli co było w księgarniach w lipcu

Nic!

Być może wydawca po przeczytaniu naszych poprzednich recenzji doszedł do słusznego skądinąd wniosku, że lepiej nie wydawać nic, niż wydawać chałę. Popieramy całym sercem, mając jedynie niejaką wątpliwość, czy naprawdę nie da się znaleźć do druku żadnej wartościowej pozycji. Zobaczymy, co będzie za miesiąc.

MD

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego

Tutawka cienkonoga — *Tutavium ophioruideum*

W kręgu fantastyki

„Stary" był nieugięty. „Mamy lato — dosyć tych smętnych gniotów, potrzebuję coś autentycznie lekkostrawnego..." — zadecydował krótko. „— Tylko potwora z Loch Ness zostaw w spokoju"...

Wyraźnie mi nie szło. Wyrzucałem już chyba szóstą kartkę. W popielniczce piętrzyły się niedopałki. W głowie huczało, a parno było niemożliwie. Nie pomagały otwarte drzwi balkonowe. „Przydałaby się burza..." — przemknęło mi przez myśl i jakoś parę minut później rzeczywiście usłyszałem niezbyt odległy pierwszy grzmot.

Wystukałem już dobrych parę wierszy, gdy dostrzegłem to „coś". Zerknąłem bezwiednie w stronę balkonu i nagle ujrzałem jak przez próg przelewa się jakaś gruba, puchata ciemnozielona masa. Taki brunatny, matowy balon, albo raczej wypchana poduchа. Po chwili druga. Oniemiałem zupełnie. „Poduchy" przelały się jeszcze parę centymetrów bliżej. W uszach poczułem dziwny ucisk, jak podczas wysokogórskiej wspinaczki, choć wyodrębniałem jakieś piski czy gwizdy w ultrawysokiej tonacji. Z przerażenia nie mogłem z siebie wydobyć głosu. A bezkształtne, zielone bryły zupełnie jakby się czołgały. Jedna przeturlała się do kontaktu w ścianie, druga dopłynęła do radioodbiornika...

Z ogłuszającego wizgotu w uszach stopniowo wyklarowało się jakieś „grrr", „tuu", „bzzz", a po chwili wyłowiłem już niemal wyraźne, choć syczące „poczekajjj jeszczeee"... Obie bezkształtne masy zaczęły coraz szybciej formować się w ...ludzkie postacie! Jeszcze sekunda i parę metrów ode mnie siedziało dwóch nieznanych mi mężczyzn, identycznych jak lustrzane odbicie!

— NIE BOISZ SIĘ CHYBA?

— spytał dźwięcznie ten, który wciąż jedną rękę trzymał w kontakcie. — Teraz lepiej? — Do takich widoków jesteście przecież przyzwyczajeni. Siedzący obok radioodbiornika dodał z łagodnym uśmiechem: — Te wasze „volty" sprawiają, że nas w ogóle widzisz. — Odblokuj go, ostrożnie Ro — rzucił w kierunku swego kompana.

Poczułem się jakby mi ktoś zdjął żelazne okowy, choć nadal nie mogłem wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Przyglądali mi się z lekko ironicznym wyrazem twarzy. Zdrętwiałymi palcami dyskretnie uszczypnąłem się w rękę. Zabolało.

— Kim, no, wy jesteście? — wydusiłem wreszcie z siebie.

— Jesteśmy stamtąd — wskazał na niebo „radiowiec", wy to nazywacie zdaje się „odległą o miliardy lat świetlnych galaktyką". Obserwujemy was dyskretnie od wielu nerów, to znaczy — aha, u was nie ma takiej miary. No, od dawna, gdy takich istot jak ty jeszcze na Expie (wiem, wiem nazywacie ją Ziemią) nie było.

— Ale ja, jakby to powiedzieć, wciąż nie wierzę własnym oczom — starałem się głośno tłumaczyć. — Nikt z ziemian nie przeżył jeszcze takiego spotkania...

... i nic dziwnego — wtrącił jakby lekko zdenerwowany ten przy kontakcie w ścianie. — Przybraliśmy waszą postać, by cię zbytnio nie przerażać; jak widzisz możemy się porozumieć. Gdybyśmy cię odwiedzili bez tej maskarady, twoje zmysły jeszcze mniej byłyby w stanie pojąć. Ale nieprawda, że podobnych spotkań nie było — po prostu wy nie umiecie się jeszcze na swej planecie porozumieć, współdziałać. Po drugie — jesteście urodzonymi niedowiarkami: tobie też w naszą wizytę nikt nie uwierzy. Wy to nazywacie: bliskie spotkania czwartego stopnia.

— I wiecie o nas wszystko? — jakoś nie trafiało mi to do przekonania. — To po cóż te odwiedziny?

— Wszystko, a nawet trochę więcej — wyraźnie rozmowniejszy ten przy „Jowicie" starał się być nawet dowcipny. — A może przepytasz mnie z tej waszej śmiesznej tabliczki mnożenia czy raczej wyłuszczyć ci podstawowe teorie Platona? Wolisz twórczość Hemingwaya czy szybciutki opis budowy tej waszej rakiety typu „Saturn" czy „Sojuz"? Jesteście jak dzieci: nie dopuszczacie myśli, że nie jesteście jedyni w Kosmosie (tak to określacie?) i są od was rozumniejsi. A powinniście przypuszczać, iż nieznane wam istoty rozumne mogły te kilkaset tysięcy lat wcześniej, że posłużę się jeszcze raz waszą nomenklaturą, wiedzieć tyle, co wy dziś.

Pytasz po cóż te odwiedziny? Nas też ciągnie w przestrzeń, też realizujemy różne zadania. A was po prostu nadal obserwujemy, czy rozwijacie się w takim kierunku, jak my kiedyś. Powiedzmy sobie otwarcie: nastawieni jesteśmy przyjaźnie, toteż postaramy się ustrzec was przed wieloma błędami...

„RADIOWIEC" BYŁ CHYBA SZEFEM

Gdy w pewnym momencie jego kompan w trakcie rozmowy niespodziewanie zaczął mówić jakoś niewyraźnie, coraz bardziej chrypliwie i świszcząco — spojrzał na niego karcąco

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Oni przybyli z XER...

i rozkazująco wskazał na przegub ręki. Tamten zacisnął palce na wskazanym miejscu i głos wrócił mu do normy. Obaj też bez trudu — jak się za chwilę przekonałem — czytali w moich myślach.

— Wybij sobie z głowy byś mógł nas dotknąć — ubiegł moje pytanie „szef". — Ro znów będzie cię musiał zablokować, zresztą mógłbyś wówczas — jak to ładnie określacie — zginąć od porażenia niespotykanym u was napięciem. Więc daruj sobie te próby...

— Dlaczego akurat u ciebie? — znów wyprzedzili moje pytanie. — Czysty przypadek, zresztą na Ziemi jesteśmy, powiedzmy, przejazdem. Przed nami jeszcze daleka droga do konstelacji C-U, którą według wszelkiego prawdopodobieństwa odkryjecie za jakieś 20—25 lat. Zafascynowała nas ta burza, wyładowań elektrycznych u nas nie praktykuje się od dawna, a to piękny widok. No i postanowiliśmy zrobić sobie mały odpoczynek z niespodziankami.

— Oczywiście, że wiemy — odezwał się milczący „kontaktowiec", który po niedawnej awarii swych podzespołów nieco się ożywił. Nasze pojazdy nazywacie dosyć enigmatycznie, choć dźwięcznie — Niezidentyfikowane Obiekty Latające czyli UFO. Ale to, że widzicie je czasem jako kule lub spodki czy tarcze — to tylko nasza dobra wola, chęć zainteresowania was sąsiadami z Kosmosu. Chociaż trzeba przyznać, że ostatnio technicznie znacznie się podciągnęliście i mamy nadzieję, ba — wiemy, że niedługo zjawicie się jeszcze na innych planetach waszego układu. Bo ten kamienisty, smutny Księżyc chyba was już nie satysfakcjonuje?...

— Oczywiście, macie jeszcze wiele istotnych, na waszym etapie rozwoju, problemów. Głód, wojny, tajemnice życia oceanów, penetracja głębi waszej planety — każda cywilizacja musi przez to przejść, musi sama się z tymi problemami uporać. Choćby takie zjawisko długowieczności, czyli operując waszym słownictwem, przedłużenia życia ponad biologicznie ustalony czas. Ale kiedyś przeskoczycie i tę barierę, choć przyznać trzeba, że u nas, na Xer, zajęło nam to aż pięć nerów. Ale jesteście dociekliwi, ciekawi własnej przeszłości — a to ważne. Dla waszej przyszłości przede wszystkim. I jeszcze często natkniecie się na ślady naszych wizyt na Ziemi.

— „Jasne — Erich Däniken, czyli wspomnienia z przyszłości!" — olśniło mnie. „Tysiące zagadek, dziwnych przypadków, niezrozumiałych, tajemniczych śladów minionych wieków; cholera, jest okazja coś z nich wycisnąć — dumałem. Choć całe spotkanie było przecież bardziej niż irracjonalne! Zacząłem nieskładnie grzebać w pamięci nad co bardziej dziwnymi, a niewyjaśnionymi przypadkami...

— Wycisnąć to z nas możesz tyle, na ile wyrazimy zgodę — wyczytał mi zręcznie w myślach szef, jakby nieco obrażony. Ale powiem ci na wstępie: są pewne zasady i od razu uprzedzam, że wiele z tych zagadek nadal będzie nierozwikłanych (dla was oczywiście). Po pierwsze — niektóre są dziełem jeszcze innych cywilizacji i nie chcemy się mieszać do waszych z nimi kontaktów, po drugie — spróbujcie jednak dojść do rozwiązań własnymi siłami, podpowiadać to nie sztuka, wreszcie — są sprawy, o których po prostu nie wolno nam jeszcze dziś mówić. Taki temat tabu na dziś — to choćby zagadka jednego z obszarów w pobliżu waszych Bermudów, nazwanego przez Ziemian „trójkątem śmierci". Jeszcze nie czas byśmy o tym dyskutowali, ale o innych sprawach, bardzo proszę, pomyśl sobie, a my do tych waszych hipotez dorzucimy garść wyjaśnień. Nie za dużo, bo nad czym byście pracowali przez najbliższe lata...

BYLIŚMY TAM WSZĘDZIE,

bo nie przypuszczacie chyba, że dziwne dla was resztki kamiennych budowli z bloków o wadze często powyżej 20 tys ton formowali wasi przodkowie. Zaiste musieliby być Tytanami. Ale pocieszę cię — już wkrótce rozwiążecie tę łamigłówkę...

— Piramidy egipskie? Tam też macie nieco osiągnięć, ale też ile tam cudów wyrasta wprost z ziemi! Gubicie się jednak w najważniejszych szczegółach: na przykład technika budowy piramid jest wciąż jedną niewiadomą, prawda? Zrekonstruowaliście choćby wielką piramidę Chufu (Cheopsa) w Giza, ale jakim technicznym wysiłkiem, blisko 3 miliony kamiennych bloków wycięto w kamieniołomach, oszlifowano, przetransportowano i dopasowano co do milimetra? Tego jeszcze nie wiecie. Ale podpowiadam pozorny drobiazg: a może ta sztuczna górka, wysoka bodaj na 150 metrów powstała jeszcze przed potopem, a nie za faraona Chufu? A może ktoś kierował i pomagał przy jej budowie? Szukajcie dalej...

— Wyspa Wielkanocna? O, to też historia, dotarła tam jedna z naszych pierwszych ekip. I mam wrażenie, że ci uczciwi, prości ludzie czekają tam na nas nadal cierpliwie. A setki posągów? Cóż, byliśmy wtedy dla nich przedmiotem kultu. Chcieli naszą wizytę i niesioną im pomoc w ten sposób uczcić i upamiętnić. To im nasi przodkowie trochę dopomagli w tym prymitywnym, ale szczerym kaprysie...

— O, nie; usytuowane w dżunglach Jukatanu czy Gwatemali ruiny wytrzymują śmiało każde porównanie z gigantycznymi budowlami w Egipcie. Podstawa piramidy w Cholula — 100 kilometrów na południe od stolicy Meksyku — jest większa od powierzchni podstawy piramidy faraona Cheopsa. To chyba już wiecie, że wszystkie budowle w Chichen-Itza, Tikal, Copan. Palenque wykonane są według niezwykłego dla was, najdokładniejszego wówczas kalendarza Majów. Dlaczego niespodziewanie przenieśli się ze swych nowoczesnych, bogatych miast w dżungli do Nowego Państwa, pokonując drogę 350 kilometrów, dlaczego zostawili swoje świętości bez opieki, dlaczego żaden z nich nigdy do Starego Państwa nie powrócił? Dojdziecie i do tego. Dziś mogę tylko powiedzieć, że było w tym trochę naszej winy, nie przybyliśmy do nich powtórnie na czas.

— Kamienny rysunek w Palenque? No cóż, tu utrafiliście w sedno. Nawet dziecko wie, że tak dziś wygląda kapsuła rakiety, z których już korzystacie, a i strój waszych kosmonautów jest niemal identyczny. Wtedy i my z podobnych, prymitywnych w sumie wehikułów korzystaliśmy.

Słuchałem jak zahipnotyzowany. Czy rzeczywiście wizyty kosmitów w zamierzchłych czasach były odpowiedzią na wiele zagadek trapiących ludzkość? Być może, jednak moi goście nie pragnęli udzielić jednoznacznych odpowiedzi. Tak jak sami twierdzili: zasugerować właściwy trop, a nie dopowiedzieć rozwiazania do końca.

KIM WŁAŚCIWIE SĄ?

— myślałem gorączkowo. Czy strzępkiem nieznanej nam materii, czy tylko nocną zwidą? Ale przecież tu siedzą, rozmawiają, choć nie pozwalają zbliżyć się ani na krok. Czym przylecieli i jakim cudem się zmaterializowali? I dlaczego nie są „zielonymi ludzikami" jak przywykliśmy określać przybyszów z Kosmosu?..

— Ubzduraliście sobie tych „zielonych ludzików" w obcisłych skafandrach z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi — zdenerwował się znów radiowiec. — Choć faktycznie, pamiętam, parę ekip z galaktyki Curry, które spotkaliśmy kiedyś na szlaku — tak właśnie wyglądało. To oni, z Curry — to wiem na pewno, byli w słynnym już wszędzie Emilcinie, w waszym 1978 roku i kontaktowali się z rolnikiem Wolskim. Niezbyt ostrożni, dali się obejrzeć szkolnym dzieciakom w Przyrownicy w tym samym roku. Był to w ogóle okres wizyt. Wiem, że odwiedzali was wtedy także, będący na podobnym co wspomniani kosmici etapie rozwoju, „wyspiarze" z planety Sook. Widział ich i witał osobiście kierowca z Goliny k. Konina, ich „latający talerz" widoczny był bodaj nad Mokotowem, Mińskiem Mazowieckim i w kilku miejscach nad Łodzią. Ale wy macie strasznie wybujałą fantazję. Z kilku czy kilkunastu autentycznych przypadków w roku (wasz wiek to u nas, dla porównania, jedna trylionowa nera...) robicie zaraz niezwykłą historię, dopisujecie często w gazetach niestworzone brednie, mnożą się dowody wyssane z palca. Tylko o nas, z Xer, nic prawie nie wiecie. Bo też jesteśmy ostrożniejsi. Ale próbowaliśmy już z wami nawiązać kontakt, gdy byliście raptem kłębkiem pyłów. Eh, stare dzieje...

„Bliźniacy" zamyślili się. Zaczynało świtać i podświadomie czułem, że zbliża się kres naszej rozmowy. Wziąłem na odwagę i szybkim skokiem próbowałem zbliżyć się do mych pozaziemskich gości. W tym momencie sylwetka podłączonego cały czas do kontaktu mieszkańca Xer nieco pojaśniała, rozjarzyła się a ja poczułem jakby w miejscu zatrzymała mnie żelazna obręcz. Znów zadudniło mi w uszach.

— Ostrożnie, Ro — usłyszałem jak przez watę podniesiony głos szefa — przecież możesz zrobić mu krzywdę! — A to nie jego wina, oni już są tacy ciekawscy...

— Na dziś chyba wystarczy tych emocji — zwrócił się grzecznie, lecz stanowczo do mnie — bo i ruchy masz jakieś nieskoordynowane i za chwilę zaczniesz przemyśliwać jak tu świadków całego zdarzenia ściągnąć. Nie, przyjacielu, będziesz ich musiał przekonać już po naszym wyjściu. Zostaniesz jeszcze w bezruchu jakieś trzy diary, czyli po waszemu około pięć sekund. Akurat zdążymy wystartować, zanim podniesiesz alarm. No, to do zobaczenia, wrócimy tu jeszczeee...czeczeczee...

„Cygaro" szło coraz szybciej w górę. Dopiero gdy było niewielkim punktem, do mych uszu dotarł stłumiony odległością huk, jakby przekraczali barierę dźwięku. Równocześnie w dół zaczął opuszczać się niewielki obłok jakiejś pary, lekko fosforyzującej mgły. Byli już zapewne daleko, gdy blady tuman ułożył się w prawie wykaligrafowane litery na granatowym tle nocy: „BRAWO BONIEK!!!"

Każdy rodzi się golasem

— Pani mi się wyjątkowo podoba...
— Widzę... — replikuje nagusowi pani również pozbawiona przysłowiowego figowego listka...
Ten najkrótszy dowcip o nudystach jaki znam, nie bez kozery opowiedziałem wyjątkowo urodziwej nagusce świeżo poznanej na plaży Polskiego Towarzystwa Naturystycznego ciągnącej się wzdłuż trudno dostępnych brzegów Wisły nie opodal Świdrów Wielkich pod Warszawą. Ciekaw byłem reakcji, a zresztą zostałem do tego nawet zobowiązany przez kilkoro łódzkich potencjalnych nudystów.

Foto: Archiwum

— Od razu widać, że jest pan na naszej plaży nowicjuszem — odpowiedziała właścicielka ciała, które w każdym calu godne jest uwiecznienia na kolejnej wystawie z cyklu Wenus. Mogłem się o tym przekonać bez skrępowania, gdy słuchałem wywodu prowadzonego poważnym tonem i bez pośpiechu.

— Niech pan śmiało rozejrzy się po plaży, wśród setek golasów. Czy zobaczy pan choć jednego mężczyznę obleśnie orzyglądającego się nawet najpiękniejszej dziewczynie, mimo że ich tu nie brak? Nie oznacza to, że idealizujemy naturyzm, ale po prostu traktujemy te sprawy zwyczajnie. Odsłonięte przez wszystkich tzw. intymne części ciała przestają budzić wstręt czy sensację. Dzięki temu, że ciało nie stanowi dla nas żadnego tabu, możemy łatwiej poznać duszę spotkanej kobiety czy mężczyzny.

Zapewniam pana, że wśród prawdziwych naturystów nie zdarzają się ludzie z kompleksami erotycznymi. Mogą natomiast trafić się osoby nie potrafiące znaleźć partnera. Ale to już inna sprawa. Zresztą, dla tych najmniej zaradnych nasze towarzystwo organizuje obecnie pierwsze na świecie Naturystyczne Biuro Matrymonialne.

Foto: Archiwum

Ale cóż my tak stoimy jak flirtująca para chodźmy, przedstawię panu kilka osób. Mam tylko jedno zastrzeżenie, niech pan do nikogo nie zwraca się według przynależnego mu tytułu nawet jeśli dowie się pan, która pani jest profesorem na wyższej uczelni czy wziętym adwokatem, a który pan prezesem odpowiedzialnej instytucji czy też sierżantem MO. U nas jedna tylko osoba występuje na zewnątrz z tytułem doktor — to nasz prezes — lekarz a zarazem socjolog — Sylwester Marczak. W klubie jest Sławkiem, bo u nas wszyscy zwracają się do siebie per ty. Dla redaktorów też nie robimy wyjątków...

Gdy ruszyliśmy po pięknej piaszczystej plaży w kierunku grupki, namiotów nie zdzierżyłem z pytaniem czy i krakowscy naturyści wyrzekli się tak ukochanych, w dawnej stolicy, tytułów. Moja urodziwa przewodniczka potraktowała pytanie z całą powagą wyjaśniając, że w Krakowie chyba jeszcze nie ma plaży naturystów.

— Niektórzy zwolennicy naszego ruchu przyjeżdżają tu co roku na dwa tygodnie. O te kilka namiotów, to krakowianie. Nigdy nie słyszałam, aby zwracali się do siebie inaczej niż per „ty". — Ja zresztą też jestem po imieniu z tymi moimi uczniami obojga płci, których tu spotykam. Co nie oznacza, że podczas lekcji jestem dla nich bardziej wyrozumiała niż dla innych, a oni mniej przykładają się do biologii, której uczę. Jednocześnie przyznam się panu, że panuje między nami niepisana umowa, aby nie chwalić się swym upodobaniem do naturyzmu...

— Więc jednak macie coś do ukrycia! — prawie ucieszyłem się.

— My po prostu znamy życie — zareplikowała. **— Przecież nie tak wiele lat upłynęło od czasu, gdy mieszkańcy Chałup wspólnie z miejscową władzą tropili Janusza Głowackiego, aby go zdemaskować na opalaniu się nago w jakimś odludnym zakątku plaży i za siania zgorszenia posadzić na ławie oskarżonych.**

— I nadal boicie się prześladowań?

— Tu, na naszej plaży czy w Chałupach na Helu — już nie. Ci, którzy zasadzali się na Głowackiego i jego równie rozebrane towarzystwo znaleźli się być może wśród tych, którzy prosili nas o wspólne pozowanie do pamiątkowych zdjęć w Adamowych strojach podczas VI Krajowego Zlotu Naturystów w końcu lipca.

— To fotografowanie na plaży naturystycznej jest dozwolone? Czytałem gdzieś, że nudyści nie znoszą aparatów fotograficznych...

— Bajki. Ludzkie ciało jest zbyt piękne, aby odmawiać sobie uwieczniania go na kliszy. Obok sekcji teatralnej właśnie sekcja fotograficzna w PTN cieszy się największym zainteresowaniem. Gdy nadejdą słoty miło będzie powspominać letnie dni na naszych wewnętrznych wernisażach czy projekcjach filmów amatorskich.

— Więc każdy może przyjść z aparatem i fotografować kogo zechce na wszystkie strony?

— Tak było na początku naszego Ruchu, gdy nie został on jeszcze skażony. Wszędzie trafiają się parszywe owce. Gdy doszły nas słuchy, że pewne osoby usiłują z tych zdjęć robić interes, wprowadziliśmy zasadę, że fotografuje się tylko tych, którzy wyrażą na to zgodę. Chętnych do pozowania nie brakuje zresztą. Oczywiście jeśli fotografuje naturysta.

— A jeśli jakiś intruz wtargnie z aparatem?

— Wtedy nasi naturyści-sierżanci wkładają białe czapki i grzecznie, ale stanowczo proszą o wyjęcie filmu z aparatu. Bez sierżantów też zresztą radzimy sobie nieźle. Zapewniam pana, że równie skutecznie działa kilka naturystek w starszym wieku stawiając ostro sprawę: ściągaj majtki jeśli jesteś jednym z nas albo oddaj film.

— No, a jeśli ściągnie majtki?

— To będzie oznaczało, że warto go przekonać, iż naturyzm nie polega na podglądaniu i ukradkowym fotografowaniu.

— A właściwie na czym polega oprócz opalania się na golasa?

W gronie starych i młodych nagusów obojga płci, wśród których od pewnego czasu się dzieliśmy kontynuując rozmowę, zawrzało po tak bluźnierczym strywializowaniu celów Ruchu.

— To nie przypadek, że na naszych plażach, zarówno naturystycznych w Polsce, jak i nudystycznych w innych krajach, choćby w NRD, na Węgrzech czy w Jugosławii, jest znacznie ciszej i spokojniej niż na plażach „ubranych"...

W tym momencie ktoś przyniósł egzemplarz Deklaracji Ideowej Polskiego Towarzystwa Naturystycznego i podyktował mi stosowany paragraf:

„...Najwyższy stworzył człowieka nagim. Kostiumy na plaży wymyślili faryzeusze i fałszywi moraliści. Prawda jest zawsze naga — obłuda ubrana! Cały świat idzie na spotkanie z naturą. Nagością na plaży manifestujemy swój protest przeciwko wynaturzeniu życia erotycznego, pornografii, wyrafinowanemu ekshibicjonizmowi..."

Zaczęto się teraz licytować cytatami, które poszczególni uczestnicy zbiorowego wywiadu uważali za szczególnie istotne dla ukazania doniosłości ideałów głoszonych przez PTN. Zanotowałem więc jeszcze:

„...Będziemy wychowywać ludzi na rzecz ochrony środowiska naturalnego i ochrony zdrowia ludzkiego.. Aktywny wypoczynek służy profilaktyce zdrowotnej. Dbamy o estetykę naszego ciała i piękno duszy (...) Atmosfera nagiego wypoczynku, plażowania i kąpieli wyzwala olbrzymią siłę wychowawczą w stosunku do płci przeciwnej, rodzi tolerancję (...) dbałość o wszystko co żywe".

Chcąc zrehabilitować się za owo trywialne sprowadzenie ideałów Ruchu do opalania na golasa zapewniłem, że osobiście doświadczyłem, iż Ruch działa wychowawczo nawet na ludzi z zewnątrz. Spojrzeli na mnie podejrzliwie, ale zapewniłem ich, że nie jestem owym faryzeuszem z Deklaracji Ideowej. I opowiedziałem o mym spotkaniu przed budką z piwem.

Bo właśnie przy wejściu do alei wiodącej nad Wisłę w kierunku plaży naturystów usytuowana jest jedyna bodaj, na kilka podwarszawskich miejscowości, doskonale zaopatrzona budka z piwem. Zanim zagłębiłem się w tę aleję, zasięgnąłem języka u kilku młodzianów z pełnymi kuflami w ręce, co sądzą o tej plaży nagusów. Sądziłem, że usłyszę mniej czy bardziej dosadną, ale jednoznacznie negatywną opinię tzw. młodzieńców z przedmieścia.

Tymczasem oznajmiono mi, że „to tacy sami ludzie, jak pozostali — ci normalni. Był tu nawet przed chwilą jeden po piwo do banki. Poznali go bo spod majtek nie wyglądała biała skóra".

— No a jak znosicie, wy miejscowi, tych cudaków bez majtek? — napierałem.

— To nie żadni cudacy. Jak popijemy piwka idziemy popatrzeć na nich, czasem nawet zdejmujemy majtki i opalamy się z nimi. Można też pogadać z nimi na wszystkie tematy. Człowiek spotyka tam różnych ciekawych ludzi. A jakie kobietki, trudno oczy oderwać. Tylko zbyt natarczywym nie można być, bo oni mają swoich milicjantów i ormowców. Raz przyjechało w nocy pięciu, chyba z Wawra, którzy chcieli postraszyć śpiących w namiotach. Nagusy popędzili im takiego kota, że zostawili swoje motory w alei. Rano przyszli przepraszać, aby je odzyskać.

— Wśród osób spoza kręgu naturystów panuje przekonanie, że plaże dla nudystów przyciągają głównie panie pragnące się wyżyć i ekshibicjonistów. Obserwując bawiące tu pospołu liczne rodziny przybyłe nie tylko z niemowlętami i chyba prababkami, ale także z sympatiami dorastających panienek, nie mogę dopatrzeć się owych „parszywych owiec" i „faryzeuszy". Czyżby więc wśród was były same anioły?

— Co to, to nie! — zapewniono mnie zgodnie. — **Wyzwoleni z pruderi, jaką narzuca noszenie kostiumów, sprawy seksu traktujemy jednak normalniej niż ci osłonięci kostiumami. Na naszej plaży nikt nie zobaczy chłopaka zerkającego łakomie na skąpy biustonosz panienki. Nie wzbudzi też zgrozy nagłe pęknięcie gumki w slipkach chłopaka. Dla nas ciało nie jest wstydliwe, bywają jedynie myśli i czyny, których należy się wstydzić.**

— Potraficie idealizować opalanie na goło. Ja jednak widziałem dwu pijanych mężczyzn nagusieńkich jak noworodki, którzy bez skrępowania maszerowali wśród ubranych spacerowiczów aleją prowadzącą do budki z piwem. Nie powiecie mi chyba, że to jest propagowanie naturyzmu?

— Oczywiście, że nie jest. Przeciwnie, to są te męty, które ujawniają się, gdy jakikolwiek ruch społeczny staje się masowy. W księdze z nazwiskami członków, która jest jedynym dokumentem prowadzonym przez prezesa i całe PTN, widnieje przeszło 1.500 nazwisk. W słoneczny dzień tylko na tej plaży jest kilka razy więcej nagusów. Czy my możemy ręczyć za każdego z nich? Staramy się jednak stwarzać taką atmosferę, aby osobnicy kompromitujący nas i zakłócający spokój natychmiast odczuwali, że są potępiani. Dla czystości ruchu niektórzy z nas są nawet przeciwni zbytniemu propagowaniu naturyzmu. Trzeba też wyjaśnić, że naturyzm jest przeciwieństwem ekshibicjonizmu, ekshibicjonistom chodzi bowiem o wywołanie szoku, a to możliwe jest tylko wśród ubranych.

— Słyszałem jednak, że pewna naturystka, podczas waszego zlotu, rozebrała się do stroju Ewy w samym centrum Chałup i to w porze, gdy panował największy tłok. Czy był to chwyt reklamowy?

— Znów powtórzymy, że w każdej masowości tkwią pewne niebezpieczeństwa. W naszym przypadku wystarczy zdjąć kostium kąpielowy, aby kogoś uznano za naturystę. Może właśnie z tej przyczyny pragnący opalać się nago musieli reaktywować istniejące od 1927 — i nie rozwiązane nigdy — Polskie Towarzystwo Naturystyczne.

— Na zasadzie: w jedności siła, gdyż pojedyńcze golasy, nawet gdy są sławnymi pisarzami, nie potrafią obronić się przed grzywną?

— Coś w tym sensie. Co prawda teraz o grzywnach za opalanie się bez kostiumu w odosobnionym lub specjalnie wyznaczonym miejscu nie ma już mowy. Obowiązuje jednak zasada, że na basenach specjalnych miejsc dla naturystów się nie wyznacza. Dziki brzeg rzeki — to idealny teren. Wiemy, że łodzianie — naturyści spotykają się gdzieś nad Pilicą.

— Ja z kolei słyszałem, że na zlocie w Chałupach ginekolog z Łodzi, demonstrując wypchany portfel, wyjaśniał, dla kogo są naturystki i dla kogo jest naturyzm...

— Podobno. Najlepszy jednak dowód, że takie naruszanie zasad równości jaką propagujemy przynajmniej na plaży jest ewenementem, gdyż wywołało poruszenie nawet u nas w Świdrach.

— I na wielu plażach panuje już naturystyczna równość?

— Oprócz tych dwu najsłynniejszych, naszej i owej w Chałupach, legalne plaże naturystyczne istnieją także w okolicach Jastrzębiej Góry, Krynicy Morskiej i Umieścia obok Mielna. To oczywiście nie to, co np. w NRD, gdzie jedna z plaż nudystów ciągnie się 60 kilometrów! Na zjeździe w Chałupach referowano, że najdalej idące starania o zalegalizowanie naszych plaż posunięte są w Poznaniu, Wrocławiu i Lublinie. Naturyści z Lublina zdążyli już nawet wystąpić do władz miasta z pismem postulującym zalegalizowanie wybranego przez nich odcinka dzikiego brzegu zalewu podmiejskiego. Do dziś nie otrzymali formalnej odpowiedzi, a gdy Komitet Założycielski złożony głównie z wykładowców lubelskich uczelni udał się po wyjaśnienia, pytając, komu przeszkadza taka plaża, zbyto ich krótko: — Panowie, czy nie macie ważniejszych spraw niż organizowanie plaży dla nagusów?!

Podczas zjazdu padło jednak zapewnienie, że następna delegacja do władz miejskich będzie miała już przygotowaną odpowiedź na takie i inne lekceważące sprawę odpowiedzi.

— A jakie to będą argumenty?

— Przede wszystkim wynikające z Deklaracji Ideowej — poinformowano mnie. — **Ale także i to, wykazujące, iż postępowość oraz zerwanie z pruderią nie może kończyć się na granicach stolicy. Nasza plaża, z tysiącami nagusów leży dokładnie 22 km od Pałacu Kultury. I nikomu to nie przeszkadza. A w centrum Warszawy działa ajencyjna sauna, która dzięki naszym staraniom stała się koedukacyjna. Żadnego zgorszenia nikt tam się nie dopatrzył, a ajent jeździ już Mercedesem. Dopiero przed kilkunastu dniami uruchomiona została podobna — konkurencyjna. Niestety, aż w Gdańsku. Dlaczego nie można podobnych saun udostępnić zwolennikom naturyzmu w Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Toruniu i w każdym innym, nawet małym, mieście? Nie licytowano by się wówczas w pozyskiwaniu łask ajenta. Nasz prezes dr Sylwester Marczak wręcz twierdzi, że w naszym kraju zagubiono pojęcie profilaktyki, jeżeli chodzi o zdrowie. Służba zdrowia włącza się wtedy dopiero, gdy organizm wymaga ratunku.**

— I dlatego walczycie o te sauny?

— Wcale nie koncentrujemy się na saunach i na napędzaniu kolejnych Mercedesów zaradnym ajentom. My dążymy jedynie do tego, aby naturyzm dotarł wszędzie tam, gdzie będzie dobrze przyjęty. A przyjmowany jest chętniej niż można było przypuszczać wedle utartych opinii o pruderii naszego społeczeństwa.

A gdzie są lepsze warunki do propagowania naturyzmu i profilaktyki zdrowia w okresie jesienno-zimowym niż właśnie w saunach? To właśnie w stołecznej saunie będą się odbywały spotkania klientów naszego Naturystycznego Biura Matrymonialnego. Tam też będą wygłaszane pogadanki o tym jak zachować zdrowie i młodość, jak zagwarantować sobie szczęście w małżeństwie, jak traktować sprawy seksu. Czemu jednak naturyści z innych miast nie mogą u siebie realizować podobnego programu?

— No właśnie czemu?...

Pytanie zawisło w próżni, a my, korzystając, że wreszcie przestałem notować, chwilę przyglądaliśmy się sobie, aż najstarsza z pań zaproponowała:

— To może teraz, po części oficjalnej, zaprosimy redaktora na naturystyczne śniadanko?

Zamiast odpowiedzi hoże dziewczęta, dostojne panie i rześcy, choć w różnym wieku i z różnej wielkości brzuszkami, panowie jednako ochoczo zerwali się z materaców. Niestety miast zasiąść do śniadanka musiałem wyznać sympatycznemu gronu, że moja żona konserwatystka wolała pozostać w tradycyjnym stroju przed umownym miejscem stanowiącym granicę między „ubraną" a „nagą" plażą. Była już zresztą najwyższa pora zająć się ofiarną połowicą, która zdecydowała się na trudy podróży, choć to właściwie tylko ja byłem wydelegowany jako obserwator.

Już z dala dostrzegłem, że wokół mej nobliwej połowicy ubranej w tylko lekko rozciętą spódnicę i średnio wydekoltowaną bluzeczkę kręci się tłum nagusów. Jeden zapraszał ją na koc, inny proponował wspólny spacer po plaży, a jeszcze inny oznajmił wręcz, iż szkoda, aby takie ciało marnowało się w opakowaniu i z miejsca zaofiarował się z pomocą w „rozpakowaniu".

— Nie wiem co napiszesz, ale ja mam wyrobione zdanie — oznajmiła mi małżonka, gdy już wyzwoliłem ją z wianuszka naturystycznych wielbicieli. — **Nagi mężczyzna to nic pięknego, szczególnie, gdy jest on naturystą „od wczoraj" i paraduje z białymi miejscami, na których nosił majteczki. Natomiast pewne małżeństwo, które przyszło mi z odsieczą w tym oblężeniu, dzięki równej opaleniznie całego ciała i braku nadmiaru tłuszczu, mimo wieku dobrze po sześćdziesiątce prezentowało się bardzo estetycznie.**

Owa pani po sześćdziesiątce wyjaśniła nam przyczyny nagłego oblężenia ubranej kobiety przez nagich mężczyzn, choć wokół mieli tysiące nie ukrywających niczego. Przypomniała ten fragment „Wyspy Pingwinów", w której Anatol France opisuje jak to diabeł przyodział w szaty jedną Pingwinkę, gdy wszystkie inne pozostawił nagie. A wtedy Pingwiny bez względu na wiek rzuciły się co do jednego w ślad za tą ubraną. Tu powtórzyła się sytuacja. Może jest to argument, aby wszystkich na plażach rozebrać z biustonoszy i z majtek? A może odwrotnie? Można też pozwolić, aby każdy postąpił jak zechce w wyznaczonym do tego miejscu.

Rys. Zbigniew Jujka

OD RED.: Jeżeli pan na rysunku roi o plaży naturystów, to sądząc z zamieszczonej relacji — grubo się niestety myli...

WALDEMAR UCHMAN

Skok

WACŁAW OPACKI

Z wizji lokalnej w Kurkach: „Budynek jest usytuowany po lewej stronie drogi asfaltowej wiodącej z Olsztynka do Szczytna i Olsztyna. Droga przed budynkiem wychodzi z zakrętu i po lewej stronie tuż przed budynkiem rosną brzozy i krzaki bzu, zakręt niewidoczny. Po prawej stronie drogi rosną krzaki. W ścianie frontowej od drogi w urzędzie znajdują się dwa okratowane okna. Nieco dalej frontowe dwuskrzydłowe drzwi otwierane na zewnątrz. Pomieszczenie urzędu składa się z jednego pokoju — podzielony on jest balustradą, która w dolnej części od okna wzdłuż pokoju jest zbita z desek. W górnej części boki oszklone i na całej długości podzielona drewnianymi listewkami na cztery okienka. Szyba drugiego okienka podniesiona jest od płaszczyzny balustrady na wysokość do 20 cm... Podłoga między balustradą a drzwiami wejściowymi do Urzędu wyłożona jest gumolitem. W końcowej części balustrady obok ściany jest przejście do dalszego pomieszczenia przeznaczonego do pracy pracowników poczty. Przejście to jest zabezpieczone małą bramką. Naprzeciw przejścia na podłodze stoi piec ogrzewczy elektryczny, a na nim przewrócona na bok waga do ważenia przesyłek pocztowych i małe odważniki... Po przeciwnej stronie balustrady przy ścianie stoją dwie szafy: drewniana i metalowa. Metalowa szafa otwarta, na zewnątrz której znajdują się dokumenty pocztowe. Szafa ta w górnej części posiada dwa sejfy: lewy i prawy. Oba otwarte..."

W sobotę Tabor nie poszedł do pracy. Nie zjawił się w fabryce i w następnych dniach. Po prostu porzucił pracę. W niedzielę przebywał jeszcze w ośrodku wypoczynkowym swojego zakładu w Kobylowie. Na poniedziałek i wtorek wrócił do domu. W środę wyjechał motocyklem „Junak" z domu nad jedno z pobliskich jezior, gdzie zresztą wcześniej umówił się z Rosłanem i Janeczko. Zabrał ze sobą namiot dwuosobowy i dmuchany materac.

Przebywali tam tylko 3 dni, ponieważ zrobiło się zimno. Potem pojechali do niedalekich Pokrzyw, gdzie przeprowadził się jeden z ich kolegów z rodziną.

We wtorek będąc w namiocie — Taborowi i Rosłanowi wpadł do głowy olśniewający pomysł dokonania napadu na jakiś wiejski urząd pocztowy.

— Wiedzieliśmy — potem Tabor opowie — że na wiejskich pocztach przeważnie jest tylko jeden pracownik. Miałem ze sobą małą samochodową, na której zaznaczone były poczty, posterunki milicji... Wybraliśmy miejscowość Kurki, chociaż żaden z nas tam nigdy nie był, dlatego że była naznaczona poczta a brak było znaku posterunku MO. Nie wiedzieliśmy tylko że znajduje się tam duży ośrodek wypoczynkowy.

Z Pokrzyw wyjechali ok. godz. 11.30. Janeczko śpiącemu osobno na sianie, powiedzieli, że jadą po paliwo. Wyjeżdżając zabrali ze sobą łyżkę samochodową „na wypadek, gdyby kasa na poczcie była zamknięta". A także sznurek, którym Tabor przywiązał rzeczy na motocyklu, a potem użył do skrępowania pracownika poczty. Wzięli także pończochę przeciętą na pół, aby zrobić sobie maski na twarz.

Ubiór Tabora rzucał się w oczy z daleka: niebieskie spodnie, niebieska podkoszulka z pomarańczowym paskiem pod szyją, czarna koszula, czarna kurtka ortalionowa z białym suwakiem i czarnymi pasami na rękach.

Do Kurek jechali przez Butrymy i Dąb. Za tą drugą wioską w krzakach ukryli motocykl, a potem położyli się nad jeziorem, „żeby mieć widok na pocztę".

Zrobili rozeznanie: Rosłan kupił znaczki, zaś Tabor kartkę pocztową z napisem „300 lat Wilamowa" — też z myślą o tym, żeby napisać potem na niej, że „urząd pocztowy nieczynny", a następnie przyczepić na drzwiach.

Wrócili nad jezioro i dalej obserwowali wychodzących i wchodzących interesantów.

Leżąc ustalili, że wchodząc na pocztę zamkną ją od zewnątrz na klucz, a na drzwiach przyczepią kartkę, którą Tabor kupił.

Tabor napisał więc piórem datę, oraz: „chwilowo nieczynne — Za chwilę wracam".

Licznik zegarka był przesunięty o jeden dzień, dlatego pomylił datę.

Zabrali ze sobą także torbę z materiału, w której była łyżka samochodowa i sznurek.

Poczekali do momentu, aż nikogo nie będzie na poczcie. W międzyczasie widzieli, że na pocztę weszła sklepowa z pobliskiego sklepu, która musiała przecież wpłacać pieniądze. Liczyli więc, że powinno być na poczcie około 60 tys. złotych.

Zaczekali jeszcze aż listonosz wyjedzie w teren. Było po trzynastej, gdy zdecydowali się rozpocząć „akcję".

W korytarzyku poczty przed wejściem do środka nałożyli na głowy pończochy, na wbity w drzwiach gwóźdź powiesili kartkę.

Ustalili, że pierwszy wejdzie Rosłan i nastraszy pracownika poczty.

— Pytałem, czym go nastraszy — opowie potem Tabor. — Odpowiedział, że to jego sprawa. Nic na temat broni nie było mowy.

Istotnie na poczcie znajdował się tylko jeden pracownik — Jerzy Nowak, zarazem naczelnik tej placówki. Sporządzał, tak jak zwykle w porze obiadowej raporty kasowe i przygotowywał pieniądze do wysyłki.

— Te czynności zacząłem od wpisywania do zeszytu numerów banknotów z gotówki posiadanej w urzędzie — powie potem Nowak. — W tym czasie obsłużyłem jeszcze sklepową miejscowego Punktu Sprzedaży Pomocniczej oraz jej córkę, która przyszła, żeby rozmienić tysiąc złotych. Po wpisaniu wszystkich numerów banknotów rozpocząłem wypełniać dzienne karty wpłaty. W ciągu pięciu minut zdążyłem wpisać do tej karty tylko pięć pozycji.

Gdy rozpocząłem szóstą — do urzędu weszło dwóch nieznanych mi osobników, na których jednak nie zwróciłem większej uwagi. Wszystkie banknoty leżały wówczas na biurku, a bilon schowany był w szufladzie biurka. Osobnicy doszli do okienka i wtedy jeden z nich wstawił w okienko rękę z pistoletem:

— Napad, oddaj pieniądze.

Zachowałem zimną krew. Błyskawicznie wstałem z krzesła, równocześnie wsuwając paczki banknotów w stertę papierzysk, chwyciłem krzesło i ruszyłem z nim na napastnika. Zdążyłem uderzyć krzesłem i w tym czasie dostałem dwa razy — jak pamiętam — twardym narzędziem.

Z relacji Tabora:

— Ja też wszedłem za balustradę. Uderzyłem tego pracownika pięścią w twarz. Rosłan też uderzył. Pracownik poczty upadł ze strachu...

Nowak zdążył o wiele więcej jeszcze zapamiętać:

— Ten z pistoletem był w wieku 22 lub 23 lat, był szczupłej budowy, szczupły na twarzy, a także na twarzy miał naciągniętą pończochę w czerwonym kolorze, u góry z zawiązanym supełkiem. Gdy padałem już na podłogę — zobaczyłem, że napastnik miał białe trampki.

— Leżąc na podłodze byłem bity — lecz nie wiem czym. Ten z pistoletem związał mi nogi, do nóg przywiązał ręce. Próbowałem krzyczeć: pomocy, ratunku. Tamten odpowiedział: nie krzycz, skurwysynu, bo cię zabije. Leż cicho — i wepchnął mi w usta jakąś czerwoną szmatę oraz związał tasiemką, żeby nie wypadła.

W biurku znaleźli tylko drobne pieniądze — jeden rulon po 20 zł. W sumie 1000 zł i trochę drobniejszych.

— Wychodząc zabrali klucze — opowiada Nowak — i od zewnątrz zamknęli drzwi. Po ich odejściu zaraz uwolniłem się z więzów i wyskoczyłem na drogę. Zauważyłem jak dwóch mężczyzn na motorze „Junak" dość szybko przejeżdża obok urzędu w kierunku Szczytna. Pamiętam tylko początek: OS...

* * *

O napadzie posterunek MO w Olsztynku został powiadomiony dokładnie o czternastej. Chwilę potem wiedziano o tym już w Komendzie Wojewódzkiej MO w Olsztynie. Stąd natychmiast wysłano grupę operacyjno-dochodzeniową, którą kierował zastępca komendanta wojewódzkiego MO, płk Andrzej Wójcicki. Na miejscu zabezpieczone zostały ślady przestępstwa. Przesłuchano Nowaka i mieszkańców wsi. Równocześnie zmotoryzowane patrole zablokowały drogi.

Pracownicy prokuratury i milicji błyskawicznie analizują przebieg zdarzeń. Szybko zostaje zrekonstruowany jego przebieg, jak i charakterystyki przestępców. Następuje powiązanie wielu faktów...

Na ostateczne wyniki trzeba było czekać tylko kilkanaście godzin.

Nazajutrz, o godzinie piątej rano przestępcy zostali zatrzymani.

Następnego dnia wiceprokurator rejonowy wydaje nakaz tymczasowego aresztowania Tabora, Nowaka i Janeczki, stawiając dwom pierwszym zarzut popełnienia przestępstwa z art. 210 § 2 kk... uzasadniając zabraniem na szkodę urzędu 1500 zł oraz na szkodę Nowaka kalkulatora i zapalniczki...

* * *

Otrzymałem od prokuratora rejonowego w Olsztynie, Czesława Reuta, zgodę na widzenie.

Pojechałem więc do aresztu śledczego Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Olsztynie. Przebywali w nim od doby wszyscy trzej. W osobnych celach.

Rosłan nie miał ochoty rozmawiać z prowadzącymi śledztwo dlaczego miałby reporterowi zrobić wyjątek.

Tabor — za to — owszem...

— W domu — rozpoczął swą długą opowieść Tabor — było nas razem z rodzicami dwanaścioro. To nie znaczy przecież, że mogłem narzekać na niedostrzeganie mojej osoby, na brak uczuć lub czegoś w tym rodzaju. Rodzinie, pomimo że jest tak liczna, powodzi się dobrze. Najstarszy brat jest już żonaty, także dwie siostry wyszły za mąż. Pozostałe rodzeństwo jeszcze się uczy.

W szkole podstawowej uczyłem się dobrze. Na czwórkach, nawet piątki na świadectwie się zdarzały. Potem trafiłem do Warszawy, gdzie wyuczyłem się zawodu kierowcy-mechanika.

Pracowałem jako operator wózków akumulatorowych w Fabryce Mebli w Szczytnie. Zarobki wystarczały na takie sobie życie. Musiałem bowiem oddawać rodzicom pieniężne raty. Poprzednio zapłaciłem za mnie grzywnę, którą dostałem z sądu. Mieszkałem u rodziców, ale zimą na stancji w Szczytnie, za którą płaciłem siedemset złotych.

Teraz chciałem iść na urlop, na który nie zgodzili się w zakładzie pracy. Rozmawiałem, prosiłem, ale nic z tego. W końcu zdecydowałem się porzucić pracę. Także ostatnio zerwałem z dziewczyną. Dlaczego? Bo tak było mi wygodnie. Nie widziałem dalszego sensu utrzymywania tego związku. Czy zrobiłem dobrze? Teraz już wiem, że nie.

Do momentu rzuceniu pracy nie zastanawiałem się, co ze sobą zrobić. Nie wiedziałem też, co w pierwszej chwili uczynię. Tak wyszło, że spotkałem się z Rosłanem. No i wyskoczył nagle z samego rana plan tego skoku.

— Czyj to był pomysł?

— Rosłana.

— Znałeś prawne konsekwencje skoku?

— Nie. Teraz wiem, że czyn jest zagrożony karą śmierci.

— Ani przez chwilę nie zastanawiałeś się? Nie próbowałeś wyperswadować koledze tego kroku?

— Nie. Miał on na mnie ogromny wpływ. Wierzyłem jemu...

— Ale przecież jesteś starszy.

— Tak, ale on miał na mnie wpływ ogromny. Do tej pory nie mogę tego zrozumieć. I samego siebie. Jak mogłem takiego czegoś dokonać? Sam przecież nigdy nie brałem udziału w żadnej bójce... — Ta propozycja skoku padła tak nagle, że nie było czasu się zastanawiać.

— Rosłan — to kolega czy kumpel, a może jeszcze coś więcej;

— Kolega. Mój sąsiad. Z Rosłanem znam się od młodych lat, bo chodziłem z nim do podstawówki. Też nie miał żadnych przeszkód w życiu. Pić raczej nie piłem, bo nie miałem na to czasu. Przyjeżdżałem z pracy, to kładłem się spać. A rano trzeba było wstawać i trzy kilometry do autobusu iść...

— Co zamierzaliście zrobić z ewentualnym łupem?

— O tym w ogóle nie myśleliśmy. Ot, po prostu, zrobić skok, a potem zobaczymy, co dalej. Po załatwieniu „sprawy" pojechaliśmy do Pokrzyw, gdzie pieniądze podzieliliśmy. Ja dostałem 650 zł, resztę Rosłan.

— Jak spędzałeś czas po pracy?

— No właśnie. Trzeba byłoby się tym zająć. U nas w J. młodzież nie ma co robić, bo nie ma kto się nią zająć. Nie ma też gdzie spędzić czasu wolnego. Do tej pory nikt o tym nie pomyślał.

— Czy dałeś się gdzieś „zauważyć"?

— Działałem trochę w PCK, oddałem też do tej pory 8300 mililitrów krwi. Miałem akurat jechać za to na wycieczkę...

Z protokółu śledczego:

Przestępcy zabrali dokładnie 1102 zł 05 gr, zapalniczkę, kalkulator i finkę harcerską... Pistolet okazał się zwykłym straszakiem...

Z kodeksu karnego:

„Jeżeli sprawca rozboju posługuje się bronią palną lub innym narzędziem niebezpiecznym albo działa wspólnie z osobą, która posługuje się taką bronią lub takim narzędziem, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci". (art. 210 § 2 kk).

Śledztwo zostało zakończone. Postępowanie nie sprowadziło się do jednego przesłuchania, sporządzenia aktu oskarżenia i postawienia przestępców przed sądem. Konieczne było poznanie motywów. Przewód sądowy jeszcze raz ocenił, zweryfikował materiały postępowania przygotowawczego, wydał werdykt.

Fabuła tej sprawy, jak z tandetnego sensacyjnego filmu: absurdalna, beznadziejnie głupia, w życiu jednak przerażająca.

Na wiejską pocztę wchodzą zamaskowani bandyci...

Tzw. „skoki" są u nas przypadkami rzadkimi — oczywiście w porównaniu z Nowym Jorkiem i innymi miastami amerykańskimi — i nie są nieodłącznym elementem codziennego życia naszych miast i wsi...

Codziennie z rana budzą się do pracy miliony Polaków. Zostawiając mieszkania, chcą być przekonani o bezpieczeństwie pozostawionego w nich mienia.

Codziennie do maszyn i urządzeń, w biurach i urzędach zasiada miliony ludzi. Część z nich zajmuje stanowiska pracy, z którymi ze względu na swój publiczny charakter, stykają się codziennie tysiące osób. Każdemu z nich człowiek chce ufać i wierzyć, że z jego strony nic nie grozi....

„Skoki" bulwersują opinię publiczną. Żądamy najpierw jak najszybszego ujęcia przestępców. Zostają schwytani. Mija czas i ostrość naszego surowego spojrzenia ulega złagodzeniu. Ale nie ulega wątpliwości, że wyrok w takich sprawach, gdzie następuje zagrożenie życia ludzkiego, wreszcie społecznego spokoju — musi być surowy, i w całej rozciągłości mieć charakter prewencyjny. Po to, żeby takie przypadki miały coraz rzadziej miejsce. Po to, żebyśmy mogli czuć się bezpiecznie. I nie tutaj miejsce na roztrząsanie sporu, czy zaostrzenie systemu penalizacyjnego ma korzystny wpływ na ogólny stan przestępczości, szczególnie w statystyce tego rodzaju przestępstw.

Dwa lata temu prasa przyniosła wiadomość o zabójstwie w województwie olsztyńskim milicjanta (pisałem o tym w „Odgłosach" z 24 sierpnia 1980 r.). Na ciele znalezionym w jeziorze, stwierdzono kilkanaście kłutych ran. Zostawił żonę, dzieci... Potworność czynu, dokonanie go na człowieku, który strzeże porządku i praworządności — mówi wszystko o naszym odczuciu.

Ale na odczuciu nam nie wolno kończyć. W ostatnim czasie — tak mi się wydaje — zauważa się, że nastąpiło zmniejszenie skali pomocy udzielanej dotychczas przez społeczeństwo organom ścigania. Można się tylko domyślać źródeł takiego stanu rzeczy. Chciałoby się krzyczeć na alarm, tak jak kiedyś napiętnowało się zjawiska znieczulicy społecznej (która zresztą nadal występuje): Krzyczeć: przyśpieszenie postępowania jest w naszym społecznym interesie. Można by krzyczeć, ale czy to pomoże. Coś trzeba byłoby zmienić, może w systemie prawnym. Najgorsze, że tak naprawdę nie umiem na razie nic zaproponować. ■

P.S. Nazwiska zostały zmienione.

Czterech we mgle

Zbliżała się Wielkanoc, toteż półwolnościowiec Kolka, któremu znudziło się symulowanie duszności na tle lenistwa i braku zainteresowania zajęciami warsztatowymi w Ośrodku Rodzinnym, poczuł nostalgię za wolnością, święconym jajkiem, wędzonką oraz ulubioną jazdą automobilem. Kolka miewał częste zmiany nastroju, ćmił papierosy dla poprawy samopoczucia i notorycznie uciekał z poprawczaka w Ignacewie, ale był mało wytrwały, toteż zaniechał „gigantów", za co przeniesiono go do grupy półwolnościowej. Ale tamtej nocy nie wytrzymał i o dwudziestej trzeciej zbudził Sobola, co zaliczył już czterdzieści włamań do aut i kiosków, pił wódę, nie wracał z gigantu, a ponadto był strasznie zawzięty oraz impulsywny. Przez tę impulsywność natychmiast się zgodził na jazdę samochodową. A ponieważ był im potrzebny trzeci do rajdu, wyrwali ze snu małolata Kaca, który wprawdzie nie pił, lecz był za to niezwykle uległy na złe wpływy. Kac długo przecierał oczy, gdyż odznaczał się zdolnościami i sumiennością, i tylko dwa razy miał izolatkę za bluźnierstwa i bicie kumpla, zresztą w zawieszeniu, po czym oznajmił, twardo, że jedzie.

Wyszli przez okno, udali się w stronę Łagiewnik, Kolka podszedł do ładnej zielonej „Łady" i oznajmił, że to jest wóz jego ojca, który jest kierowcą i w tym bloku akurat teraz zdradza haniebnie matkę, więc trzeba go ukarać. Ale stary ma dobry słuch, toteż aby nie wyskoczył znienacka z łóżka kochanki niech Kac z Sobolem staną lepiej na lipku. Jak ktoś szedł, to oni puchali niczym puchacze, a Kolka wypchnął wywietrznik od strony kierowcy i „Łada" była jego. Rozbebeszył trochę stacyjkę, połączył przewody na krótko i pojechali. Rajdowali sobie wygodnie, gdyż noc była spokojna i bezpieczna dla nieletnich piratów, jeszcze przed stanem wojennym. I oglądali różności, co były w aucie, a to jakieś lampy, rękawiczki skórzane, magnet japoński, fikuśny fotelik dla dziecka, dobre papierosy. Aż dziw brał, że tato Kolki taki bogaty.

— W ciemno nie będziemy się szwendać — oznajmił Kolka. — I jaki ja mam punkt w głowie na metę?

— Ty masz na punkcie Groszaka! — wrzasnął odkrywczo Kac.

— Będzie miał wesele z odwiedzin, ten smutny ojciec dzieciom — zawyrokował Sobol.

— Tak jest! Zmusimy go do zajęcia się kobietą i dzieckiem swym opuszczonym!

— Byle z tego nie wyszły jakieś alimenty — mruknął sceptycznie Sobol.

A z owym Groszakiem to była straszna tragedia. Groszak bowiem wyrastał na osobnika skrytego, zbuntowanego, agresywnego i wielce popędliwego. Po prostu — pies na baby. Owe cechy charakteru skłoniły go do licznych rozbojów i kradzieży za co osadzony został w zakładzie poprawczym. Tutaj Groszak czuł się okropnie, toteż aby się nie przemęczać przy pracach fizycznych, często ofiarowywał swe usługi jako goniec. W dowód uznania skierowano go na grupę półwolnościową. Doceniwszy ów akt miłosierdzia, Groszak urządził kilka krótkoterminowych ucieczek, zwanych gigantami, i w sposób błyskawiczny spłodził pociechę jednej rzgowskiej parafiance. A gdy urodził mu się syn, pod względem ojcowskiej troskliwości odwalił gigant półroczny, zdając się na utrzymanie babci i matki swego dziecka.

Kolka zatrąbił, wyciągnął z domu Groszaka, po czym odkręcił fotelik dziecięcy z auta i podarował Groszakowi.

— To ty ojca własnego też skubiesz — zgorszył się Kac.

— A Groszak to nie tata? Zresztą ja wcale nie jestem pewny, czy ta „Łada" należy do mojego starego.

Wątpliwość Kolki była zasadna, albowiem „Łada" należała do pewnego niefrasobliwego artysty plastyka.

Ucieszony Groszak postanowił odwiedzić rodzinę, pojechali przeto do Rzgowa. Ale tam naszły go wyrzuty sumienia, nie chciał budzić niewinnego dziecięcia o pierwszej w nocy, pogadał przeto trochę ze szwagrem swym niedoszłym, bo z siostrą szwagra płodził i żył na kartę rowerową, i zawrócili do Łodzi. Wtedy Kolka, co miał prawo jazdy i prowadził, wpadł na pomysł genialny.

— Podjadę pod poprawczak i obwieszczę klaksonem, że my są pełna wolność!

— Ty głupku! Nawet tę połówkę wolności nam zetną! — sprzeciwił się Sobol.

— Na rowerach nie dogonią radzieckiego auta na licencji włoskiej — uspokoił go Groszak.

Pojechali, ale tuż za Lutomierskiem wpadli w gęstą mgłę. Kolka zakręcił i wycofał się z mgły, bo jako wytrawny rajdowiec nie chciał ryzykować. Jadą więc sobie na luzie, są już w Konstantynowie, a tu Kacowi nagle chce się sikać z przejęcia. Stają. Kac oddaje swoją poprawczą urynę, a tamci patrzą. Patrzą i oczom nie wierzą, bo wzrok mają skierowany w stronę odwrotną. A tam stoi na uboczu słabo oświetlony pawilon spożywczy. Kolka wysiada, zagląda do środka, widzi różne słodkości i inne monopole. Groszak mówi, że takich rzeczy nie wolno przepuszczać, a on ma na utrzymaniu rodzinę, matkę karmiącą z dzieckiem, które potrzebuje słodkości. Groszak wkłada więc nogę między kraty, kopie niczym widzewski Surlit i drzwi puszczają, bo trzymały się na lichym zameczku. I jak potem to wykryto, ekspedienci zaklinali się, że były tam zamki, łańcuchy, kłódki, że zginęło towarów za 20 tysięcy. Ale gdy się trochę rozejrzeli, dobra ubyło za 100 kawałków, i to takiego dobra, o jakim rajdowcy nie mieli pojęcia. Bo ten sklep był tuż po remanencie, przejmowany przez nowych handlowców, którzy jeszcze nie zdążyli nic sprzedać.

A tymczasem rajdowcy chwycili za kraty, szarpnęli, rozciągnęli bez trudu, przez szparę wlazł Kolka i po chwili zaczął wynosić pojemniki z gorzałką marki żytnia i krakus, potem pudełka z cukierkami i czekoladą, karton z papierosami, a na końcu szufladę z bilonem w kwocie złotych dwa tysiące. I oni sobie podawali taśmowo, a Kac układał w aucie. Groszak wypił na stojaka pół butelki i pojechali do jego babci, gdzie złożyli cały łup w komórce, dzieląc się jedynie solidarnie bilonem. Następnie porzucili w pobliżu zieloną „Ładę" w stanie zdewastowanym, wsiedli do taksówki (Kac, Kolka i Sobol) i o piątej nad ranem, przez nikogo nie zauważeni, zameldowali się w Ośrodku Rodzinnym, wskoczyli do łóżek i zasnęli snem sprawiedliwych, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Tego ranka artysta plastyk zgłosił kradzież auta, natomiast włamanie do pawilonu odkryto dopiero wieczorem. Auto zaraz się znalazło, bez powietrza, z rozbitym przednim kołem, poharataną klapą bagażnika, itp., straty na kilkadziesiąt tysięcy, natomiast włamywaczy ani śladu.

A ci dostawszy w sobotę przepustki, przybyli do Groszaka, napili się wódki, popalili, przegryźli czekoladą i dali sobie trochę po pysku na tle niecierpliwego Kaca, który domagał się nachalnie swojej działki.

I byliby korzystali spokojnie z łupu, gdyby Groszak nie uległ presji Kaca. Otóż Groszak przesłał za pośrednictwem swego szwagra działkę Kaca prosto na grupę. Kac przekazał tę działkę małoletniemu kolesiowi, który zaniósł ją do komórki w miejscu rodzinnym nachalnego rajdowca. Stary Kac odkrył łup stwierdziwszy, że to robota wyrodnego juniora, od razu poleciał na milicję. Jak się reszta dowiedziała, że gliny węszą, prysnęła na gigant. Ostatni został ujęty Sobol, którego pewnej majowej nocy przyłapano na włamaniu do prywatnego lokum w drugim końcu Polski.

Nie wiadomo co się stało z wielkim, zapodanym przez ekspedientów łupem, bo w protokole stoi, że trzyosobowa komisja milicyjna zlikwidowała zaledwie kilka butelek wódki poprzez wylanie na ziemię. Nasuwa się wniosek, że nawet najprzezorniejszy rajdowiec unikający mgły nie zawsze wychodzi cało, gdyż łatwo może ulec innej pokusie. Wystarczy tylko raz zanurzyć się we mgle...

JAN WIDLAK ■

Kolumna p... (...)

Cena proponowana: 500 groszy (bilonem)

APEL, SPROSTOWANIA I SAMOKRYTYKA

Przyjaciół poznaje się podobno w biedzie, a my, prosty ajent, w biedzie jesteśmy właśnie. Przeżyliśmy ciężkie i niesprawiedliwe prześladowania ze strony NIK, PIH oraz reżimu; niesprawiedliwe, gdyż jeżeli nawet bufetowa dolewała wody do wódki, to czyniła to jedynie w trosce o trzeźwość klientów, zaś serwowany przez szefa kuchni kotlet de volaille z kota uchodzi słusznie za przysmak kuchni chińskiej.

Z knajpiarza przekwalifikowaliśmy się tedy na badylarza, gdyż ci zarabiają ponoć miliony, na świeżo zakupionej działce dopadł nas jednak przedstawiciel Wydziału Finansowego, rekwirując nie tylko działkę, ale nawet ostatnie portki. Smutny moment pozbywania się przez nas portek utrwalił przypadkowo zaplątany fotoreporter, co nadaje temu wyznaniu pełnej wiarygodności.

Foto: M. Zajdler

Zrozpaczeni, goli i bosi, przekwalifikowaliśmy się tedy raz jeszcze, jako dziennikarz zamierzając rozpocząć Nowe, Wspaniałe Życie, ale — przepraszam bardzo — z czym do gości?

Tę wyjątkowo bogato ilustrowaną stronę spichciliśmy na przykład z samych resztek, gdyż po pierwsze w archiwum „Odgłosów" są niemal wyłącznie zdjęcia rozpoczętych (ale nie dokończonych) wielkich inwestycji, po wtóre — tak czy siak nie wolno nam z niego korzystać. Zawartość poznaliśmy zakradłszy się po nocy w przebraniu Arsena Lupina, mimo iż wcale nie mamy teraz karnawału — oto do czego doszło!

Tymczasem wiemy, że nasz przyjaciel Marek F., redaktor piątkowo-niedzielnego magazynu Największej Gazety Łodzi ma zamelinowane w biurku około 2000 zdjęć figlarnie rozebranych panienek, których wszakoż nie drukuje ze względu na powagę pisma. Nam starczyłoby na początek ze 20 zdjęć, marny 1 procent ponadnormatywnych zapsów, które śmiało zreprodukujemy, bo wcale nie jesteśmy poważni. I co kolega redaktor na to?

Kosze wszystkich łódzkich redakcji pełne są też rozmaitych śmiesznych kawałków, nie wiedzieć czemu tam wyrzucanych. Redakcjom to, jak widać, na nic, a nam by się przydało, przyniosło też zasłużoną sławę autorom (choć może nieco innego rodzaju, niż by się spodziewali...).

Jako świeżo upieczony żurnalista apelujemy również o wszelkiego rodzaju rady, napomnienia i uwagi krytyczne. Uczymy się wprawdzie fachu z szybkością światła — wyższe szybkości są w naszej fizyce nieosiągalne — ale i to okazuje się za mało. Niechby jednak jakiś dziennikarz spróbował otworzyć knajpę i z niczego spichcić wytworny, suto zakrapiany obiad dla wycieczki zagranicznej, to zobaczylibyśmy, czy to takie łatwe nagle zmienić zawód!

Dobrzy Ludzie wskazali nam na przykład na okropny błąd popełniony na kolumnie inauguracyjnej. Otóż wielce sympatyczny PIOTR SAGAN jest oczywiście dyrektorem ŁODZKIEGO WYDAWNICTWA PRASOWEGO, zaś dyrektorem WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO jest równie sympatyczny JACEK ZAORSKI, nie odwrotnie! Przepraszamy zainteresowanych, ich nazwiska i funkcje powtarzamy teraz dla wprawy co ranka i wieczora niby pacierz, podobne przeoczenie nigdy się tedy nie powtórzy.

Tydzień później ostrej i jakże słusznej krytyce poddały nas dla rozmaitości Łódzkie Wiadomości Dnia. Nie słuchamy co prawda nigdy środowego wydania ŁWD, przeto słowa przygany — za które dziękujemy — przekazali nam inni Dobrzy Ludzie, krytykujący miał jednak rację i za mało nam dołożył. Nie słuchamy zaś środowych ŁWD dlatego, że w środę ukazuje się również Kolumna Ajencyjna i natychmiast po jej obejrzeniu wpadamy w silną frustrację, bijemy głową o ścianę z klasycznym okrzykiem „Boże, Boże, dałeś nam talent, ale mały!", wyrzucamy przez okno wszystkie długopisy i pisaki, zaczem — jak kiedy — albo próbujemy zdemolować lokal, albo też próbujemy w ślad za wyrzuconymi przyborami przez okno wyskoczyć.

Tu wkracza do akcji rodzina, obezwładnia, pasie środkami uspokajającymi, wreszcie — na wszelki wypadek po prostu — przywiązuje nas do łóżka, ani stan ducha, ani zajmowana pozycja nie pozwala tedy niczego oglądać. Dopiero od czwartku ponownie próbujemy wdrapać się na Giewont humoru, aby w kolejną środę znów zlecieć na mordę. Jednak do stu razy sztuka: albo wdrapiemy się kiedyś, albo nie podniesiemy w ogóle z upadku.

AJENT

Wojciech Kawecki

Lustro

Wczoraj źle pomyślałem o sąsiedzie A. Może to zgłosić na komendę? Ale pomyślałem bardzo cicho, tak, że sąsiad B nie mógł tego słyszeć, choć na pewno używał dużego słoja na ogórki, przytykając go do ściany. Kiedyś widziałem jak podsłuchiwał sąsiadkę C, wziął do tego dużą lornetkę. Od tego podsłuchiwania to mu bardzo trzęsły się uszy i ręce, taka była zgrabna. Sąsiad B zachorował na nerwicę.

Wczoraj w myślach powiedziałem sobie na jednego urzędnika — ty gnoju, ale nie słyszał tego i nawet uśmiechnął się do mnie na pożegnanie. Jednak czułem, że odczytał w moich oczach, że powiedziałem na niego — ty gnoju, i chyba jeszcze z większą satysfakcją negatywnie ustosunkował się do mojej sprawy. Po wyjściu z urzędu myślałem, czy dobrze zrobiłem. Może powinienem był napisać list, przepraszający tego urzędnika, albo dać ogłoszenie w gazecie.

Niedawno, gdy mój dyrektor rzekł do mnie — wie pan, musimy pana zwolnić, jest reorganizacja, odpowiedziałem — trudno, rozumiem, ale pomyślałem sobie — ty świnio, dlaczego nie ciebie zwalniają? Dyrektor chyba to zauważył, bo powiedział — coś widzę, że pan nie jest zadowolony.

Nie wiem, co zrobić, żeby inni nie zauważyli tego co ja myślę, i że o nich myślę. Muszę chyba zwiększyć samokontrolę. Niedawno próbowałem przed lustrem, ale zauważyłem, że moje odbicie zauważyło, że ja nie chciałem zauważyć tego, co ja zauważyłem.

Horacy Safrin

„Przy szabasowych świecach"

Oto kolejne dykteryjki z książki Horacego Safrina „Przy szabasowych świecach — wieczór drugi" (Wyd. Łódzkie 1981)

Córka pani Pollak zaręczyła się. Ponieważ oficjalna uroczystość ma się odbyć za trzy dni matka narzeczonej wysyła telegram do syna, studenta Politechniki w Brnie:

„Przyjeżdżaj natychmiast na zaręczyny Malwińci".

Syn odpowiada:

„Nie mogę przyjechać. Leżę w łóżku z anginą".

Pani Rożna wysyła drugą depeszę:

„Daj jej dwadzieścia koron. wyrzuć za drzwi i przyjeżdżaj natychmiast".

* * *

Sara przypomina mężowi:

— W czerwcu upływa dwadzieścia pięć lat od daty naszego ślubu. Powinniśmy święcić srebrne gody.

Mąż odpowiada swej ślubnej sekutnicy:

— Poczekaj jeszcze pięć lat, a będziemy święcić wojnę trzydziestoletnią!

Lektury przy jedzeniu

Z braku miejsca dalsza smakowita, ale zarazem pełna prostoty porcja — za tydzień.

Czy to jest to ?

Z braku zdjęć nieprzyzwoitych (o czym szerzej piszemy po przeciwległej stronie tej strony) postanowiliśmy wydrukować zdjęcie przyzwoite. Są to mianowicie nogi, prawdopodobnie nogi dziewczyny. Lewa noga — choć na zdjęciu ta akurat noga wydaje się być prawa — wykonuje ruch baletowy zresztą.

Jak autor zdjęcia dokonał, że widać ten ruch, doprawdy nie mamy pojęcia. Co śmieszniejsze, nie wiemy nawet, czy istotnie ruch ten będzie widać, bo zdjęcie do reprodukowania jest trudne. Gdyby reprodukcja źle się udała, prosimy wierzyć na słowo honoru i do tego na piśmie.

SZEF KU...

Foto: PAWEŁ EDELMAN

U Ajenta „wszystko dostać", jak reklamowały się małe przedwojenne sklepiki, słowem w karcie dań musi być wybór, rozmaitość i co tydzień coś nowego. Mieliśmy Science Fiction? Mieliśmy! Mieliśmy horror? Mieliśmy! Mieliśmy nowelkę kryminalną? Nie *mieliśmy, ale właśnie drukujemy*, a że jest akurat kryminalna łatwo poznać po drugim już zdaniu, które brzmi: *„Komisarz Affiszerd* palił fajkę".

Barbara Janke-Bianek

Szaleństwo

Była wiosna. Komisarz Affiszerd palił fajkę. W komisariacie pachniało kurzem... Przez brudne szyby widać było kwitnące kasztany.

Sacre'bleu — powiedział komisarz i stuknął cybuchem fajki o blat stolika. — Jak ja nie lubię policji. Pewnie dlatego zostałem policjantem. Gdyby Recher nie przychodził do nas na herbatę, nigdy bym do tego zakurzonego pokoju nie trafił. A herbatę to on lubił mocną — pomyślał słysząc przez brązowe drzwi utyskiwania jakiegoś pijaka. — I aromatyczną! — tu westchnął ciężko, wdychając zapach pasty do podłogi.

— Prawda, w sobotę była sprzątaczka. Ta, co jej syn siedzi — tu wspomniał jej okrągły tyłek i nogi pełne żylaków.

Za oknem, pod kasztanami zatrzymała się jakaś dziewczyna. Wysmukła, o długich nogach, pełnych łydkach, szczupła w pasie.

— Duże biodra — zauważył komisarz — a życie tak prędko przeleciało! Zasępił się. — Można by do baru, na kieliszeczek. Muszę iść sam, bo przecież Jaquesowi żona zachorowała. Głupio bez niego. Zawsze chodziliśmy tam razem.

Włożył płaszcz i w drzwiach zderzył się z nadinspektorem Łukasem.

— A dokąd to? Właśnie mam sprawę do pana komisarza. Sensacyjne morderstwo i to tuż za rogiem, można rzec pod okiem policji. Aż strach co prasa będzie wypisywała. Już teraz wiadomo: obywatele płacą podatki na rzecz służby porządku publicznego, a rezultat tego taki, że przestępcy hulają jak wiatr po mieście.

— Jak wiatr? To niepotrzebnie kwieciste — skrzywił się komisarz — ale co się właściwie stało? — zrobił kwaśną minę czując, że kiedy jak kiedy, ale dziś się swego kieliszka nie napije.

— Dobrze ci tak stary capie — cieszył się w duchu nadinspektor — Teraz na pewno poszedłby do tego podłego baru (tu poczuł od razu swój woreczek żółciowy). Ja się męczę, a on z tym drugim moczymordą, jak mu tam? Jaquesem... wiadomo, dobrali się. No, to teraz będą mieli — zacierał ręce z uciechy, robiąc smutnie napuszoną minę.

— Co za pech, że też muszą mordować się w poniedziałek. Ani jednego dnia wolnego. (Co też mi przychodzi do głowy, to przez tego idiotycznego służbistę).

— Ale może mi pan wreszcie powie, co się stało?

— Koło baru, gdzie pan tak często chodzi — zaczął złośliwie nadinspektor — tuż przy kamienicy z murzynkiem, tam gdzie się skręca w zaułek, koło kamiennej dziewczyny zastrzelono dziewczynę.

— Rzeźbę? — komisarz spojrzał z nagłą podejrzliwością na rozmówcę.

— Ale co pan mówi — żachnął się nadinspektor — żywą.

— To ona żyje? — uspokoił się komisarz.

— Ależ nie: zastrzelono ją na miejscu pistoletem kaliber 125p.

— No, to czemu pan mówi, że ona żyje?

— Ja nie mówiłem, że ona żyje — zachrypł ze złości nadkomisarz — powiedziałem po prostu, że zastrzelono tę dziewczynę koło kamiennej rzeźby, tej na skwerku. Jest to naga kobieta z zadartą do góry głową.

— To chyba przywieźli ciało skądś, przecież nie mogli jej rozebrać i zgwałcić w biały dzień.

— Kogo, rzeźbę? — wpadł w rozpacz nadinspektor — Muszę iść do baru — powiedział nagle i skierował się w stronę podejrzanie pachnącej spelunki, z której właśnie głośno wrzeszcząc wytaczało się paru gości.

— Co mu się stało? — zdziwił się w duchu komisarz — To chodźmy razem — ucieszył się głośno.

— No, to chodźmy — westchnął z męką nadkomisarz.

Zaproszenie dla Smoka

Niniejszym zapraszamy Obywatela Smoka na gościnne występy do Łodzi, gdzie skłonni jesteśmy wskazać Mu kilka instytucji (nawet z naszego najbliższego otoczenia), w których swoimi subtelnymi metodami mógłby Obywatel wreszcie zrobić porządek.

Zaproszenie nasze jest tym szczersze, że o ile zorientowaliśmy się z treści filmu Obywatel Smok za swoje usługi nie pobiera honorarium.

Będę wdzięczna osobiście i dotykalnie za przybycie.

Z upoważnienia Taty

CÓRKA AJENTA

P.S. Tylko nie dotykalnie, dziecko nie wie, co mówi!

AJENT

1 Zdarzenia i zwierzenia

Z dziejów łódzkiej prasy

Ponad 800 tytułów zawiera — niepełna przecież — „Bibliografia prasy polskiej" z lat 1863—1945. W tej ogromnej prasowej kolekcji znajdują się gazety polskie, niemieckie, rosyjskie i żydowskie. Nas, oczywiście, interesują przede wszystkim polskie, i to szczególnie takie, które posiadają specjalną antykwaryczną wartość. A więc gazety nieznane, zapomniane lub owiane atmosferą skandalu.

Na początek czasopismo nieznane.

Wpadł mi bowiem do rąk egzemplarz pisma, które śmiało i bez przesady mogę nazwać unikatem na dużą skalę. Tak jest! Nie notuje tego pisma podstawowa i bardzo wszechstronna „Bibliografia prasy łódzkiej" Wiesławy Kaszubiny, gdzie czytam: „Pewne tytuły z powodu braku wiarygodnych źródeł zostały pominięte". Wśród tych tytułów wymieniono „Satyra". Nic dziwnego. Nie ma go w zbiorach żadnej z bibliotek narodowych w kraju. A jednak jest!

Łódzkie pismo ilustrowane, tygodniowe — „SATYR", leży przede mną numer pierwszy z dnia 14 stycznia 1913 roku. Adres redakcji: ul. Mikołajewska nr 22. Czyli dzisiejsza Sienkiewicza.

Na ostatniej stronie czytam: Redaktor i Wydawca — Władysław Gutowski. Nie jest mi obce to nazwisko. Pan ten był redaktorem „Kuriera Łódzkiego", wydawanego przez Stanisława Książka.

A więc Władysław Gutowski — dziennikarz „Kuriera Łódzkiego" — spróbował sił jako wydawca. Podejrzewam, że ów „numer pierwszy" był ostatnim, że pismo zrobiło plajtę, albo, że zbliżająca się pierwsza wojna światowa pokrzyżowała Gutowskiemu edytorskie plany.

A szkoda, bo choć pismo trąci myszką — co jest zresztą zrozumiałe, poczynało sobie dość ambitnie. Drukowało satyry Ignacego Krasickiego, planowało druk powieści historycznej z XVIII wieku, pt. „Czarna procesja", w której „epoka owocnych wysiłków duchowych reformatorów i bezmyślnych hulanek zwolenników dawnego nieładu służy za tło..." — jak reklamowano powieść w pierwszym numerze.

„SATYR" miał ambicje i wnosząc z pierwszego numeru miał ambicje jak na swoje czasy — postępowe. Krytykował ziemian tracących fortuny na hulanki, brał w obronę chłopa, wołał: „Bo czyż nazwać tych panami co od chłopskich stronią chat..."

Z kolei przypomnijmy czasopismo zapomniane. Specjalistyczne, dotyczące spraw przyrody, ale — uwaga! — pierwsze w Polsce czasopismo entomologiczne.

W roku 1970 zwróciła uwagę na to czasopismo znana łódzka badaczka dziejów prasy, dr Wiesława Kaszubina. Swoje uwagi opublikowała na łamach biuletynu naukowego: „Polskie Pismo Entomologiczne".

Łódź, znana wówczas raczej jako centrum przemysłowe, włókiennicze, niespodziewanie zwróciła na siebie uwagę przyrodników, specjalistów entomologów. Grupa łódzkich miłośników przyrody, o aspiracjach naukowych, zainicjowała wydawanie czasopisma poświęconego wyłącznie entomologii. Rangę tego przedsięwzięcia podnosi fakt, że łódzki „Entomolog Polski" był pierwszym czasopismem entomologicznym, które pozyskało sobie entuzjastów i znawców tej dziedziny przyrody w skali ogólnopolskiej, że zostało założone z inicjatywy społecznej, że wreszcie — choć pozbawione było odpowiedniego, warunkującego pracę badawczą zaplecza w postaci tradycji naukowych, instytucji i warsztatów pracy badawczej — wydawane było na dobrym poziomie.

Pierwszy numer czasopisma „Entomolog Polski", wydawanego przez Łódzkie Towarzystwo Entomologów, ukazał się 15 grudnia 1910 roku. W zamierzeniach Towarzystwa było wydawanie 4 zeszytów rocznie, co kwartał, później miało zamienić się na miesięcznik. W rzeczywistości wydawnictwo ukazywało się nieregularnie.

Stroną redakcyjną czasopisma kierował faktyczny organizator Łódzkiego Towarzystwa Entomologów i inicjator wydawnictwa, Edward Korb, warszawianin, z wykształcenia inżynier, w 1905 roku przybył z bratem Mieczysławem do Łodzi. Poza pracą zawodową, najpierw jako kierownik działu montażowego w Powszechnym Towarzystwie Elektrycznym, później jako inżynier konstruktor w fabryce J. Johna (obecnie zakłady Strzelczyka) godziny wolne od zajęć poświęcał entomologii. Interesował się głównie szkodnikami był jednym z niewielu znawców korników. Posiadał bogate zbiory entomologiczne uzupełniane drogą wymiany zagranicznej. Część swych łódzkich zbiorów ofiarował Muzeum Nauki i Sztuki, część przekazana Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców m. Łodzi trafiła później do zbiorów Katedry Ewolucjonizmu Uniwersytetu Łódzkiego.

Przypominając po latach ciekawe próby czasopiśmiennicze w Łodzi, chcę po raz któryś zwrócić uwagę na prężność środowisk kulturalnych i naukowych naszego miasta na początku XX wieku. Próby te nie zawsze kończyły się sukcesem, ale dowodnie świadczą o ambicjach łódzkiej inteligencji.

JERZY WILMAŃSKI

2 Spojrzenie znad szachownicy

Próba mediacji w sprawie Niderlandów

W felietonie sprzed dwóch tygodni pt. „Kogo bije ZAiKS i kto dostał Niderlandy" przedstawiłem konflikt między ZAiKS-em (pełna nazwa: Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych, lecz ZAiKS zajmuje się wszystkim również ściąganiem honorariów za drukowane w czasopismach nowelki kryminalne), a prasą prowincjonalną zwłaszcza, bo ta jest uboższa. Ponieważ łaskawy czytelnik nie ma obowiązku uczenia się moich tekścików na pamięć, a zresztą może dopiero co wrócił z urlopu, zaś w miejscowościach wczasowych nie mógł dostać „Odgłosów" z całą pewnością przypomnę może, o co w tym — co prawda dopiero narastającym — konflikcie poszło.

Otóż decyzją z dnia 30 czerwca br. Minister Kultury i Sztuki — wyprzedzając niejako rewizję prawa autorskiego, skądinąd niezbędną — dość radykalnie podniósł stawki za przedruki, w tym zarówno za tłumaczenia, jak prozę i poezję rodzimą. Wszystko byłoby w porządku gdyby nie fakt, że fundusz honoracyjny gazet i tygodników nie wzrósł równocześnie ani o pół złotówki. Nie chcę nudzić czytelnika obliczeniami, ale znaleźliśmy się w takiej śmiesznej sytuacji, że za przedruk tłumaczenia byle jakiego opowiadanka musiałbym zapłacić poprzez ZAiKS — dysponując takim funduszem, jakim dysponuję — mniej więcej dwa razy tyle, niż za oryginalny, specjalnie dla „Odgłosów" napisany artykuł.

Oczywiście człowiek odpowiedzialny za finanse pisma musiałby być ciężkim wariatem, aby na taki układ przystać, dlatego też uczciwie zapowiedziałem — a koledzy z łódzkich pism codziennych mówią to samo — że jakichkolwiek przedruków płatnych przez ZAiKS po prostu nie będzie. No, może wiersz jakiś się trafi, byle krótki, bo i za poezję, i za prozę, i za tłumaczenia płaci się od linijki, nie fatygując się oceną jakości czy skali trudności przekładu. Różnica w tym jedynie, że za linijkę obliczeniową przyjmuje się 50 znaków drukarskich, zaś linijka wiersza może być dowolnie krótka. Majakowski, który pisał „schodkami", brałby tedy dużo (i tłumacz Majakowskiego także). Mickiewicz jednak, gdyby go ZAiKS chronił, na „Panu Tadeuszu" wyszedłby raczej marnie.

W rezultacie rysuje mi się taki obraz: choć podniesienie stawek było w zasadzie słuszne, to autorom i tłumaczom — którym życzę dobrze, mam bowiem wśród nich wielu kolegów i przyjaciół — minister Tejchma ofiarował Niderlandy. Bezbłędnie działający ZAiKS spróbuje oczywiście te niderlandzkie płatności wyegzekwować, ale że pismo nie może wydać więcej forsy niż posiada, przeto leniwie, lecz stale płynący strumyczek honorariów za przedruki zacznie po prostu wysychać. Za tłumaczenie dokonane na zlecenie tego czy innego wydawnictwa stawka będzie co prawda wyższa, lecz ilość przedruków — co z pewnością wykaże najbliższa przyszłość — zacznie gwałtownie spadać.

Doprawdy nie wiem, czy istotnie leży to w interesie czytelników, pism, ZAiKS-u (który bierze przecież pewien procent za usługę), a nawet samych autorów i tłumaczy. Ja osobiście — pisałem o tym już uprzednio — z całą pewnością wolałbym dostawać trochę, lecz stale, niż stale — nic.

Można by teraz zapytać redaktorów pism: a dlaczego to, kotki, nie kłócicie się z wydawcą o podniesienie funduszu honorariów?! Kłócimy się — brzmi odpowiedź — lecz wydawca wcale roztropnie odpowiada, że przedtem powinniśmy podnieść nakład, efektywną sprzedaż, a więc i zyski, potem zaś ewentualnie porozmawiamy o dodatkowych pieniądzach. Jak podnieść nakład i sprzedaż? Drukując rzeczy możliwie ciekawe i dobre, w tym interesujące tłumaczenia także. Lecz tłumaczeń tych — ze względów płatniczych właśnie — będzie odtąd coraz to mniej i mniej, nakład zacznie się walić, w miejsce zysku pojawi się deficyt, przeto fundusz honoracyjny pism raczej się zmniejszy, niż wzrośnie. Nie dość że „Ruch" — o czym kiedy indziej — też wychodząc zresztą z rachunku ekonomicznego woli handlować pismami mocnymi, już wprowadzonymi na rynek czytelniczy, niż słabymi, dopiero walczącymi o nakład to teraz ZAiKS próbuje dorżnąć kury, znoszące maciupeńkie wprawdzie, lecz jednak jajka.

I w tym momencie — już nie jako zastępca redaktora naczelnego „Odgłosów", lecz jako Jerzy P., skromniutki członek tegoż ZAiKS-u od lat z górą dwudziestu — spróbuje podjąć się mediacji w tym niderlandzkim konflikcie.

KOCHANA DYREKCJO KOCHANEGO ZAiKS! Z właściwą sobie energią i skrupulatnością wydaj zlecenie sprawdzenia stanu kont autorów i tłumaczy. W zgodzie z nowymi stawkami wpływy na tych kontach powinny wzrosnąć, gdy ja twierdzę, że spadną. Skończą się zwłaszcza księgowania wpływów z prowincjonalnych gazet codziennych i słabszych finansowo czasopism.

Jeżeli tak będzie, jak przepowiadam — a będzie — zapoznaj się, Droga Dyrekcjo, z budżetami pism, które po wprowadzeniu nowych stawek na ZAiKS przestały świadczyć; budżet „Odgłosów" jest do wglądu, możemy go nawet do Warszawy wraz ze stosownymi wyjaśnieniami przesłać. Co uczyniwszy dodaj dwa do dwóch (według moich prowizorycznych obliczeń wyjdzie coś około czterech) i wprowadź wysokie ulgi dla ściśle określonych, z tych czy innych przyczyn słabych finansowo tytułów. Ocal kury, które dziś są w stanie znosić jedynie mini-jajeczka, ale za rok czy dwa być może zaczną znosić jajka wcale przyzwoite. Ta operacja wyjdzie na zdrowie nie tylko kurom, ale i samemu ZAiKS-owi oraz jego członkom, a moim sympatycznym kolegom.

W przeciwnym wypadku proszę mi przysłać za zaliczeniem pocztowym stosowną instrukcję w języku polskim (japońskim bowiem nie władam) chciałbym bowiem bardzo honorowo — i to możliwie w gabinecie Kochanej Dyrekcji — popełnić harakiri. Jest to bowiem wszystko, co dla ZAiKS-u mogę uczynić. Umrę, a nowych stawek płacić nie będę, gdybym bowiem do budżetu pisma dołożył własną pensję i całość skromnych oszczędności, wciąż jeszcze mi nie starczy.

JERZY P.

P.S. Wypada dodać, że stawki za przedruki rysunków, zdjęć, fraszek, etc., są natomiast umiarkowane i nasz Ajent ze strony 14 — bądź co bądź człowiek z handlowym doświadczeniem — odgraża się, że jeżeli coś przedrukuje, to rysunek (i to w dużym formacie!), bo to jedynie się kalkuluje...

3 Nagłe zastępstwo

Rejtan na kanapie

Rejtan wszedł do historii nie dlatego, że dowodził armią, nie dlatego, że dokonał wiekopomnego wynalazku albo napisał powieść nagrodzoną Noblem. Rejtan w odpowiedniej (?) chwili rozdarł koszulę i położył się na progu. Dramatyczny lub historyczny (jak kto woli) gest Rejtana nie odwrócił biegu historii ani na jotę. Samemu Rejtanowi też się nic nie stało: nikt nie wraził bagnetu w odkrytą pierś bohatera.

W panteonie bohaterów narodowych i wielkich Polaków są ludzie najróżniejsi, wodzowie, królowie, uczeni i prostaczkowie. Być może w polskim niebie Kościuszko spiera się konfederatami, Mickiewicz z Mochnackim, a Świętochowski zaprzyjaźnił się z margrabią Wielopolskim. Może. Może powstańcy warszawscy nie dogadują się z listopadowymi, może Chopin spiera się z Kleofasem Ogińskim. Rejtan w tych sporach udziału nie bierze, z nikim się też nie zaprzyjaźnia. Rejtan prawdopodobnie leży, w pozie uwiecznionej przez Matejkę. Leży, bo tylko w tym bohaterskim i kontestatorskim leżeniu cały sens jego pozagrobowej egzystencji...

Książe Józef wjechał do tego nieba konno, żołnierze Westerplatte — jeśli wierzyć poecie — weszli czwórkami. Drzymała wjechał wozem, Paderewskiego wnieśli rozentuzjazmowani wielbiciele. Rejtana chyba też ktoś wniósł, jak by inaczej wszedł leżąc? co?

Nie lubię Rejtana. Jest to w końcu tylko polski Herostrates, o tyle gorszy od swego pierwowzoru, że nawet nic nie podpalił...

* * *

Oglądam w telewizji znany dramat wybitnego pisarza. Oglądam z rosnącym niesmakiem. Grają — najlepiej jak umieją — zupełnie sympatyczni aktorzy, którym nagle dano szansę. A powinien grać kto inny. Oczyma duszy widzę, jak poszczególne sceny rozegraliby — Ci Wielcy, Ci znani i kochani przez całą polską publiczność. Ci — jedyni — którzy mają prawo stawać na deskach największego polskiego teatru.

Czuję, że coś tracę. Czuję, że jakąś krzywdę wyrządza się milionom ludzi.

Wyobrażam sobie co robią Oni: patrzą w telewizor (jest poniedziałek, mają wolny dzień w teatrze), uśmiechają się ironicznie albo wręcz chichoczą... Leżą na kanapach w pozie Rejtana...

Rejtan był o tyle lepszy, że przynajmniej nie leżał na kanapie!

* * *

Przypominam sobie jeszcze jednego bohatera. Szyko wylansowany w latach pięćdziesiątych, kiedy mieliśmy gwałtowne zapotrzebowanie na własnego Jemieliana Pugaczowa. Przypomniano powieść Tetmajera, powstał naprędce film. Potem historycy wykryli, że był tylko płatnym agentem króla Szwecji.

Z panteonu wyniesiono go równie pośpiesznie jak poprzednio wniesiono. Tyle że chyłkiem. Skazano na niepamięć i dlatego też nie wymieniam jego imienia.

* * *

Czas na Rejtana. Czas zapomnieć i to imię. Niechże przestanie patronować złej sprawie.

Bohaterowie przeszłości bywają modni a potem znów zapomniani. Modni wtedy, kiedy są potrzebni. W czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej zachodni dziennikarz zauważył w pokoju Stalina popiersie Piotra Pierwszego. W tym właśnie czasie Piotr I, być może, potrzebny był przywódcy radzieckiemu. Nie jako imperialista oczywiście. Jako patriota i żołnierz. Mógł być natchnieniem walczących.

Wyszukajmy w polskim niebie właściwego świętego na nasze trudne czasy. Zapomnijmy o Rejtanie!

ANDRZEJ KAROL

4 Lewym okiem

Hejże Glujże!

W swoim czasie — ładnych parę lat temu — „Dom Książki" przeprowadzał kilkakrotnie ankietę wśród swojej klienteli, prosząc w niej między innymi o odpowiedź na pytanie: „Czym kieruje się pan przy zakupie książki: a) publikowanymi w prasie recenzjami; b) wystawami książek w witrynach; c) opinią znajomych; d) własnym wyczuciem?" Odpowiadałem wówczas, że na podstawie recenzji w prasie szukam książki w bibliotekach. Recenzje i wszelkie „zapowiedzi" były bowiem zawsze a tym bardziej są teraz publikowane w czasie, kiedy danej książki dawno już w księgarniach nie ma.

W księgarniach już nie ma, a w bibliotekach jeszcze nie ma. Musi być przecież zakup, zaksięgowanie, opracowanie, zakatalogowanie — to trwa prawie tak długo, jak napisanie i ogłoszenie recenzji w telewizji, czyli parę miesięcy. W rezultacie do „nowości" dochodzi się w rok po ich wydaniu i dopiero wtedy książka wchodzi naprawdę do obiegu, do umysłów i wyobraźni czytelników. Tak jest już od lat i pisało o tym mnóstwo ludzi.

Innego zdania jest dyrektor biblioteki im. L. Waryńskiego w Łodzi, pani Elżbieta Ciepłucha. W „Odgłosach" z 6 sierpnia twierdzi ona, że informacje o nowej książce „powinny się ukazywać wtedy dopiero, gdy książka dociera do księgarni i biblioteka może ją zakupić. Ale praktyka jest taka, że np. telewizja reklamuje książkę natychmiast po otrzymaniu egzemplarzy sygnalnych z wydawnictwa, kiedy nie ma jej jeszcze w księgarni, albo jest tylko w Warszawie, a nie w innych regionach kraju". A więc chodzi o opóźnienie informacji, która i tak zawsze jest spóźniona. Trzeba będzie przestawić się na „wyczucie".

Myślę, że biblioteki przy zakupie książek nie muszą czekać na informację telewizji, bo mogą posługiwać się „Zapowiedziami wydawniczymi", dostępnymi w każdej księgarni i w większości dużych bibliotek. A przy okazji chcę poruszyć sprawę, nader ważną dla środowiska pisarskiego.

W Szwecji istnieje od lat Fundusz Autorski, dający rocznie około 7 milionów dolarów, a tworzony z tantiem za wypożyczanie książek w bibliotekach. **Każdy egzemplarz książki szwedzkiego autora** (z wyłączeniem tłumaczy) obciążony jest przy każdorazowym wypożyczeniu tamtiem 6 centów, z czego połowę otrzymuje autor, a druga połowa przeznaczona jest na zapomogi i stypendia dla pisarzy. W Szwecji tantiemy te opłaca państwo, ale można je wkalkulować w opłaty biblioteczne — byłyby to groszowe kwoty. Z tych groszy poczytni autorzy otrzymują w skali roku po parę tysięcy dolarów.

U nas tantiemy dostają tylko twórcy sceniczni i — zwłaszcza — estradowi. Malarz sprzedaje swoje dzieło jeden jedyny raz. Pisarz otrzymuje z wydawnictwa jednorazowe honorarium i traci z oczu swe dzieło. Ktoś, kto napisze tekst lub melodię piosenki, otrzymuje za to honorarium, a potem tantiemy które przy dużej obrotności „twórcy" i dużej dozie szczęścia mogą go dobrze żywić przez wiele lat.

Wiemy wszyscy, jakim to dziełem artystycznym są często teksty piosenek. W filmie telewizyjnym „Punkt widzenia" straszyła piosenka, w której 52 razy (sic!) powtarzało się zdanie: „bo to jest właśnie punkt widzenia..." W kółko, na okrągło, nie do zniesienia. Tak samo..." nic nie może przecież wiecznie trwać, za miłość przyjdzie nam zapłacić..." — trzydzieści parę razy. Paranoja. Zepsuta płyta. A czas leci, licznik stuka, tantiemy rosną. Za co? Za „sia la la, sia la la, baby jak donice..."? Za „hejże glujże"?

(O tej ostatniej piosence: musiał ją zrobić ktoś pozbawiony za grosz językowego słuchu. Końcówka „że" nie powoduje przesunięcia akcentu! Nikt nie powie „trzymajże", ani „od dajże", tylko „trzy majże", „od dajże". Tak samo „że glujże, a nie „że glujże", bo wychodzi z tego obrzydliwe „Hejże Glujże", i to powtarzane w kółko kilkanaście razy. Tantiemy lecą).

Może by zainteresować nasz ZAiKS systemem szwedzkim? Pomysł nie jest nowy. Już w 1930 roku, w numerze 18 „Wiadomości Literackich", była wzmianka o Duńczyku Freuchenie, który proponował właśnie opodatkowanie wypożyczanych książek na rzecz ich autorów. Myślę, że byłoby to jeszcze jedno małe wyrównanie tego co nazywa się niesprawiedliwością.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

Mężczyzna, który przyszedł popatrzeć na królową

Na początku lipca jednodniową sensacją stał się czyn 31-letniego bezrobotnego malarza i dekoratora, Michaela Fagana z Londynu, człowieka najwyraźniej niezrównoważonego psychicznie, który wszedł niepostrzeżenie do sypialni jednej z najbogatszych i najlepiej strzeżonych kobiet świata, królowej Elżbiety II. Sprawa trafiła na posiedzenie gabinetu brytyjskiego — jak to możliwe, że ktoś zmylił czujność całej ochrony królowej? — oraz dała prasie okazję do dogłębnego „przekopania" życia rodziny Faganów. Redakcje pewnych dzienników uwiozły niektórych członków rodziny w odosobnienie, żeby posiadać na wyłączność ich „rewelacje", jak też uniemożliwić reporterom innych gazet robienie im zdjęć. Oczywiście, dzienniki płacą za ten proceder słone sumy, żeby móc opatrzyć materiał formułą „Exclusif for...". THE SUNDAY TIMES z 18 lipca zamieścił materiał pod powyższym tytułem, opracowany przez dwóch dziennikarzy — Barrie'ego Penrose'a i Davida Beake'a. Zamieszczamy przekład artykułu z niewielkimi skrótami.

W piątek rano 9 lipca rodzina Windsorów z Buckingham Palace SW1 spała spokojnie w królewskich apartamentach; w tym samym czasie rodzina Faganów z Highbury, London N5, była pogrążona we śnie w błękitno-szarej przyczepie campingowej na wybrzeżu w hrabstwie Kent.

Sytuacja w obu rodzinach była nieco różna. Królowa na przykład wiedziała, że jej najstarszy syn, 33-letni książę Karol, będzie tego dnia na koncercie w Wells Cathedral. Faganowie byli przekonani, że ich 31-letni syn, Michael, powinien być ze swoją żoną Christine w ich podupadłym domu niedaleko stadionu Arsenal.

W rzeczywistości Christine nie miała pojęcia, gdzie był Michael — zniknął on 36 godzin wcześniej. Dopiero w sobotę rano Faganowie przeczytali elektryzującą wiadomość, że Michael został aresztowany i oskarżony o kradzież pół butelki wina z Pałacu Buckingham.

Kiedy pospiesznie wracali z Kent i czytali poranne gazety, zrozumieli, że losy Windsorów i Faganów przecięły się dramatycznie.

Przeszłość Michaela nie miała w sobie nic królewskiego. Urodził się w Paddington General Hospital 8 sierpnia 1950 r., kiedy królowa była jeszcze księżniczką Elżbietą. Michael otrzymał imię po swoim ojcu, przedsiębiorcy budowlanym. Jego matka Ivy, zajmowała się po wojnie mieszkaniem kwaterunkowym, a obecnie chylącym się ku upadkowi własnym domem w północnym Londynie.

Dla ojca chłopak był „wysoce inteligentny i bardzo rozgarnięty", dla matki był „bardzo przeciętnym dzieckiem" Wyjątkową przyjemność sprawiało mu czytanie. „Przede wszystkim klasycy — powiedziała nam Ivy Fagan — książki takie jak Tom Brown's Schooldays, Karol Dickens, ale nie beletrystyka. I zawsze grał w szachy".

W Canonbury Junior School Michael zdobył nagrodę za czytanie i potajemnie trzymał szyn-szyle. „Wchodził na górę po schodach, żeby położyć się do łóżka, kiedy usłyszeliśmy szelest w jego piżamie i coś się poruszyło" — mówi jego matka. „On kocha zwierzęta, ale nie mogliśmy trzymać tego królika".

U Sir Philipa Magnusa, w twardej szkole średniej w pobliżu Dworca King's Cross, Michael bardzo lubił pływanie, ale nie przepadał za sportami zespołowymi. Opuścił szkołę bez kwalifikacji i jego pierwszą pracą był technik — terminator, ale — jak mówi matka — „szybko stracił zainteresowanie". Wkrótce zarabiał na utrzymanie dziwacznymi obrazami i pracami dekoratorskimi.

Radny północnego Londynu, Ken Banham, który wyrósł razem z Michaelem w Highbury, pamięta go dobrze. „Jest on odludkiem — mówi. Zwykle spotykaliśmy się w kawiarni przy Albion Road i zabawialiśmy się automatami zręcznościowymi lub szafą grającą. Mick znał wszystkich ze środowiska narkomanów, lecz zawsze chodził własnymi drogami. Kiedykolwiek miał coś, w tym również pieniądze, to nigdy nie cieszył się tym długo".

Ojciec Michaela obawiał się, że syn może wpaść w szpony miejscowych handlarzy narkotyków. Podejrzewając słusznie, że lokalny lekarz, dr Christopher Swan, rozpowszechnia narkotyki wśród młodych chłopaków z okolicy, Fagan — senior wytoczył mu sprawę sądową i doprowadził do zamknięcia jego gabinetu.

Przed dziesięcioma laty Michael Fagan — junior poślubił Christine, starszą od niego o dwa lata Walijkę. Odziedziczył już gotową rodzinę, gdyż żona miała dwoje dzieci z różnych ojców. Fagan powiększył rodzinę do sześciorga dzieci: Colettę — 17, Dean — 15, Samantha — 10, Arran — 6, Sarah — 5 i Ross — 3. „Mój syn uwielbia dzieci" — mówi Ivy Fagan, co potwierdzają pracownicy opieki społecznej z północnego Londynu, którzy dobrze znają to małżeństwo.

Rodzina była jednak nie ustabilizowana. W ciągu 10 lat małżeństwa zmieniali oni 12 razy adres w północnym Londynie. „Po prostu lubili przenosić się z miejsca na miejsce" — mówi jego matka. Pewnego razu małżeństwo miało trochę pieniędzy z prac dekoratorskich Fagana, więc przenieśli się wraz z dziećmi na wzgórza Walii. „Pozostawali tam, dopóki mieli pieniądze. Raz powiedział, że chciałby mieszkać na szczycie góry Walii".

Po powrocie do Londynu pierwszym przystankiem Faganów była niezmiennie opieka społeczna. Przy Copenhagen Street, potem przy Highbury, a ostatnio Finsbury wędrowna rodzina poznała dobrze wiele zespołów pracowniczych. Opasła teczka z aktami Fagana mówi, że „nie było niezbitych dowodów używania narkotyków", chociaż „czuło się z całą pewnością", że istnieje „znaczny element ryzyka narkotycznego".

Christine zwykła przy różnych okazjach znikać z nędznego domu rodziny pod numerem 81 przy Yorkway Court w dzielnicy Islington, mieszkania na drugim piętrze, które wynajmowali zanim przeprowadzili się na Elwood Street w Highbury. Fagan popadał w coraz większą depresję z powodu jej nieobecności. „Michael szalał z powodu Christine, ale ona w dalszym ciągu znikała" — mówi ojciec.

Siostry Fagana, 29-letnia Marjorie i 30-letnia Betty, pamiętają kryzys rodzinny w ubiegłe Boże Narodzenie, co doprowadziło do tego, że Christine zniknęła wkrótce potem z dwojgiem dzieci. „Michael był załamany" — mówi jego matka, która zastała go, jak samotnie zajmował się swoimi dwoma synami. „Dzieci były brudne, więc wykąpaliśmy je, a następnie spędziliśmy resztę dnia na sprzątaniu mieszkania, bowiem było w odrażającym stanie".

Fagan popadł wkrótce w obsesję odnalezienia żony i utraconych dzieci. „Michael chciał szukać Christine, po prostu nie mógł przerwać poszukiwania jej dzień po dniu. I ciągnął ze sobą dzieci szukając jej".

Faganowie ostatecznie natrafili na ślad nieobecnej Christine w Cyrus House, w Islington, w zdewastowanej melinie, gdzie dzieci spały na gołej podłodze. Kiedy Fagan zjawił się nieoczekiwanie w tym lokalu we wczesnych godzinach rannych 26 czerwca, doszło do awantury, która zaprowadziła go do sądu, gdzie oskarżono go o spowodowanie obrażeń cielesnych swojego pasierba, Deana Martina. Fagan nie przyznał się do winy.

Zaalarmowani pracownicy opieki społecznej spotkali się 30 czerwca w Highbury żeby przedyskutować sprawę Faganów. Do chwili obecnej lokalne władze zapewniły dwa mieszkania dla małżeństwa: jedno — dla Michaela przy Yorkway Court, a drugie dla Christine przy Elwood Street. Jak się wydaje posadzenie Fagana w więzieniu (po zranieniu pasierba — DT BS) złączyło tę parę ponownie; po uwolnieniu z Brixton, 5 lipca, poszedł on na Elwood Street.

„Podupadł w tym czasie fizycznie i stracił na wadze — mówi jego matka. — Wyglądał jakby nie dbał o siebie" Ponieważ uczucia zmieniły się, więc rodzina Faganów wierzyła 5 lipca w swojej przyczepie campingowej w Kent, że ich syn i Christine połączyli się znowu szczęśliwie.

Również pracownicy opieki społecznej usłyszeli tę dobrą nowinę; wydawało się, że kryzys rodzinny minął.

Nikt natomiast nie wiedział o tym, że trzy tygodnie przed incydentem z Cyrus House Fagan złożył absolutnie inną wizytę — 7 czerwca przedostał się na dziedziniec Pałacu Buckingham.

Potem w cztery dni po opuszczeniu (więzienia — DT BS) Brixton, złożył swoją drugą — sensacyjną — wizję. Christine nie miała pojęcia, gdzie jej mąż zniknął na 36 godzin przed swoją przygodą w ów piątek. W rzeczywistości Fagan dzielił swój czas między siostry, Betty i Marjorie, a równocześnie wałęsał się trochę bez celu.

Jak wie już o tym cały świat, około 6.10 rano, kiedy lokaj Paul Whybrew obchodził królewską siedzibę zewnątrz, Fagan wdrapał się przez liczący 20 stóp wysokości mur, skorzystał z drabiny i przedostał się do apartamentów mieszkalnych królowej.

Kilka minut później królowa przebudziła się i odkryła w swojej sypialni nie służącego w liberii, lecz bosego Fagana w dżinsach i w koszulce z napisem „Londsale". Wkrótce wyjaśnił, dlaczego wpadł do królowej. Powiedział, że ma kilkoro dzieci i przeżywa właśnie kryzys małżeński, wyjawił też, że był wewnątrz Pałacu Buckingham 7 czerwca, tego samego dnia, kiedy do Londynu przyjechał prezydent Reagan i wydawało się, że służby bezpieczeństwa w stolicy zostały postawione w stan najwyższej czujności. Fagan powiedział również, że jest prawie w tym samym wieku, co książę Karol.

Ivy i Michael Fagan — senior usłyszeli po raz pierwszy o wyczynie swojego syna w Pałacu Buckingham na campingu w hrabstwie Kent w sobotę. „Siedzieliśmy na słońcu — powiedziała nam pani Fagan w ubiegłym tygodniu — i Betty powiedziała odkładając gazetę: „To Michael". Pomyślałam: „O, mój Boże". Pojechaliśmy pospiesznie do Londynu".

Faganowie zaczęli poszukiwać więcej informacji. „Na Fleet Street (ulica w Londynie, przy której znajdują się największe wydawnictwa prasowe — DT BS) przed południem w sobotę widok był przerażający — mówi. — Były tam wielkie napisy w rodzaju „Obawy o bezpieczeństwo królowej". Pomyślałam: „O, Boże, co jeszcze przeczytam". Nie jechaliśmy na policję, bo wiedzieliśmy już z radia, że intruzem był Michael".

O tej porze przed dom Faganów przybywali pospiesznie dziennikarze. Pan Fagan mówi, że postawił sprawę jasno, iż nie chce zarabiać pieniędzy na awanturze, jaką wywołał jego syn. „Próbowałem wynegocjować pożyczkę — mówi. — Christine potrzebowała pieniędzy. THE SUN oferował 3,5 tys. funtów, ale ona chciała co najmniej 6 tysięcy. W pewnym momencie odjechali z Christine i zrobili z nią całą kupę zdjęć".

Fagan miał powiedzieć 13 lipca: „Czuję się jak gwiazda filmowa", czemu teraz gorąco zaprzecza. „To zostało wypaczone" — utrzymuje, dodając, że woli występować w telewizji. W ubiegłym tygodniu pojawił się ze swoją żoną w programie amerykańskiego towarzystwa telewizyjnego NBC.

Za granicą niektóre gazety poszły nawet dalej, niż ich partnerzy brytyjscy. Być może najbardziej zmyślna wersja została zamieszczona na czołowej kolumnie SUEDDEUTSCHE ZEITUNG. „Były pewne kłopoty — mówiła informacja — z królikami Diany — Mopsy i Flopsy — i była już prawie pełnia księżyca. Królowa spała źle. Nagle przebudziła się. „Uszczypnij mnie, ja chyba śnię". A potem: „Ty chyba jesteś Przechodzimurem".

Na drugim biegunie moskiewskie IZWIESTIA poświęciły na całą sprawę 20 wierszy, stwierdzając, że doszło do poważnego „skandalu politycznego" w związku z „wtargnięciem do rezydencji królowej Elżbiety II".

Tymczasem członkowie rodziny Faganów odwiedzają mimo wszystko w więzieniu Brixton człowieka, który jest ośrodkiem całej tej historii.

W ubiegłym tygodniu pewien krewny zadzwonił do Ivy Fagan i powiedział jej, że zamawia specjalną mszę w intencji rodziny. „Nasza rodzina *to głęboko wierzący katolicy*" — wyjaśnia pani Fagan. — „Postanowiliśmy przejść przez to wspólnie, podobnie jak królowa i jej rodzina, mam nadzieję".

Wiele szczegółów sprawy nieszczęsnego Michaela Fagana zawiera zamieszczony w tym samym numerze THE SUNDAY TIMES artykuł tych samych dwóch autorów — „Królewski intruz został oskarżony o zadanie ciosu pasierbowi". Zamieszczamy przekład również tego artykułu.

Michael Fagan, człowiek znaleziony u łoża królowej, stawał przed sądem w sprawie kryminalnej, oskarżony o zadanie swojemu 15-letniemu pasierbowi ciosu śrubokrętem w szyję.

Fagan stanął w ubiegłym miesiącu, o czym nie pisała wówczas prasa, przed sędziami pod takim właśnie zarzutem. Nie przyznał się do winy i został odesłany do więzienia Brixton na badania psychiatryczne i lekarskie.

Podczas trwającego dość długo przesłuchania 26 czerwca sędziowie z trybunału Clarkenwell w Londynie opuszczali trzykrotnie salę posiedzeń, kiedy Fagan uporczywie chciał się dowiedzieć, kto zajmuje się czwórką jego małych dzieci. Gdy powiedziano mu, że zebrali się sędziowie, żeby rozpatrzyć jego sprawę, Fagan rozbił butelkę i odłamkami szkła pociął sobie nadgarstek. „Michael pociął sobie nadgarstki odłamkami szkła i sędziowie postanowili odesłać go z powrotem do więzienia" — powiedziała wczoraj jego 53-letnia matka, Ivy Fagan.

Minister spraw wewnętrznych, William Whitelaw, nie zapomniał o jego pojawieniu się przed sądem, kiedy informował gabinet, w ostatni czwartek, o incydencie w Pałacu. Niemniej jednak zarzut zranienia, jak też inne materiały z życiorysu Fagana zostały obecnie przesłane prokuratorowi generalnemu, sir Michaelowi Haversowi.

W ubiegłym tygodniu sąd Clarkenwell odmówił potwierdzenia, że Fagan został oskarżony o „przypadkowe niezaprzeczalne uszkodzenie ciała Deana Martina w dniu 26 czerwca w Cyrus House, Cyrus Street, Islington" i, rzecz niezwykła, akt oskarżenia jest niedostępny dla osób postronnych. Tymczasem podczas obu rozpraw, 26 czerwca i 5 lipca, kiedy Fagan został zwolniony za kaucją, sprawa była rozpatrywana publicznie.

Okoliczności przedstawione w sądzie były takie, że Fagan został zatrzymany przez policję 26 czerwca, po wizycie w Cyrus House, melinie w dzielnicy Islington. Fagan, który — jak powiedziano — poszukiwał niecierpliwie swojej utraconej żony i dzieci, znalazł dwie córki, Samanthę i Sarę, oraz pasierba Deana, śpiących na gołej podłodze.

Podczas sprzeczki z pasierbem, Fagan, jak mu się zarzuca, zadał chłopakowi cios śrubokrętem, który miał przy sobie. Rana Deana nie była — jak mówię — poważna i nie zatrzymano go w szpitalu. Aresztowanie Fagana nastąpiło po skardze, jaką złożyła w policji jego żona Christine, która powróciła do meliny później, ze swoim przyjacielem.

Po pierwszym przesłuchaniu w sądzie w sprawie inkryminowanego incydentu w Cyrus House powstał alarm wśród pracowników opieki społecznej, dobrze znających rodzinę Faganów. 30 czerwca zespół pracowników opieki społecznej z dzielnicy Highbury omawiał na długim posiedzeniu sprawę przyszłości tej pary.

Zespół doszedł do wniosku, że nie ma jednak bezpośredniego powodu do obaw o materialny byt dzieci. Niemniej jednak poszczególni pracownicy pomocy społecznej z Highbury, Copenhagen Street i Finsbury — a wszyscy zajmowali się od lat problemami tej rodziny — wyrazili zaniepokojenie, czy dzieci są czyste i odpowiednio ubrane oraz odżywione.

Rzecz dziwna, Scotland Yard ma pewne zastrzeżenia pod adresem pracowników opieki społecznej, którzy z bliska nadzorowali Michaela Fagana od połowy lat pięćdziesiątych, lecz nie zgłoszono wniosku o wszczęcie postępowania wyjaśniającego w stosunku do nich.

Tymczasem podkomisarz John Dellow, *który w ubiegłym tygodniu przedstawił* tymczasowy raport w sprawie bezpieczeństwa w Pałacu Buckingham, lub członkowie rządu pragnący szczegółowego wglądu w osobowość i historię Fagana, nie będą mogli zrobić nic lepszego, jak przeczytać pękatą teczkę z jego nazwiskiem na wierzchu.

Wśród papierów zawierających katalog wędrownego życia i ostatnich stresów Fagana i jego żony, może znaleźć się wyjaśnienie tego, dlaczego bezrobotny dekorator poszedł zobaczyć królową w jej sypialni.

Podczas gdy monarchini i jej rodzina wydają się dobrze wychodzić ze wstrząsu spowodowanego osiem dni temu porannym alarmem, członkowie rodziny Faganów z Highbury twierdzą, że przeżywają udrękę z powodu światowego zainteresowania, jakie ta dziwna historia wywołała.

Ivy Fagan, w przerwie, udzielania wywiadu amerykańskiej sieci NBC, powiedziała przedstawicielom THE SUNDAY TIMES: „Ta sprawa podzieliła rodzinę. Ale Michael wykazał, że środki bezpieczeństwa były bardzo skromne i że trzeba usunąć braki na przyszłość".

W ubiegły piątek członkowie rodziny współzawodniczyli ze sobą o dwie ważne przepustki, które mogły utorować im drogę do Michaela.

Jego żona Christine (obecnie związana umową z dziennikiem THE SUN i mieszkająca w nieznanym hotelu) oraz jego siostra Marjorie, w podobny sposób związana z NEWS OF THE WORLD, jak też druga siostra, Betty, i matka, Ivy, nie mająca porozumień handlowych z prasą, walczą o zamienienie paru słów z intruzem, który z dnia na dzień stał się swojego rodzaju znakomitością.

Kiedy matka i żona Fagana dotarły do niego ostatecznie wczoraj w więzieniu Brixton, gdzie pilnowało go trzech strażników, były dekorator nie powiedział ani słowa o wydarzeniu w Pałacu — zachowuje milczenie wobec rodziny od czasu, gdy został powtórnie wtrącony do więzienia. Mimo to, jego matka powiedziała potem przedstawicielom THE SUNDAY TIMES: „Michael zabawia się historyjkami rysunkowymi z prasy. Ogląda je i uważa, że są śmieszne".

Fagan powiedział matce, że chciałby zamienić swój strój więzienny na coś bardziej szykownego przed publicznym pojawieniem się jutro w sądzie przy Bow Street. Jedyny jego komentarz na temat 10 minutowej pogawędki z królową brzmiał: „Gazety mogą wypisywać, co chcą, ale tylko my znamy prawdę".

Tymczasem dowiedzione naruszenie czyjegoś terytorium przez Fagana w pałacowej sypialni przyprawia prokuratora generalnego o poważny polityczny ból głowy. Jeśli nie zdoła on znaleźć odpowiedniego oskarżenia, Fagan zostanie wypuszczony wolno na świat ciągle pragnący dowiedzieć się dokładnie, o czym rozmawiał on z monarchinią.

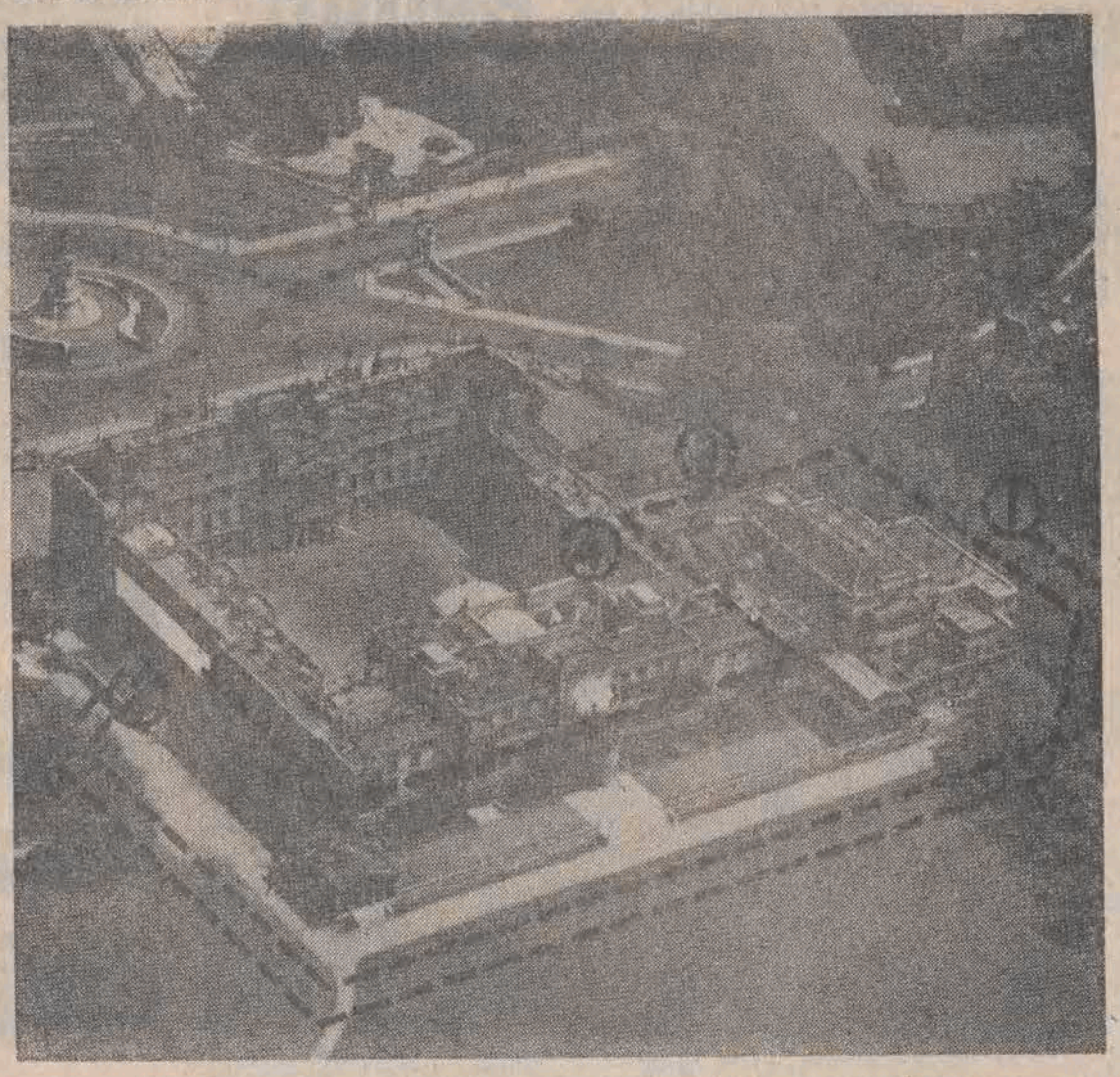

Na zdjęciu Pałac Buckingham. Linią przerywaną zaznaczono trasę, jaką przebył Fagan. 1 — Tu Fagan sforsował czterometrowy mur, 2 — W tym miejscu znajdowały się sygnały alarmowe, 3 — Tu Fagan natknął się na zamknięte drzwi — wszedł przez okno, 4 — Sypialnia królowej.